Gwarantowana liczba stałych abonentów 5000.

Nr. 52. Poznań, sobota, 24-go grudnia 1898. Rok III.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny

dla wszystkich stanów.

Z obszernym działem poświęconym sprawom handlu, przemysłu i rolnictwa.

Specyalny organ informacyjny dla Towarzystw i Spółek, mianowicie dla rolników, kupców i przemysłowców.

Przedpłata w Poznaniu **już z odnoszeniem** tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ul. Rycerskiej 38. Telefon Nr. 295.

Przedpłata **na pocztach tylko 1 markę** kwartalnie.

Nadesłane 50 fenygów od wiersza.

„Praca“ zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Gwiazdkowy numer „Pracy“ nabyć można za 50 fen., z franko przesyłką 55 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.

Przedruk artykułów i wierszy bez podania źródła wzbroniony.

Upraszamy Szanownych Czytelników aby zamawiając lub kupując przedmioty polecane w piśmie naszem lub też korzystając z działu ogłoszeń, raczyli powoływać się zawsze na „Pracę“ jako na źródło, skąd informacye te zaczerpnęli. Takie powoływanie się wpływa bowiem na rozszerzanie tak pisma jak i ogłoszeń w „Pracy“.

Na czas gwiazdkowy

oddajemy

☛ po cenach zniżonych ☚

zamiast za cenę sklepową **17 m. 90 fen.**

za tylko 6 marek 50 fenygów

następujące wdawnictwa:

1) Leitgeber Witołd. Na strunach serca. Poezye.
2) Lewiński jenerał. Pamiętniki z roku 1831.
3) Makowski X. O obowiązku rodziców.
4) Mierosławski. Powstanie Narodu Polskiego (z mapą).
5) Piast. Wianek powieści i opowiadań.
6) Zagłoba. Wesoły deklamator.
7) Zywoty arcybiskupów gnieźnieńsko-poznańskich.

Zamiast za cenę sklepową **16 m. 40 fen.**

za tylko 8 marek

1) Janek z Grzegorzewic. Piast i Kościuszko.
2) Krause. Podręcznik o plantacyi buraków cukrowych.
3) **Królowie polscy w obrazach i pieśniach.** Dzieło zawiera około 50 wielkich przepysznie wykonanych wizerunków królów i obrazów rysunku W. Eljasza i tyleż pięknych poematów S. Duchińskiej.
4) Pechita. Sprawa sztumska w świetle walki kulturnej.

Zamiast za cenę sklepową **20 m.**

za tylko 8 marek

1) Dom polski rocznik 1888 r.
2) Dwutygodnik beletrystyczny r. 1881.
3) Mierosławski, Bitwa warszawska w dniu 6 i 7 września 1831 r. dwa duże tomy.

Zamiast za cenę sklepową **6 m.**

za tylko 3 marki

1) Callier, Bitwy i potyczki z r. 1831 (wielki tom).
2) » Ostroróg Monografia.
3) Chociszewski, Dla polskiego ludu.
4) » Zycie i dzieła Mickiewicza

☛ Przesyłka stósownie do odległości 25 lub 50 fen. i tylko **za gotówkę.**

O liczne i rychłe zamówienia uprasza

Księgarnia Dziennika Kujawskiego
w Inowrocławiu.

BUCHALTERYI, RACHUNKOWOŚCI jako też **KORESPONDENCYI** udziela i poleca się jako rewizor książek i zaprowadzenia książek tak kupieckich jako i gospodarczych, załatwienie rachunków kościelnych; udziela zdrowe rady przy otworzeniu konkursu i pośredniczy przy ukladach; pośredniczy również w parcelacyi, w kupnie i sprzedaży lub wydzierżawianiu majątków ziemskich; przyjmuje wnioski na zabezpieczenia życia, posagu i od przypadku; zabezpiecza od ognia i gradu. 719

J. LAUSCH,

Generalny agent.

Ostrów, Wielkie Księstwo Poznańskie.

Dybizbański Huebner.

Poznań, św. Marcin 58.



poleca swój wielki wybór **zegarów i zegarków** wszelkiego rodzaju, oraz **biżuteryi złotej i srebrnej. Regulatory, budziki zegary stojące, ścienne i konsolkowe** od najzwyczajniejszych do najdroższych po nadzwyczaj nizkich ale stałych cenach.

Zł. zegarki mężkie Ankr. od 50—500 m.
Zł. zegarki damskje Ankr. od 20—300 m.
srebrne zegarki mężkie od 12—75 m.
srebrne zegarki damskie od 12—30 m.
Regulatory bijące pod kilkoletnią gwarancyą od 10—300
Budziki nocne z lampką . . . . 9. m.

Obrączki ślubne

zawsze na składzie od najtańszych do najdroższych. **Pierścienie** do zaręczyn z drogocennemi kamieniami i inne fasonowe. **Łańcuszki** złote z długim fasonem mężkie i damskie, jako też pojedyńcze bransoletki, broszki, kolczyki, **broszki z Mickiewiczem** itd.

Specjalnośc w nowościach na podarki zaręczynowe, ślubne, wiązarki i do komunii.

Wszelkie reperacye wykonuję akuratnie, szybko i tanie.





Gustav Bild, interes fabryczny

(właściciel: **Herman Bild**).

Brzeg, obwód rejenc. wrocławski.

Specyalna fabryka dla oranżeryi, ogrodów zimowych werand, zakładów ogrzew. ciepłą wodą i parą.

Ogrodzenia z kutego żelaza, bramy, kraty do grobów, drzwi itd. Schody z kutego żelaza. Konstrukcye z blachy i z żelaza.

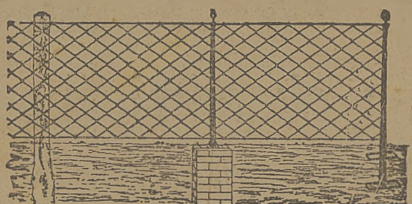


Plecianki z drutu wszelkiego rodzaju.

Ogrodzenia z drutu do zwierzyńców, podwórków dla kur, ogrodów i t. d.

Meble ogrodowe z lanego i kutego żelaza.

Rysunkami, kosztorysami jako też illustrowanemi cennikami chętnie służę.



(544)





Na cały świat

są znane

moje zegarki

jako **najlepsze i najtańsze** dobrze obciągnięte i uregulowane na minutę; 3 letnia piśmienna gwarancya.. **Zegarki** srebrne z złotem brzegiem na 10 kam. po 11, 12, 14, 16, 18 mk. **Niklowe** po 7, 8, 10, 12 mk.

Naśladownictwo kiszy wzbronione!

Olbrzymi wybór

Srebrny z złot. brzegiem na 10 kamieniach po 16, 18, 20, 22, 25, 30 mk.

podarków na gwiazdkę kolczyki, pierścienie, broszki, branzoletki itd.

Cennik nowy, bogato illustrowany za darmo.

M. Szczepaniak i Sp. w **Krotoszynie.** ul. Zdunowska. Bez. Pos-

Największy skład polski i warsztat reperac.

Polecamy się szan. panom przy zakupnie jakiego podarku znaszego fachu o nas nie zapomnieć, a przyrzekamy sumienną i rzetelną usługę. M. S.

Wyborne i tanie cygara.

Po urządzeniu mej bardzo znacznej fabryki podług najnowszej i najlepszej metody. zatrudniając około 250 osób, mogę sumiennie polecić moje cygara np.

100 sztuk	Indianos	za	2,00	Mr.
100 „	Plantador	„	2,20	„
100 „	Santos	„	2,30	„
100 „	Sport	„	2,50	„
100 „	Sepo	„	2,60	„
100 „	Famos	„	2,70	„
100 „	Lora	„	2,80	„
100 „	Menado	„	3,00	„
100 „	Partura	„	3,50	„

jako i droższe, od 4 do 8 marek za 100, także i prawdziwie dobre i tanie papierosy. 500 cygar wysyłam za zaliczką franko i dołączam 50 sztuk innych gatunków na próbę jako podarunek bezpłatnie. 810

P. Pokora, fabryka cygar i papierosów.
Wejherowo (Neustadt W.-Pr.) Nr. 588a.

Specyalność: Bielizna.

Rękawiczki.

Najtańszy skład polski

poleca wszelką **bieliznę** mężką i damską, po nizkich cenach, **wielki wybór w rzeczach zimowych,** rękawiczki glasowe i barankowe, krawaty w wielkim wyborze i bardzo tanio.

Krawaty. Szelki.

B. Miczyński

POZNAŃ

ulica Wrocławska nr. 2.

Kołnierzyki.

Bank Parcelacyjny

E. G. m. b. H,

w Poznaniu na Piekarach 18

1) nabywa **za gotówkę** i sprzedaje **na upłatę:** dobra, folwarki i gospodarstwa, parcele i place pod budowle, oberze, wiatraki itp.

2) przeprowadza regulacye hypotek;

3) ma każdego czasu do sprzedania **5 proc. hypoteki pierwszomiejscowe** a 849

4) kasa oszczędności Banku tego płaci nadal od **depozytów** $4\frac{1}{2}\%$ za kwartalnem, a $5\frac{1}{2}\%$ za półrocznem wypowiedzeniem.

Patenty na wynalazki

wyjednywa i sprzedaje we wszystkich krajach

inżynier **K. OSSOWSKI,**

Międzynarodowe Biuro Patentowe

w Berlinie W., Potsdamerstrasse 3.

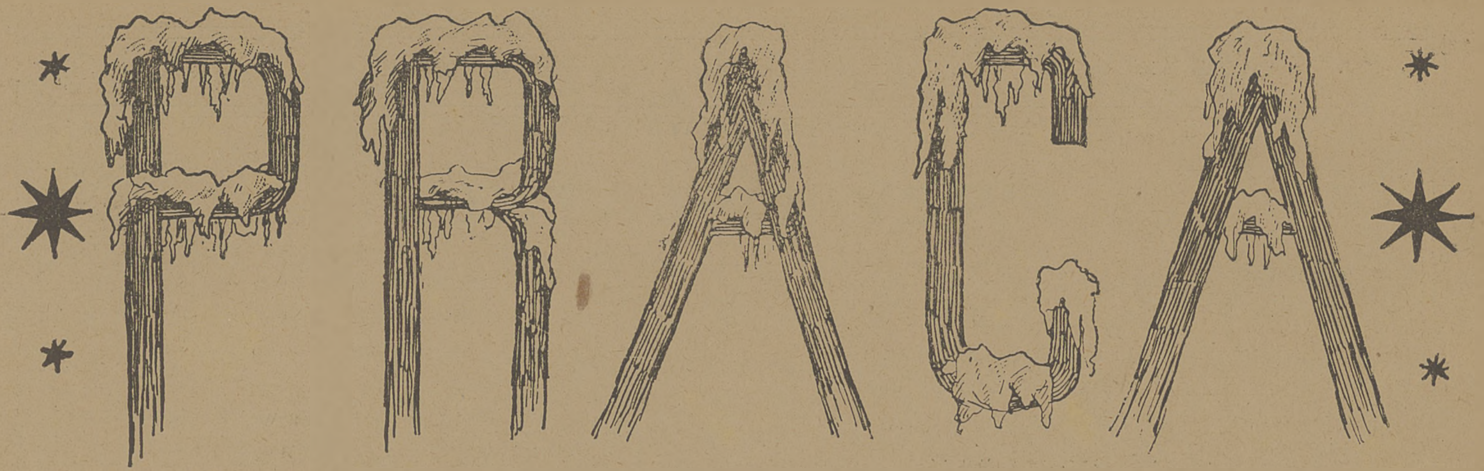
Urzędnik gosp.

27 lat liczący, samotny, wolny od wojskowości, władający obiema językami krajowemi, biegły w korespondencyach i rachunkowości, gruntownie obeznany z gospodarstwem rolnym, poszukuje od 1-go, a najpóźniej 10 grudnia r. b. miejsca jako rządzca, lub inne odpowiednie stałe i korzystne zatrudnienie. Łaskawe oferty uprasza się pod lit. A. K. 105 postlagernd Miendzychód (Schrimm) nadesłać. 845



ginalny utwór dla »Pracy.«

Witaj nam, witaj! — Zbawicielu świata!



BÓG SIĘ RODZI!

Nadesłane na konkurs »Pracy.«

Bóg się rodzi — wszechświat cały
Rozpłomienił złoty blask,
W djamentowych skrach zadrgały
Gwiazdy w wieńcu Matki łask
Rozsypując światła snopy
Na milczący śnieżny łan,
Przemieniając rzek okopy
W cud kobierce z srebrnych tkan.

Bóg się rodzi — zaszumiały
Wraz gałęzie leśnych drzew
W chorał wielki i wspaniały,
Jak organów cudny wiew...
Sosna bursztyn w darze składa,
Schyla głowę dumny dąb,
Biała brzoza głaszcze rada
Sennej ziemi mszysty zrąb.

Bóg się rodzi — w błękit biały
Głosy swe szle każdy dzwon,
O karpackiej granit skały
Odbił się potężny ton,
Złączył się z szumami borów
Wzniósł się w blaski mlecznych dróg...
Jako polskich hołd ugorów
Stanął, gdzie się rodzi Bóg.

Bóg się rodzi -- nic kajdany,
Nic kopalnie i nic knut —
Łzą radości dziś zalany
Kornie chyli się nasz lud,
Bólem rozorane czoło
Wypogadza się dziś nam
I marzymy, że wesoło
Będzie nam bez krat i tam.

Bóg się rodzi — we wyrzyny
Pnie się srebrnopióry ptak
Po zwycięztwa — po wawrzyny...
Słońca blask — różowi szlak,



Chorał płynie pod obłoki —
To dziękczynna nasza pieśń,
Że od morza do opoki,
Rozerwana nasza cieśń.

Bóg się rodzi — huczą dzwony
I w świątyni klęczy tłum;
Jeszcze czarne kraczą wrony,
Jeszcze straszy piór ich szum!
Módl się, módl się, polski ludzie!
Mąk nie pełen jeszcze róg,
Proś o wieść o wielkim cudzie
Dzisiaj, gdy się rodzi Bóg!

Bóg się rodzi — Boże wielki!
Wszak przychodzisz dziś na świat!
Więc raduje żywioł wszelki
W dniu tym się od setek lat.
Boże wielki! — wiew nadziei
W skołatane serca tchnij,
Że po burzach i zawiei
Ujrzym blask słonecznych dni!

Bóg się rodzi — Boże święty!
Skrzydłem swoim otocz nas,
Żeby w walce tej zaciętej
Żaden z nas nie zniszczył raz,
By się dusze hartowały,
Serca były jako stal
I oziębłych ogrzewały,
W jasną zapatrzone dal!

Bóg się rodzi — Boże mocny!
Wróć nam pełnią Swoich łask!
Zaświeć nam po burzy nocnej
Złotych słońc czarowny blask!
Wróć Ojczyznę nam, o Panie,
Wiedź nas w wolnej Polski próg,
Niech w tym dniu z popiołów wstanie,
Kiedy rodzi się nasz Bóg! —

24. 12. 98.

S.

PRZY OPŁATKU!

Przy opłatku — w wielkie koło
Stają dzieci jednej matki
W karmazynach, świtach, bluzach
I z pałaców, miast i chatki.
I te znane wielkie dusze,
Co Ojczyźnie wiedzą służą,
I te ciche serca czyste,
Co się w walce z bólem nużą
I te głośne muz wybrane
Blaskiem sławy promienione
I nieznane — szare tłumy
Walką o chleb umęczone,
Wszyscy razem — w jednem kole,
Wszak to dzieci jednej ziemi,
Jedna sława — jedna boleść
Skrzydła ścieli po nad niemi...
Wszyscy razem!... przy opłatku
Dłoń przy dłoni, z sercem serce...
Czy rozdzielić nas, kto może,
Czy poważnią nas bluźnierce?...
Oko widzi mil tysiące,
Co nas dzielą — oddalają...

Lecz myśl zbliża w jedno koło
Tych — co Matkę swą kochają...
Choć dalecy — przecież razem —
Dziś przełammy się opłatkiem,
Chleb ten Boży — w dzień wigilii
Odrodzenia jest zadatkiem —
Bóg się rodzi!... do nas schodzi,
Aby w duchu nas odrodzić,
Nam potrzeba w *prawdzie*, *wierze*,
W *czynach wielkich* się odrodzić...
Nam nie życzyć — zdrowia — szczęścia,
Jak świat mówi — pomyślności...
Lecz oświaty — szlachetności,
Bo z tem przyjdzie dzień przyszłości!!
Przy opłatku!... my z nad Warty,
My z nad Wisły — Dniepru — Niemna...
Wszyscy razem — idźmy razem,
A przeminie dola ciemna,
Rozdzieleni — zawsze blizko
A nieznani — sercu drodzy...
Czy bogaci — wielcy — możni,
Czy maluczcy i ubodzy...

Dla nas **jeden jest opłatek**
Ten Wam ślemy na zadatek!

24. 12. 98. *Jadwiga S.*



Ilekroć zbliżają się święta uroczyste, z któremi przeszłość nasza splotła i powiązała narodowe zwyczaje i obrządki, nie trudno się spotkać z ubolewaniem, iż czas, ten twórca nowości, a niszczyciel starych zabytków, nadwątlił i nakruszył niejeden pomniczek naszego plemiennego życia. W tegoczesnym cywilizacyjnym przyspieszonym ruchu już i tak gubią się snadno wątki obyczajowe, łączące teraźniejszość z przeszłością, a wśród nas nadto jeszcze dwa ważne czynniki rozpraszały ten czar przedziwny zawarty w starodawnych zwyczajach i obchodach, ten czar, który wraz z mową ojczystą nowe pokolenia z dawniejszemi w spojne skuwa ogniwa. Oto prześladowcza ręka wroga naszej narodowości pracowała ustawicznie nad tem, ażeby z narodowego życia wymazać wszelkie ślady odrębności i odrzeć to życie z uroku swojskich obyczajów; jednocześnie zaś wzmagająca się wśród coraz trudniejszych ekonomicznych stosunków gorączka życiowa pochłonęła zamiłowanie do patryarchalnych pamiątek.

Służąc więc wszystkiemu co nasze, co polskie, nie zaniedbaliśmy też z okazyi zbliżających się świąt Narodzenia Bożego wydobyć z skarbnicy przeszłości trochę legendowych klejnotów i przypomnieć o nich Czytelnikom w oddzielnym artykule, sądzimy bowiem, iż wszelkie zabytki starodawne bardziej niż kiedykolwiek powinny nam być drogiemi i cennemi w chwili, gdy nieprzyjaciel coraz więcej nastawa na byt nasz plemienny i szczepowy.

Ale poza obrzędami i legendami, które dawniejsze wieki dla potomności polskiej stworzyły i uprzędły, „Gwiazdka“ ma treść inną jeszcze, trwalszą i niezmienniejszą niż podania i zwyczaje ludowe.

Oto przypomina nam ona, że z pomroku pogańskich wyobrażeń i zwyczajów wybłysło przed 19 wiekami światło nowej prawdy, które w dalszym rozwoju ludów miało rozjaśnić horyzont ich życia, działania i dążeń wszelkich. Ta „Gwiazdka“ przed 19 wiekami rzuciła pomiędzy ludzkość światło nowej w i a r y, podniosła świeżych serca do Boga za pomocą sił moralnych i duchowych, zwróciła dusze ku wielkim, boskim prawdom, które następnie miały być zasadami nowych pojęć. A z tej wiary, pełnej światła, pełnej szczęścia i zadowolenia wewnętrznego, tryskać począł wieczysty i nieprzebrany strumień n a d z i e i, ożywiając serca ludzkie i to nawet takie, które pod wpływem pogaństwa zupełnie wyjałowiały i nie umiały wznosić się do wyżyn niebiańskich. I „Gwiazdka“ z tą wiarą głęboką, z tą nadzieją wykrzesała niebawem z półmartwych dusz ludzkich ogień m i ł o ś c i prawdziwej, miłości uszlachetnionej, wyższej, bo z Boga biorącej swój początek a ogarniającej wszystko i wszystkich, każdego bliźniego, nawet bliźniego-nieprzyjaciela.

Niestety te skarby, które nam światło Boże przed wiekami zesłało, nie każdy naród równo szlachetnie i równo uczciwie przechował. Widzimy ze zgrozą społeczeństwa, poniewierające po świętokradzku te cnoty wielkie, jakie Chrystus Pan zaszczepił i namiestnikom swoim szerzyć nakazał; widzimy je frymarczące judaszowym trybem zasadami chrześciańskiemi, posługujące się ich pozorami złudnie i fałszywie, a treści ich kłamiące ustawicznie w czynach swoich; widzimy je urągające codziennie idei „miłości bliźniego“ w postępkach nie-

ludzkich, prześladowczych i ździerczych. Nieraz też

„Patrzym w niebo, czy z jego szczytu
„Sto słońc nie spadnie wrogom na znak —
„Cicho i cicho — pośród błękitu
„Buja jak dawniej swobodny ptak“.

Ale choć nie widzimy bezpośredniej kary bożej za występki i zbrodnie, choć sami także cierpimy pod naciskiem nienawiści i sił wrogich, nie tracimy ani na chwilę tej wiary niezłomnej, którą ojcowie nasi przekazali nam jako fundament moralny naszego narodowego bytu. Nie tracimy też owej nadziei, jaka z wiarą naszą zawsze się łączy, nadziei lepszej doli i lepszej przyszłości, którą Bóg wypisał w księdze wyroków swoich dla ludów miłujących Go, pracujących, a nieupadlających się odszczepieństwem od wyznania i narodowości. My też i miłości nie zapieramy się, miłości braci własnej, miłości narodu i ojczyzny, miłości wszechludzkiej, jakkolwiek złość i niecność wraża ohydnemi postępkami usiłuje ją zdusić w sercach naszych. A tak, nie pozbywając się miłości dla ludzi wogóle, możemy chyba tylko uczuwać niezmierną wzgardę lub politowanie dla tych, którzy sił swoich używają na niweczenie zasad ludzkich.

Ale nietylko po stronie nam wrogiej widzieliśmy dotąd coraz wyraźniejszy zanik światła owej „Gwiazdki“, owej miłości chrześciańskiej — nie, do niedawna brakło go nawet wśród naszej braci. Niejednokrotnie też wyrażaliśmy swój żal głęboki nad rozłamem i rozstrojem, w jaki społeczeństwo nasze pogrążyły podrzędne, często nawet drobiazgowe spory i osobiste przeciwieństwa, a właśnie przed rokiem w słowach serdecznych zwróciliśmy się do braci rodaków ażeby dzieląc się opłatkiem wilijnym, porzucili waśni rozdwajające i zjednoczyli się w spólnej miłości ojczyzny, która przecież z miłości bożej i światła bożego bierze swój początek. W ciągu roku zmieniły się stósunki: przyczyny zwad nieznośnych, których końca już prawie widać nie było, usunięto, obywatele, przeciwko którym zwracała się niechęć tych lub owych kół, zeszli z areny publicznej, a na nią wstąpiły do łącznej, i daj Boże, budującej pracy nowe siły. Nastał pokój, a tylko w pokoju, jakimkolwiek on jest, rozgościć się może miłość i rozpłomienić serca do szlachetnych dążeń.

Tak więc do narodowej wigilijnej biesiady zgodnie dziś zasiądą wszyscy bracia, którym wspólne polskie imię, wspólna miłość ojczyzny i wspólna niedola. Niechajże zapatrzeni w „Gwiazdkę‘ Bożą i chrześciańską ideą podniesieni, wśród wielkiego wesela, jakie zagości w dniu Narodzin Chrystusowych pod każdą strzechą, zapomną o smutkach nawiedzających biedną ziemię polską już od 100 lat przeszło, niech raczej w dniu wielkich dla całego świata godów nadzieją ożywią serca, tą nadzieją, że „Gwiazdka Boża“ znowu wcześniej lub później przedrze się przez ciemnie namiętności nieprzyjacielskich i żądz nienasyconych, a szlachetnem światłem zapłonąwszy, wskaże znowu wrogom naszym drogi, którremi ludzkość stąpać powinna.

A z nadzieją tą niechajże silnie się związe miłość bratnia, miłość ojczyzny i miłość macierzystej mowy i naszych poczciwych obyczajów, albowiem wszelkie nasze spodziewanie tym bardziej będzie uzasadnione im silniejsze mieć będziemy przywiązanie do wszystkiego co nasze, co polskie.

A zasiadłszy przy wigilijnym stole, miłością wzajemną zagrzani i nadzieją ożywieni, spełnijmy przy dzieleniu się opłatkiem jeden jeszcze obowiązek.

Poświęćmy oto serdeczne wspomnienie wielkiemu Adamowi, jednemu z największych i najszlachetniejszych synów naszej wspólnej Macierzy, który właśnie przed stu laty w wigilią Bożego Narodzenia wszedł jako gwiazda świetna na naszym horyzoncie. On blaskiem geniuszu swego rozproszył mroki zwątpień, w które nas klęski pogrążyły, on duchowi narodowemu pozostawił pokarm wieszczy, niewyczerpany i wieczysty jak nektar Boży, on trwalszy od spiżu, od granitu pozostawił pomnik imienia polskiego. Niechaj każda polska strzecha w dniu pamiętnym poświęci temu wielkiemu bardowi, wielkiemu chrześcianinowi i wielkiemu człowiekowi choć drobną cząsteczkę tych uczuć, których on dla całej Polski i dla każdego polskiego ogniska niewyczerpaną pozostawił skarbnicę. A złączeni z Adamem siłą pamięci pomyślmy też o innych wielkich twórcach i bohaterach narodu naszego, przyrzeczmy ich cieniom, że nie zatracimy tego, co oni nam jako spuściznę swej krwi i pracy najlepszego przekazali, a tak nastrojeni do ducha dziejów i pracy naszej zawołajmy z otuchą przy blasku „Gwiazdki Bożej‘:

Dosiego Roku!

Dr. Dyonizy Karchowski.



Anieli w niebie śpiewają,
Bogu cześć, chwałę oddają,
Wesele opowiadają,
Wszemu światu znać dawają,
Kolęda!

Narodził się nam Zbawiciel,
Wszego świata Odkupiciel,
Izajasz prorokował,
Że się z Panny narodzić miał,
Kolęda!

Otóż się nam już narodził,
By świat z grzechów wyswobodził,
Anioł pasterzom objawił,
Że się na świat Jezus zjawił,
Kolęda!

W Betleem, żydowskiem mieście,
Tam się do niego pospieszcie,
Leży w żłobie łzy roniący,
Zbawiciel nasz wszechmogący,
Kolęda!

Wdzięczna ta nowina była,
Panna Syna porodziła,
Śpiewajmyż mu nowe pienie,
Za to jego narodzenie,
Kolęda!

Cześć, chwała na wysokości,
Pokój ludziom na nizkości:
Niech Bóg pochwalony będzie,
W niebie, na ziemi i wszędzie,
Kolęda!

T. J.



BOŻE NARODZENIE.



Przyzwyczajenie, to druga natura, mówi przysłowie. I słusznie. Człowiek z natury jest konserwatystą. Za swoje nawyknienia, obyczaje, gotów życie położyć.

Kościół chrześciański, licząc się z tą właściwością charakteru ludzkiego, unikając niebezpiecznego drażnienia uczuć przez wielu wyrobionych, nie znosił całkiem obrzędów i obyczajów pogańskich, ale starał się nadać im cechę chrześciańską.

Ztąd do dziś zachowało się wiele takich zabytków pogaństwa. Niemówiąc już o sobótce, wiankach itp. dość wspomnieć, że nawet i dzień Bożego Narodzenia, również i u pogan był uroczyście obchodzony, a ztąd też wiele złączonych z tem obrzędów, sięga swym początkiem czasów przedchrześciańskich.

Człowiek ówczesny, wobec przedłużającej się nocy, mniemał, że złe duchy biorą górę nad słońcem, u Słowian Dadźbogiem zwanem. Było to w jego pojęciu bóstwo najwyższe. Ztąd więc smutek, a potem znów radość wszystkich ogarniała, z chwilą kiedy pod koniec grudnia następowało przesilenie. Mówiono, że rodzi się słońce

dziecię boże, przez Słowian Swarogiem zwane, przynoszące obietnicę rozbudzenia ziemi z jej snu zimowego, a zatem bogactwa obfite w płodach.

Od wschodu przychodzi słońce, od wschodu też wzeszło owo chrześciańskie słońce sprawiedliwości, Syn Boży. Tylko że poganie pojmowali to zmysłowo, w znaczeniu rzeczywistem, a dogmat chrześciański przynosi obietnicę odrodzenia duchowego. Poganin w narodzeniu syna słońca widzi nadzieję plonów i zieloności na ziemi, chrześcianin zaś życia wiecznego.

Ztąd to zawsze był ten dzień świętem uroczystem; ztąd dziś zwyczaj zielonej choinki, obwieszonej owocami, jakby dla przypomnienia wiecznie zielonego a płodnego drzewa w raju; ztąd też i różne owoce w czasie wieczerzy wigilijnej i potrawy oznaczające to, czego się człowiek spodziewa od powracającego słońca, a więc miód, mak, grzyby, kapusta, groch, przeróżne owoce, chleb pszenny niezwykłych rozmiarów itd.

Mówią, że każdy człowiek ma swą gwiazdę. Z narodzeniem się człowieka rodzi się też jego gwiazda. Ztąd też w dniu narodzin słońca, z pojawieniem się pierwszej gwiazdy, zasiadają do wigilijnej uczty. Rusini mówią, że nad którym domem gwiazda upadnie, tam dziewica się zmieni w niewiastę, bo gwiazda może być szczęśliwą lub odwrotnie.

U Białorusinów, z chwilą pojawienia się gwiazdy, wnoszą do izby snop zboża, nakrywają go białem płótnem i razem z gotowaną kaszą, oraz polewką z suszonych owoców stawiają pod obrazami świętych, przed którymi najstarszy w rodzinie światło zapala, modli się i okadza domostwo, poczem dopiero wszyscy do uczty zasiadają, kończąc ją spożyciem owej kaszy i polewki z pod obrazów.

Wigilja u Serbów zowie się dniem przebudzenia. Serbowie i Bułgarzy rozpoczynają od palenia dębowej kłody zwanej również budnikiem. Bułgar z domownikami wychodzi przed chatę dla wybrania owej kłody, potem wszyscy zdjąwszy czapki, uroczyście mówią: „Dopomóż nam Boże i ty kolędo dożyć roku przyszłego“.

Taka kłoda powinna się na kominie palić aż do Trzech Króli. Zapaliwszy ją, Bułgar odmawia modlitwę i mówi: „Chrystus się narodził“, a inni odpowiadają mu: »Prawdziwie narodził się«. Potem się wzajemnie wszyscy całują i do uczty zasiadają.

Serbowie taką kłodę jeszcze obsypują ziarnem. Wierzą, że pierwszy, kto nazajutrz przyjdzie, przynosi ze sobą szczęście lub nieszczęście. Gość witając słowami „Chrystus się narodził“, rzuca ziarnem. Odpowiadają mu: »Prawdziwie się narodził« i również obrzucają go ziarnem, które po Nowym Roku zjada drób, bo wtedy będzie dużo jaj. Tak samo słomę rozrzucają po polu, aby dobrze rodziło. Kładą też w chleb pieniądz, a kto go znajdzie, ten będzie szczęśliwym.

Resztki wigilijnej uczty zwykle daje się bydlętom.

Jest przekonanie, jakoby o północy działy się cuda: woda ma się przemieniać w wino, a bydlęta ludzkim przemawiają językiem.

Pogańscy Słowianie zwali nowo rodzące się bóstwo, Koliadą, Koledą albo Kolędą — ztąd nazwa pieśni w tym czasie śpiewanych. Pogańscy kapłani zbierali ofiary, dziś zbiera je też służba kościelna, a ztąd i w pieśniach takich pasterze niosą dary Chrystusowi. Być też może, że stary obyczaj chodzenia z jasełkami, zapożyczony był od Greków, którzy podobne wyprawiali w tym czasie igrzyska na cześć Bachusa, również wyobrażającego powracającą płodność natury. Kolędnicy i dziś podobnie biorą maski i niekiedy okrywają się skórami zwierząt.

U Słowian obecne przy narodzeniu trzy dziewice zwane sudiczki albo sudice, przeznaczyły dziecięciu jego los.

Ztąd i przy narodzeniu się słońca, a więc i roku, różne wróżby na przyszłość. Dla tego to zapewne rok znaczy przeznaczenie, a rokować — tyle co budzić nadzieję, obiecywać. Zaczynający się rok przynosi człowiekowi dobre i złe przeznaczenie. Nic dziwnego, że chciałby je przeniknąć, więc też w wigilią Bożego Narodzenia wróży sobie i sądzi, że cokolwiek się w tym dniu zdarzy, będzie się zdarzać w ciągu całego roku. Im jaśniej gwiazdy świecą, tem obfitszy będzie urodzaj; grzyby i jagody obrodzą a pszczoły dobrze się będą roić. O urodzaju lnu wnoszą z długości źdźbła siana, z pod obrusa wyciągniętego. Rusin znów wyciąga kłos ze snopa pod obrazami stojącego i z pełności wróży czy rok będzie urodzajny, mokry albo suchy. Za stosem chleba i pierogów kryje się, a domownicy udają, że go nie widzą, pytają: »Gdzie nasz batko?«. A on wtedy odpowiada: „Daj Boże, abyście mnie i w roku przyszłym nie zobaczyły« (to znaczy, aby urodzaj był tak wielkim). Podobny był obrzęd na cześć Swantewita, tylko że nie gospodarz, ale kapłan krył się za olbrzymim pierogiem, a gdy mówiono, że go prawie nie widzą, wtedy również życzył: „Daj Boże w roku przyszłym taki urodzaj, aby mnie wcale z za pieroga widać nie było«.

W wielu okolicach z okruszyn znalezionych pod nakryciem biesadników wróżą przyszłe ich losy.

Przedewszystkiem dziewczęta radeby przeniknąć kto im na męża przeznaczony. Zasiadłszy więc przy stole, pierwszej łyżki zupy nie łyka, ale trzymając ją w ustach, taka ciekawska na podwórze wychodzi a kogo po drodze spotka, ten jej na dozgonnego towarzysza przeznaczony. Również po uczcie wyszedłszy przed dom nasłuchuje, a z której strony doleci psa szczekanie, z tej strony przybędzie jej przyszły.

I wiele innych podobnych jest sposobów odkrycia tej tajemnicy, ale trudno tu więcej przytaczać, boby nam wszystkie dziewczęta gotowe za mąż powychodzić, a wtedy jakżeby bez nich smutno było na świecie.

Każdemu więc i każdej życzymy tylko „Dosiego roku“ i... dobrej żony, zacnego męża, a dużo chleba — ale pod warunkiem, że na tej ziemi polskiej będą przy rodzinnem ognisku krzewić **język, myśl i obyczaj polski.** Z. S. S.



Idzie stary wiarus do ludzi w kolędzie
Witać nowe latko i śpiewać Wam będzie,
Słuchajcie ludkowie! — co wam wiarus powie
Na kolędę — kolędę.

Małe Dziecię Jezus w stajence się rodzi,
Wszystkich wyswobodził — Polskę wyswobodzi,
Jezus przybądź mały! — woła naród cały
Na kolędę — kolędę.

Oj, przybędzie do nas niebieska Dziecina
Zyska wolność Polska — Litwa — Ukraina;
Tylko z Niem trzymajmy — Jemu chwałę dajmy
Na kolędę — kolędę.

Ślicznio słońce świeci na niebie wysokiem,
Skrzy się śnieżek biały na polu szerokiem,
Bądź jak śnieżek biały — słońcem naród cały
Na kolędę — kolędę.

Ojcze idź do pracy, domu pilnuj matko —
Dzieci hyc do szkoły — przyjdzie nowe latko,
Wolności, swobody — jedności i zgody —
Na kolędę — kolędę.

Żyje Ojciec wielki, żyje Ojciec w niebie,
Wie, że naród Polski w ostatniej potrzebie,
Ześle nam ratunek — na ciężki frasunek
Na kolędę — kolędę.

Wtedy to dopiero przyjdzie wiarus stary
Powinszować wszystkim wolności i wiary!
Wykrzykniemy razem — gardłem i żelazem:
Hej kolęda — kolęda! Jamszol.
24. XII. 98.



Sześć lat może wtedy miałem Była mi więc Gwiazdka tem, czem jest dla wszystkich dzieci w tem wieku: świętem bez troski, dniem bez chmur, radością naiwną, która się nie pyta o przyszłość i przeszłość.

Ze skupieniem ducha śledziłem gorączkowo wszelkie przygotowania

do gwiazdki w domu, zaglądałem do wszystkich pokoi kolejno, które zdawały mi się jakby ukrywać przedemną jakąś radosną tajemnicę, ze wszystkich twarzy starałem się wyczytać jakąś przygotowaną dla mnie niespodziankę. Wreszcie zaczął zapadać zmrok. Pod pretekstem załatwienia jakiegoś niezbędnego jeszcze sprawunku namówiła moja matka ojca, aby wyszedł ze mną na miasto. Właściwie zaś chodziło o pozbycie się nas z domu na czas nakrywania stołu, rozkładania podarunków i tym podobnych rzeczy, przy których, jak twierdzą gosposie, obecność mężczyzn jest zawadą.

„A wracajcie niedługo!“ zawołała do nas jeszcze przez okno matka

Uszliśmy kawałek drogi w milczeniu. Starałem się odgadnąć, co też za prezent obmyślili mi rodzice na gwiazdkę. Czy nie piękną, kolorowaną książkę do nauki? Myśl ta była mi i rozkoszną i przejmowała mnie pewną trwogą. Miałażby się „po nowym roku“ zacząć pierwsza nauka? Książka, pierwsza książka, ta prawdziwa karta wstępu do innego jakiegoś świata, w którym ludzie już nie po dziecięcemu patrzą na życie, wywierała na mnie wpływ magnetyzujący: i odpychała, i przyciągała.

Ojciec szedł obok mnie, jak zwykle w milczeniu. Przeszliśmy kilka ulic żwawym krokiem, bo pod wieczór robiło się coraz zimniej Snieg skrzypiał pod nogami, tu i owdzie brząknęła echem dzwonków uprząż koni przy chyżych sankach, zmrok zapadał coraz silniejszy. Doleciał nas z oddali jakby odgłos jakiegoś chóralnego śpiewu i mimowoli zwróciliśmy kroki w tę stronę Z po za zakratowanych okien więziennego gmachu, który był dziś nieco jaśniej oświetlony, wydostawał się odgłos pieśni pobożnej.. Mimowoli stanąłem zdumiony; zdawało mi się dotąd zawsze, że w więzieniu siedzą zbrodniarze, którym obce są ogólnoludzkie uczucia, zbrodniarze, którzy się ani nie modlą, ani o swych krewnych nie pamiętają, ani się poddać potrafią rozrzewnieniu I zapytałem ojca: „Więc oni teraz tam obchodzą gwiazdkę? — Ojciec skinął głową milcząco, a ja ciągnąłem dalej: „To oni muszą się tam czuć bardzo, bardzo biedni?“ — i po raz pierwszy w życiu w dziecięcem sercu obudziło się współczucie dla przestępców, dla złych, karanych ludzi..

Na ciemnem tle więziennego gmachu, pod filarem, w cieniu, oko moje dostrzegło dziwną grupę: kobiecinę w nędznej chuście, przytuloną do muru, a obok niej dwoje małych dzieci. I zdawało mi się, żem słyszał łkanie bez słów Na nieme zapytanie moje rzekł ojciec: „To żona jednego z tych więźniów z dziećmi“ a mnie na te słowa łzy stanęły w oczach. Ojciec, odgadując me myśli, wyjął z woreczka monetę i podał mi mówiąc: „To było przeznaczone dla ciebie na Gwiazdkę odemnie. Można tym pieniądzem otrzeć łzy wielu nieszczęśliwym. Weź go teraz“ — i podał mi, a ja zbliżyłem się z ofiarą nieśmiało do płaczącej kobieciny. „Macie tu na gwiazdkę i nie płaczcie“ wyrzekłem A ona, nie przyjmując ofiarodajnej mej dłoni ze łkaniem wyrzekła: „Co mi tam pieniądz.. Jego, jego niech mi tam wypuszczą“ — i zaciśniętą pięść wzniosła przeciw murom więziennym.

I poznałem wtedy drugą prawdę życiową: że są bóle, których pieniądz uśmierzyć nie zdoła.. A wracając do domu z ojcem, zapytałem go: „Za co „oni“ ją, tę kobiecinę, i jej dziatki tak ukarali, że nawet gwiazdki wesołej nie mają“ — Ojciec mi nic nie odrzekł, bo też to było pytanie bez odpowiedzi

Ta gwiazdka pozostanie mi nazawsze w pamięci Bo też od niej zaczęło się to, co ojciec wróciwszy ze spaceru zwierzył mojej matce, mówiąc: nasz syn już zaczyna m y ś l e ć. I dziwnie poważny nastrój miała wtedy dla mnie ta gwiazdka.

* * *

Minął lat szereg i znowu nadeszła gwiazdka. W chłopięcym wieku pozostałem sierotą: mój ojciec legł w grobie. Smutna to była gwiazdka, na którą ciemny cień padał od świeżych wrażeń śmierci. Im bliższą była wigilia, tem bardziej wzrastał niepokój... Taka gwiazdka, bez tego, kto był sercem i głową rodziny! — Gdy wreszcie nadszedł dzień Gwiazdki, matka wyjęła z biurka przeznaczone, jak zwykle na wydatki świąteczne pieniądze i, widząc zmartwienie na mej twarzy, dała mi je mówiąc: „My dziś gwiazdki nie będziemy mieli. Idź do najbiedniejszych ludzi, staraj się im pomódz, a znajdziesz sam pocieszenie“. I poszedłem. Poszedłem do najbiedniejszych, — na strychy domów i w piwniczne komory. Za pieniądze od matki kupiłem trochę łakoci, trochę mięsa, trochę ciasta i tak z koszykiem chodząc, rozdawałem wszędzie po trochu. Czułem, że w miarę tego, jak mój koszyk się wypróżniał, moje cierpienie stawało się coraz mniejsze. A gdym wrócił do domu, nie miałem już strasznego pytania na ustach: „Za co n a s tak ukarano, chociażeśmy nic nie zawinili?“

* * *

I oto przeszedł znów szereg lat i znów nadeszła Gwiazdka. Byłem między obcymi, po raz pierwszy w życiu. W małem miasteczku południowych Niemiec, gdzie nie było Polaków. Był jeden tylko dom polski, lecz za krótką była moja znajomość z tymi rodakami, aby miała uprawniać do zaproszenia na Wigilją Byłem więc sam. Rano przyszły listy z domu, listy tchnące głęboką tęsknotą. Dzień cały przeszedł nie wiadomo jak A gdy wieczór nadszedł i gwiazdy iskrzyć się poczęły na firmamencie, wtedy w samotności mojej opanowało mnie takie przygnębienie i taki smutek, jakiegom nigdy w życiu nie doświadczał Machinalnie ubrałem się i wyszedłem na miasto. Dziwnym wzrokiem spojrzano na mnie, gdym usiadł przy jednym z pustych stolików w restauracyi. Widziałem te spojrzenia i po chwili znów wyszedłem na ulicę. Niewiadomo jakim sposobem znalazłem się przed domem, gdzie mieszkała jedyna polska rodzina. Wpatrzyłem się, stojąc oparty o latarnię, w oświetlone rzęsiście okna i chciwie nadsłuchiwałem stłumionych odgłosów śmiechu i ożywionej rozmowy, którą dźwięki znajome ku mnie biły od tych okien... I stałem tak długo, długo, aż wreszcie mnie ogarnęło zmęczenie i powoli poszedłem do domu. Nie nasuwały mi się żadne myśli, czułem jednak, że wielu, bardzo wielu musi być nas na obczyźnie, którzy tak jak ja wtedy gwiazdkę obchodzą na ulicy... wpatrzeni w okna mieszkań nieznanych rodaków....

* * *

I oto dziś znów zawitać ma Gwiazdka. Wspomnienia jedno po drugiem nasuwają się na myśl, a jednak uporczywie wracają mi wspomnienia tych trzech wieczorów uroczystych. I znów samotny oczekiwać będę tej nowej, a jednak tak znajomej mi Gwiazdki. Zapadający zmrok i pierwsze gwiazdy zastaną mnie w zadumie przy oknie mego pokoju, a w szarym półcieniu przed oczyma przesuwać się będą wesołe i smutne, rzewne i miłe wspomnienia i myśli. Uporczywie myśl moja wracać będzie do tych, których ta Gwiazdka zastanie w cierpieniu, w zgryzocie, w nędzy, na obczyźnie. I niechaj tym biednym, opuszczonym, nieszczęśliwym i smutnym osłodą będzie poczucie, że im, wyłącznie im poświę-

cone będzie niejedno westchnienie z piersi ludzi, którzy wiedzą co cierpienie, bo z niem się sami poznali...

Niechaj ta myśl, że z nieznanych a jednak życzliwych ust słowo współczucia ku nim się odezwie, — niechaj ta myśl w dzień Gwiazdki, jak chyża jaskółka, biegnie od pałaców do chatek, od wsi do miast, od stron ojczystych na obcą ziemię, niechaj odszuka wszędzie wszystkich pocieszenia pragnących i niechaj ich ból serdeczny ukoi...

Kazimierz Radwan.

W domu moim.

W domu moim w dzień święty Wigilii,
Nakrywano stół białym obrusem —
W kącie snop się rozwijał w kształt lilii,
Na talerzu opłatek z Chrystusem
Czekał chwili zaczęcia wieczerzy,
Chwili, w której wśród niebios przestrzeni
Błyśnie gwiazda królów i pasterzy,
A kolędy pieśń ozwie się w sieni.
Bom hołdował prastarym zwyczajom
I znak krzyża kładłem na swem czole;
Trawa, niwom ujęta i gajom,
Wonnem sianem leżała na stole;
Z pod nakrycia dobyte źdźbło sienne
Wróżbą było dla gospodyń domu:
Czy rok przyszły urodzi lny plenne?
Czy nie zbraknie łask bożych nikomu?
Ze skupieniem czekano wieczerzy,
Oczy gwiazdy na niebie szukały...
Błysła!... błysła!... i pieśń. „W żłobie leży...“
Napełniała mych ojców dom cały,
I wchodziła czeladzi gromadka,
I krwią blizcy u stołu stawali; —
Chleb anielski do rąk brała matka,
My chleb ony z drżących rąk jej brali.
Chwila ciszy — myślałbyś, że duchy
Z górnych krain stoją tu przywiane —
W palcach tylko drży opłatek kruchy
I drżą wargi modlitwą trącane...
Bo to jedna z chwil największych świata:
Boga — w ziemskiej złożenie kolebce...
Pierś człowieczą sen cudów oplata,
Anioł biały o zbawieniu szepce.
Kto chleb ony na stole zobaczył —
Już w swej duszy i sercu zogromniał:
Jeśli miał co przebaczyć — przebaczył,
Jeśli o czem zapomnieć — zapomniał!
Płyną wkoło życzenia najszczersze,
Pocałunki łączą usta bratnie —
Snów spełnieniem dzwonią słowa pierwsze,
Snów spełnieniem kończą się ostatnie.
Była w sercach owa pewność błoga,
Że się wcielą życzenia serdeczne,
Tylko w piersi mieć potrzeba Boga,
Tylko wierzyć w prawdy zasłoneczne!...
Dzisiaj — nie wiem, czy Wigilii chwila
Dawną siłą o dusze potrąca —
Czy się czoło tak przed Bogiem schyla?
Czy nie spada z oczu łza gryząca?
Może serca, przejęte zwątpieniem,
Truciznami dni przeżytych poim?...
Ja odżywam dawnych chwil wspomnieniem,
Wigilijnym dniem tym w domu moim.

Kazimierz Gliński.



W DRODZE.

Wśród śnieżystej zamieci,
Na wigilię do dzieci
Pan z panią jedzie wraz —
Przez znajome dróg szlaki,
Pędzą konie, jak ptaki —
Aż wbiegły w cichy las.

Mróz lśni się w iskier tysiąc,
A tam... Można zaprzysiądz —
Wilczysko patrzy z kniej.
Precz — bestyo przeklęta!
My do dzieci na święta —
Nam niema drogi złej.

Co tam głupie wilczysko,
Choć może gdzieś i blizko
Wyszczerza biały ząb...
Dubeltówka nabita,
Konie walą z kopyta,
Przez leśną, cichą głąb.

Cmoknij, Grzesiu -- pal z bata!...
Wiatr śnieżysty pył zmiata,
A dzwoneczki dzeń — dzeń!
Stój — woźnico! stój — chwilę —
Jeżeli się nie mylę,
Tam ludzki mignął cień.

Patrz: na zmarzły śnieg padła
Kobiecina wybladła —
I drży, jak suchy liść.
Pan się zbliżył: — »Biedoto!
A kto tobie piechotą
W noc taką każe iść?

Posiniałe masz usta,
Istny łachman twa chusta,
Dokądże idziesz ty
W noc tak strasznej zamieci?«
-- »Na wigilię — do dzieci —
Więc cóż mi noc i mgły!«

G. K.



Wśród powodzi wypadków, jakiemi nieobliczalny humor pani Polityki świat zwykł darzyć w każdej porze, jest jeden stale powtarzający się objaw — a tym jest nieprzerwana niczem cisza na horyzoncie politycznym podczas trwania Świąt. zarówno Świąt Bożego Narodzenia, jak i Wielkiej Nocy. Dyplomaci, którzy w zwykłych warunkach przypominają mitologicznego stuokiego Argusa, czuwającego dniem i nocą, składają na te kilka dni swoje teki — w przekonaniu, że nic nowego zdarzyć się nie może. Ani w murach żadnego parlamentu nie rozlegną się żadne uwagi, których echo, tak jak echo mowy hr. Thuna, rozległo się po całej Europie, wstrząsając posadami przymierza; — ani w gabinetach ministrów rodzić się nie będą groźne projekty, — przybierające kształt szeregu nowych pancerników, albo tysięcy nowozaciężnego żołnierza.

Nawet pan Miquel, pruski minister finansów, przestaje — tak mówią przynajmniej — obmyślać nowe podatki lub sposób „podniesienia uciemiężonej w Poznańskiem niemczyzny...

Nadchodzące Święta w innym nieco stanie znajdują konstelacyą polityczną Europy niż przeszłoroczna Gwiazdka. Na wschodnich krańcach Europy, ku półwyspowi bałkańskiemu, już nie zachodzi niebo groźnemi chmurami. Zamilkły ostatnie echa grecko-tureckiej wojny; na miejscach, które od dziesiątków lat były jabłkiem niezgody, pomiędzy dwoma pretendującymi narodami na Krecie, zakwitła obecnie oliwna gałązka pokoju. Kreteńczycy mają swego księcia, nie tego może, któregoby może chcieli, ale bądź co bądź mają i choćby i malowany książę, aby nie Turek, Kreteńczyków zadowolni; jest więc do przewidzenia, że książę Jerzy grecki zasiadłszy na tronie kreteńskim, może się doczekać na nim późnej starości, aby tylko za wielkich pomyłek nie robił, są przecież na półwyspie bałbańskim »władzcy«, którzy się tem tylko trzymają, że dają jak najmniej o sobie słyszeć.

Zmieniły się też nieco stosunki zewnętrzne państwa niemieckiego. Kurs »zygzowaty«, jak go nazywają złośliwi, znowu zbliżył się do Anglii; rok temu łączyła Anglików z Niemcami równie silna antypatya, jak dzisiaj przyjaźń, a jest uzasadniona nadzieja, że zmiana kursu ta potrwa choć może do Nowego Roku. — Kupcy niemieccy spodziewają się, że z tej nowej przyjaźni wyniknie chociaż traktak handlowy niemiecko-angielski.

Parlament niemiecki, po krótkich naradach zawiesił posiedzenie wskutek feryi świątecznych. Posłowie porozjeżdżali się do domów, wioząc wyborcom nieszczególny podarek świąteczny: projekt wojskowy. Projekt ten ma o kilkadziesiąt milionów powiększyć budżet państwa — które nie ma środków na podwyższenie pensyi nauczycielom ludowym, na opłacanie etatowych sędziów i na założenie większej ilości szkół fachowych? Centrum katolickie, które z dniem każdym staje się coraz bardziej rządową partyą, już podobno zgodziło się na przyjęcie tego projektu. Czyżby to miało być odwdzięczenie się za podarek cesarza Wilhelma zrobiony katolikom niemieckim przez zaofiarowanie im placu pod kościół w ziemi świętej. W każdym bądź razie bez osobnej zapłaty się nie obejdzie. Smutnie to świadczy o stosunkach parlamentarnych, skoro kwitnie tam prawdziwy handel.

I nasi nowo-obrani posłowie zawitali znów w progi rodzinne. Witamy ich z życzliwością i zaufaniem, że powieżonych mandatów dopełnią i godnie społeczeństwo polskie zastępować będą. W chwili tej, gdy tak uroczyste święto przed nami, nie chcemy poruszać żadnych kwestyi i wspomnień w sprawie stosunku posłów do ogółu polskiego. My, a sądzimy zarazem, że i społeczeństwo całe, widzimy w nich ludzi, którzy mogą i zapewne zechcą niezmiernie wiele zdziałać dla dobra ogółu, który im swe zaufanie oddaje.

Oby te parę tygodni, które posłowie spędzą między nami, przyczyniły się do rozproszenia wielu nieuzasadnionych uprzedzeń i oby zadzierżgnęły silny węzeł przyjaźni między społeczeństwem a jego reprezentacyą. Święto Pokoju, Święto Gwiazdki, niech wykarczuje wszelki plon niechęci, a niech rzuci dobry posiew zgody i pokoju w serca obywatelskie!

Przegląd prasy.

„Słowo Polskie“ organ bezstronny i niezależny, około którego skupiają się żywioły nie wciągnięte do wózka biurokracyi galicyjskiej, poświęca szereg uwag współczesnemu położeniu politycznemu żywiołu polskiego, w stosunku do zakresu pojęć z czasu powstania.

»Ktoby listopadowym powstańcom — pisze „Słowo Polskie“ — był powiedział, że wiek dobiegać będzie końca, a ta wielka idea, za którą oni krew przelewali i szli na tułaczkę, jeszcze będzie zawsze nieurzeczywistnionym ideałem narodu, — ktoby im powiedział, że jeszcze to jedno pokolenie polskie pójdzie ich krwawym szlakiem i legnie znowu i zostawi w spuściznie po sobie tylko cięższy trud i mozolniejszą pracę i większą mękę ducha w rozterce — byliby go wyszydzili jako człowieka małej wiary i ciasnego umysłu i serca. Tak się to wówczas nieprawdopodobnem, tak niemożliwem wydało!

A jednak — nietylko to jest prawdą, co się zdawało do prawdy niepodobnem, ale i to, że przez owych lat przeszło 60, potęga nieprzyjaciół narodu naszego wzrosła niepomiernie, a niemniej od ich potęgi wzrosła ich zawzięta, nieprzejednana nienawiść.

Ale tą właśnie nienawiścią swoją, tem wyszukiwaniem coraz nowych środków naszej zagłady — świadczą oni sami najlepiej, że mimo klęsk i wiekowych ucisków, żyjemy i jesteśmy jeszcze zawsze czynnikiem, z którym liczyć się muszą. Krew pokoleń, które walczyć mogły — a ciężki trud tego pokolenia, które całą narodową politykę w pracy zamknęło — sprawiły to, że dotąd jeszcze fale nieprzyjazne rozbijają się bezskutecznie o warownie nasze narodowe.«

Trudno słowom powyższym odmówić najzupełniejszej racyi. Rzeczywistość na każdym kroku stwierdza trafność tych zapatrywań. Wszak w porównaniu np. z Czechami, ba — nawet z Niemcami — jesteśmy daleko mniej zorganizowani na wszystkich polach, czy to na polu politycznem czy ekonomicznem, czy wreszcie towarzyskiem.

A jednak...

A jednak jak najzaciętsi wrogowie stwierdzają, odbijają się ich zapędy jak od muru... Jedno pokolenie po drugiem kładzie się do grobu, a każde nowo wstępujące w szranki odmiennie może pojmuje pracę nad odrodzeniem wewnętrznem narodu, ale niemniej o pracy tej nie zapomina. Owszem, te pociski wrogów przypominają opieszałym, że mają wobec sprawy święte obowiązki,

Tak np. projekty p. Gosslera zmierzające ku wytworzeniu przemysłu niemieckiego w polskich dzielnicach pobudziły nasze społeczeństwo do rozpatrzenia się w warunkach, jakieby sprzyjać mogły rozwojowi rodzinnego polskiego przemysłu. Czytamy o tem w **„Kurjerze Poznańskim“**:

»Nie taimy bynajmniej przed sobą, że jesteśmy społeczeństwem biednem, zupełnie tak jednak pieniędzy jeszcze u nas — Bogu dzięki — nie brak. Powstała u nas w Śremie Spółka młynarska, w Inowrocławiu zawiązała się temi dniami Spółka bazarowa: witamy obydwie z prawdziwem zadowoleniem i tem życzeniem, aby nietylko same rozwinęły się i prosperowały, ale nadto pociągnęły za sobą nowe przedsiębiorstwa.

Mamy także w Księstwie różne fabryki, które przy tym wzmagającym się ruchu przemysłowo-handlowym rozwinąć się pomyślnie mogą i muszą, jeżeli tylko będą rozporządzały, odpowiednim kapitałem. O tych fabrykach naszych żadną miarą przy tym nowym zwrocie przemysłowym zapomnieć nie powinniśmy. W Niemczech co chwila słyszymy o zamianie takich przedsiębiorstw prywatnych, jeżeli tylko są żywotne i mają przyszłość przed sobą, na towarzystwa czy to akcyjne, czy innego rodzaju, — dla czegoż i my nie mielibyśmy obrać sobie tej samej drogi dla poparcia rodzimego przemysłu i handlu.«

Ze stanem ekonomicznym u nas nierozdzielnie związany i polityczny interes; o tem powinniśmy pamiętać na każdym kroku i z tego zasadniczego stanowiska oceniać i te czynniki, z któremi mamy styczność na polu handlu czy przemysłu.

Z tego założenia też wychodzi **„Lech“**, gdy w artykule, dotyczącym stosunków Polaków do Żydów, pisze:

»Żydzi są przecież naszymi wrogami politycznymi, przeto my ich przyjaciołami także być nie możemy i nie powinniśmy. Oni nas na każdym kroku zwalczają, przeto ich odtąd także zwalczać powinniśmy. Ale zwalczając, nie zwalczajmy ich jako naród inny, lub dla ich religii — o nie — antysemitami być nie chcemy i nie będziemy, ale zwalczać ich winniśmy jako naszych politycznych wrogów i majątkowe pijawki dopóty, dopóki swego postępowania nie zmienią.

Pieniądz jest dziś potężną bronią, widzimy to jasno przy wyborach do sejmu pruskiego. W pierwszej i drugiej klasie głosują ludzie najbogatsi a w tych klasach najwięcej jest właśnie żydów.

Tak więc biją nas żydzi pieniędzmi, a my niestety sami im tę broń do ręki podajemy, znosząc im w dom nasz polski grosz.»

Nasuwa się tu nam wobec słów powyższych to, co kiedyś powiedzianem zostało o Polakach: „że im silniej ich los doświadcza, tem bardziej przyprowadza ich

do opamiętania". Oby to ostateczne trwałe opamiętanie, które ma być węgielnym kamieniem bytu narodowego, nie dało za długo czekać na siebie! Jeszcze długim, bardzo długim jest szereg naszych wad: lecz bezstronny widz przyznać musi, że świadomość tych wad jest zjawiskiem coraz czystszem. Mamy ogromną zachętę do pracy i podnietę w zarzutach, jakie nam czynią nasi współobywatele niemieccy i w tej obawie, która ich ogarnia wobec widma rozrostu naszego ekonomicznego **„Niwa Polska"** zdaje relacyą z zebrania hakatystów w Lipsku, w Tivoli:

»Ostatni np. sejmik publiczny hakatystów, jaki się odbył w Lipsku w Tivoli, w celu utworzenia grupy lokalnej tego związku dla Lipska, dość wyraźnie wskazał na źródło obaw tryumfującej dziś Niemczyzny. Straszą ją ponure widma Grunwaldu! Nie mówią wprawdzie tego otwarcie, lecz wspominają o podnoszeniu się fali słowiańskiej, która nie poprzestaje na Wschodzie Rzeszy, lecz »zagraża całemu cesarstwu tak, że dla tego każdy Niemiec dla utrzymania swej egzystencyi, powinien uczestniczyć w walce przeciw polonizmowi i przystąpić do związku dla utrzymania swej egzystencyi, powinien uczestniczyć w walce przeciw polonizmowi i przystąpić do związku dla szerzenia niemczyzny na wschodnich kresach« Tak przemawiał przewodniczący zebrania dr. Wislicenus, znadując u wszystkich gorące współczucie dla tego wezwania do walki przeciw polonizmowi. Mówił on jeszcze o groźnem rozwoju polskiego stanu średniego, który przyjął teraz rolę szlachty we walkach i t. p. Słowem roztoczył przed audytoryum przerażający obraz budzącej się siły, owej fali groźnej, napływającej od Wschodu.

Zaiste Polacy mogą być dumni z roli, jaką im wyznaczono przez hakatystów, i z dumą nieść na sobie brzemię prześladowań niemieckich, w tem chlubnem przeświadczeniu, że w pieniącej się już fali przyszłych słowiańsko-niemieckich zapasów los im wyznaczył pierwsze miejsce!«

„Niwa" kończy powyższym okrzykiem tryumfu. A z otwartym tryumfem takim spotykamy się coraz częściej w prasie naszej. Postępowanie to wysunąć może poważne wątpliwości. — Cieszymy się z roli, jaką nam odgrywać każą — a radość ta myli nam często pogląd na rzeczywiste smutne stosunki nasze. Porównajmy się z Niemcami. Olbrzymia potęga państwowa i ekonomiczna, a u nas budzące się dopiero poczucie solidarności. Niemcy jednakże ciągle postępowaniem swojem, w prasie i polityce, na zebraniach prywatnych i publicznych dają wręcz wyraz wielkiej obawie — a w rzeczywistości nie mają do niej takiego powodu. **„Goniec Wielkopolski"** referuje z drugiego zebrania hakatystów:

»Dalej przedstawia mówca znowu walkę stanu średniego. Walka ta ma być straszliwą (furchtbar). Polski stan średni, powiada, wypiera coraz więcej niemieckość. Dziać się to ma przedewszystkiem wskutek bojkotu polskiego; żaden Polak nie śmie, według twierdzenia mówcy, kupować u Niemca.

Dalej nie przepuszcza mówca i polskiej inteligencyi. Polscy lekarze i adwokaci posuwają się coraz dalej ku zachodowi. Winną temu ma być po części niezgoda niemiecka, a przedewszystkiem Centrum! Mówią wprawdzie, że tyle milionów Niemców nie potrzebuje się obawiać garstki Polaków; alež tych 50 milionów Niemców nie są ze sobą w zgodzie. Niemcy niechcą iść zgodnie przeciw Polakom. Doszło do tego, że już nie jesteśmy panami kresów wschodnich (Ostmark).

Polską prasę nazywa dr. W. »Hetzpresse«; prasa ta otwarcie pisze o wszystkim co Polaków dotyczy. Tej to prasie Niemcy zawdzięczają, że Górny Śląsk się polonizuje. — Jako dowód polskiej agitacyi, przytacza zdarzenie ze szkoły uzupełniającej w Odolanowie, a powołuje się na grudziądzkiego «Geselligera«. Miał tam niby jakiś uczeń, zapytany, jak się cesarz zowie, odpowiedzieć że »my nie mamy cesarza« etc.

Dalej omawia mówca polskie czytelnie ludowe, towarzystwa różne, w których się tylko po polsku rozmawia. Najniebezpieczniejszemi mają być towarzystwa Sokołów i Bak Ziemski, który już 3 miliony kapitału posiada. Nawet pruskim władzom czyni dr W. zarzut, że polszczą, a za dowód przytacza Generalną Komisyą. Nazywa to mówca dla Niemców hańbą (eine Schmach).«

Nie patrzmy na stosunki nasze przez hakatystyczne okulary i zdawajmy sobie sprawę z rzeczywistego stanu rzeczy. Wobec tego lepszą jest zbytnia obawa jak przedwczesny tryumf.



NA DOBIE.

Szanowna Redakcyo!

Będąc stałym czytelnikiem pisma waszego od lat kilku, z zajęciem śledzę niezwykłe postępy, jakie w rozwoju „Pracy" zauważyć się dają.

Mam tu na myśli mianowicie to, że właściwie mówiąc, i ja i mój karbowy z przyjemnością czytać możemy „Pracę', to znaczy, że „Praca" potrafi sprowadzać niejako do jednego mianownika te wszystkie pojedyńcze rysy, które łączą wszystkie klasy społeczne w jedną całość. Lecz nie chcę się rozwodzić na ten temat dalej, z obawy, żebyście czasem Panowie mego listu nie wzięli za zbiór pochwał dla „Pracy", nie odsądzili od druku, przeoczywszy główną część listu mego. Kilkakrotnie otóż spotykałem w »Pracy« zupełnie trafny i uzasadniony pogląd na stan przemysłu u nas, który wymaga największego natężenia sił.

Ale jakże mu pomódz? Powiadacie: brak kapitałów stoi na przeszkodzie rozwojowi przedsiębiorstw już zaprowadzonych i zakładaniu przedsiębiorstw nowych.

Zgoda na to.

Ale, na miłość Boską, czyż to u nas w samej rzeczy kapitałów niema? A ileż to tysięcy, a raczej miljonów wypłaca rok rocznie komisya kolonizacyjna?

A zresztą proszę spojrzeć na fakt: Niedawno rozeszła się pogłoska, że pan Józef Kościelski zakłada w Miłosławiu fabryki zapałek i tytoniu. Pomyślałem sobie zaraz: teraz jest p. Kościelski na dobrej drodze! Niechby tak tylko wszyscy nasi panowie zrobili, a zapewne by ich laury większe i pewniejsze czekały, niż na polu polityki, która nas tylko swarzy. Powtóre pozwolę sobie powiedzieć: czy to dla nas nie istnieje prawo o spółkach z ogr. poręką? Jeśli takie przedsiębiorstwo dobrze prosperuje a ma widoki powodzenia przy większym kapitale, to należy przekształcić je w spółkę. Spółek oszczędnościowych mamy wiele, bo je ks. Wawrzyniak pozakładał, ale spółek handlowych i produkcyjnych jest stanowczo za mało. I na tem właśnie polega zacofanie nasze ekonomiczne, że pozwalamy rdzewieć bezczynnie tej broni, która by nas wyprowadzić zdołała na równe szlaki. Czy czekać mamy aż nieba nam zeszlą drugiego ks. Wawrzyniaka?

Niech pismo wasze, a wraz z niem i drugie pismo sprawom przemysłu poświęcone, ‚Kurjer Handlowo-Przemysłowy", niechaj te dwa pisma postawią sobie za zadanie powtarzać wciąż społeczeństwu: *„kapitały dla przemysłu zbierzmy przez spółki!"* — a *bezwarunkowo* będziemy rychło widzieli zbawienne skutki tej pracy. Życzę najlepszego powodzenia.

M. O. Obywatel.

Szanowni Panowie!

W swej mozolnej pracy publicystycznej, poruszacie wszelkie sprawy polityczne, ekonomiczne, obyczajowe, społeczne, etyczne i Bóg wie jeszcze jakie, pomijacie wszakże jedną niemniej ważną, która zasługuje, aby i jej poświęcono nieco czasu i miejsca... Sprawą tą kłopoty rodziny i dzisiejsze położenie młodych panien.

Długo wahałam się, zanim ośmieliłam się zacząć ten list, lecz zacząwszy, pragnę, przemógłszy naturalną wstydliwość młodej panny — wypowiedzieć to, co mnie i moim tysiącznym towarzyszkom niedoli... leży bardzo na sercu.

Powiedziałam, że jestem młodą i nie skłamałam... W styczniu skończę lat 23 (nie potrzebuję ani roku ujmować, bo przecież panowie mnie nie znają i nie poznają nigdy). Jestem przystojną... mówią nawet, żem ładna i temu nie chcę przeczyć... zresztą uroda — dar Boży, zapierać się go to grzech, nie jestem w końcu ślepą i... mam lustro, co więcej mam kilka dziesiątków znajomych panów, którzy na rozmaite sposoby starają się mnie zapewnić, że jestem „zachwycająca." Temu naturalnie nie wierzę, ale przypuszczam, że podobać się mogę... Rumienię się, że to mówię, ale trudno, pragnę być szczerą...

Otóż, mimo tych wszystkich zachwytów, czułych spojrzeń, galanteryi i silniejszych uścisków ręki, bo i tego ustrzedz się trudno, żaden z nich nie uważał za stosowne zachwytów swych ujawnić bardziej lojalnie i uczciwie prosić o moją rękę... Z początku nie dbałam, bo nie myślałam o tem... lecz wśród tych panów trafił się wreszcie ktoś, co zainteresował mnie więcej...

Musiał to spostrzedz; nie tak łatwo i ukryć to zresztą. »On« nie ukrywał się również. Odtąd serce zaczęło bić silniej: Byłam szczęśliwą. Niestety!.. bardzo krótko. Nie wymieniliśmy wprawdzie ze sobą żadnych serdecznych wynurzeń, lecz nastał już moment, gdy nastąpić one musiały... Drżałam ze szczęścia... I nagle przestał u nas bywać... tydzień, dwa, miesiące całe! Myślałam, że oszaleję z rozpaczy i żalu... Był to pierwszy zawód sercowy... Zrazu myślałam, że zakochał się w innej, lub, że potrzebował posagu, a ja miałam tylko wyprawę i 3000 mk. po babce... Wiedziałam jednak, że miał sam poważne stanowisko i dobre dochody...

Matka odgadując moje bolesne wątpliwości powiedziała tylko: »bawił się!..«

Od tego czasu upłynęło lat 3... stałam się nieco praktyczniejszą, bojąc się jedno-

cześnie silniejszych wzruszeń serca, to też opancerzyłam się chłodem i obłudą, lecz nie wyrzekłam się jednocześnie chęci wyjścia za mąż...

„Starających się“ — jak to mówią — było jeszcze kilku, lecz do oświadczyn nie przyszło, bo i ci panowie „bawili się“.

Jakże to dla nas bolesna taka zabawa i jak niegodna ludzi mających poczucie uczciwości... Wszakże my biedne panny mamy również prawa do życia, tkliwe uczucie i potrzeby serca!.. Godziż się tem wszystkiem poniewierać, naigrawać się? Godziż się wreszcie marnować życie obywatela kraju na tego rodzaju zdrożną zabawę budzenia rozterki uczuć i zawodów sercowych?

Odpowiedźcie panowie na to i napiętnujcie jak należy tę zabawę panów stworzenia!“ *S. K.*

Z pod Krakowa.

Szanowni Panowie od „Pracy“!

Nie uczyłem ja się tam w żadnych niemieckich szkołach i rozum mam prosty niby nieprzymierzając jak ta tyka od chmielu. Ale ile razy swoim rozumem sobie jednę rzecz zmierzę, tyle razy mi wypada, że wy to chyba na swoje wyjść nie możecie przy tak obfitem i żywem wydawnictwie i to przy tak nizkiej przedpłacie. Bo co rusz, to wyczyta się co nowego, a wszystko tak różnorodne, praktyczne i pouczające, to znów tak serdecznie rzewne, a sercu tak miłe, że mimowoli czasami oko się zrosi. Niech Wam Bóg stokrotnie za to wynagrodzi! Serdecznie wdzięczny jestem też naszemu dziedzicowi, który mnie z Waszem pismem zapoznał. Jako gwiazdka za podjęte trudy niech Wam będzie me zapewnienie, iż pozostaję Waszym wiernym czytelnikiem aż do grobowej deski, w czem mi i Wam dopomóż Panie Boże!

Wierny czytelnik.

Pewien Polak, przybywszy w nasze strony z Berlina — tak piszą nam z okolic Lidzbarka — chętnie chciał zarobek mieć od Polaków i prosił ich o względy, jako rodak. Tymczasem poszedł do Niemca — drukarza, choć jest Polak w miejscu — i kazał drukować po polsku cyrkularz, który ku uciesze Czytelników tu podajemy:

»Podaję się do wykonania wszelkich Garderobów dla Panów i Chłopców, takze i Rewerendow dla Księzy pod gwaranciyo dobrego kraju i leczenia, i tem caszem uprzejemnie donosze, isz się kraju w berlinskiej Akademii uculem i bez długe lata w dobrech intereszach tego rodzaju pracowałem. Jestem przetosz w standzie, wszelkie ządania szanownego Panstwa zadoszic ucinic i tylko dobrze lezące i dobrzę odrobione rzeci oddac. Wszelkie reparacii we własnem werstacie w krótkim casie będą wykonane. Mieskam przy rynku i prosze o łaskawo podporke.«

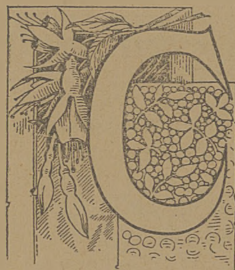
Jak taki pan śmie prosić o »podpórkę« rodaków, jeśli jego własne narodowe poczucie widocznie u p a d ł o bez podpórki?

Na ostatek koncept (autentyczne).

Była w jednem mieście w Księstwie wizytacya szkółki. Zwiedzający ksiądz pyta się jednego z chłopców: »Powiedz mi co to jest raj, i gdzie jest raj«.

Na to chłopak: »Raj jest u pani Kraszewskiej« (pani K. ma ogród gdzie się odbywają zabawy.

Nie wdając się na razie w teologiczne dysputy, życzymy czytelnikom, aby podczas Świąt Bożego Narodzenia w swych domach, pośród dziatek, przy domowem ognisku znaleźli — r a j. *Beta.*



Chodziła Panna Najświętsza po świecie, aż kiedyś zaszła do chaty ubogiego kmiotka i w kmiecej chatce prosiła o nocleg, bo indziej miejsca dla siebie nie miała.

Psy wiejskie spotkały ją na drodze i poklękały przed Nią, zamiast ujadać; poznały Panią z niebieskiego dworu, ale chłopek nie poznał jakiego gościa ma pod swoją strzechą, więc jął się wymawiać, że noclegu dać nie może, bo chałupę ma ciasną, a dzieci dużo, miejsca brak...

— Moja śliczna pani, — rzeknie do Niej w końcu — zajdź chyba do mojej szopy, tam przenocujesz spokojnie; w chacie nie mam kędy dać tobie noclegu.

O drugiej po północy wielka jasność nagle go zbudziła; wyjrzy na dwór, a tam nad szopą jego świeci gwiazda, ze wszystkich najjaśniejsza, a rój aniołów złotopiórych spadł na słomianą strzechę i jak stado gołębi kołuje nad nią i śpiewa, i raduje się, i wesoło głosi, że Panna powiła syna, z którego będzie: »chwała Bogu na wysokościach, a pokój ludziom dobrej woli na ziemi!..«

Wtedy kmieć ręce załamał zlękniony i biadać zaczął i wyrzekać:

— Wolałbym leżeć z dziatkami pod progiem, a Tobie, Boża Panno, odstąpić chatę całą, żebym był wiedział, coś za jedna! — żebym był wiedział!..

W szopie zaś Jezus malusienki drży od zimna a Matka rąbek z głowy zdejmuje na pieluszkę dla niego, garstkę ziół pod kolanka mu kładzie, słomą go okrywa i do snu kołysze piosenką: »Lulajże Jezuniu, lulajże, lulaj!..« I nie chce posługi aniołów, których trzydzieści tysięcy gotowych czeka na Jej jedno skinienie, jeno sama się krząta około Dzieciąteczka, bo żaden anioł matki nie zastąpi. A wieść o Narodzeniu Bożem najsampierw leci do ubogich, do prostaczków, do pastuszków pod lasem i budzi ich ze snu i wzywa, aby pierwsi bieżali witać Pana z nieba wysokiego, w żłobie złożonego na sianku, w ubóstwie wielkiem, skromniuteńkiego, jak polny kwiatek, choć cały świat jest Jego dziedzictwem.

Z hymnem aniołów, z kołysanką Bożej Matki, mieszają się głosy pastuszków; małej Dziecinie na multankach grają i rozmaite figle stroją, aby Pacholątko Boże zabawę miało; skromne dary szczerem sercem niosą i proszą o przyjęcie, a w żłóbku śliczny Jezus przygląda się temu i wdzięcznie się uśmiecha, i rączkę ku nim podnosi, jakby błogosławił.

Najświętsza krząta się w ubogiej szopie pełnej niebieskich świateł i ziemskiego gwaru i dobrotliwie, i pobłażliwie zachęca do wesołości pastuszków, co, z pokłonem pierwsi do Syna Jej przybieżali.



I rojno, i gwarno, i wesoło było koło kolebki Jezusowej jakby się z nieba jasność i błogość wieczna wylały na ziemię.

A kmieć, co Bogu dał w szopie gościnę, prosty kmieć, kowal wioskowy z zawodu, cudem wynagrodzony był za nocleg owy; miał córkę, dziewczę miłe, ale kalekie, co się bez rąk urodziło i marny żywot wieść musiało. Ono dziewczątko pod szopę się skradło, między anioły i pastuszki z kolendą, modre oczki miłosiernie na Jezusa zwróciło i stało pokorne, nieśmiałe i dziwiło się temu, co widziało. Więc Marya Panna, gdy kowalątko kalekie ujrzała, litością zjęta rzecze do córki kmiecej:

— A podaj-no mi dziecko moje ze żłobu!..

Wtedy dziewczynie łzy stanęły w oczach przystąpiła bliżej ze smutkiem, i z żałością wielką odezwała się;

— Jakoż ja niegodna podam, kiedym bez rąk?

— Sięgnij tylko biedoto!...

A ta sięgła i nagle urosły jej ręce, któremi Jezusa Matce mogła podać, więc jej dusza szczęściem wezbrała i zaczęła tą parą rąk urosłych w powietrzu machać, jak dwoma gałązkami świeżemi młoda

brzózka na wiosnę, i śmiała się. i płakała, i biegła do chaty, wołając:

— Oto mam ręce swoje, mam się czem modlić i czem pracować!...

Wigilia wygnańców!

W głębi kopalni, wśród skał Werczyńska
Kilku wygnańców w milczeniu stoi...
Kajdany ciężą, krew z dłoni spływa,
A myśl — o Polsce, Ojczyźnie roi...
Rzadka to chwila, bo na spoczynek
Czujni sołdaci czasu nie dają,
By Polak myślą nie żył, nie marzył
Oni — aż nadto pilnie czuwają,
Lecz dziśby spocząć przecie potrzeba,
Wszak to dzień Wilii — tej świętej chwili,
W której nadziei radosna nuta
Kartę zwątpienia z serca odchyli
I silną wiarą, umocni ducha
I wspomnieniami życie pocieszy...
Więc więźnie radzą — jak uczcić chwilę
Zanim znów sołdat z krzykiem pospieszy...

Stary, schylony — jak gołąb siwy
Wygnaniec biedny ze łzą powiada:
— Kolędę nućmy! na dźwięk tej pieśni
Zda się żelazo kajdan opada,
Zda się, że wolność roztacza skrzydła,
Zda się Bóg z nieba do nas przychodzi...
Wszak dla zbawienia, dla szczęścia ludzi
Pan z niebios jasnych na ziemię schodzi...
Ot! po zwyczaju — jakby przed szopką
My uklęknijmy — my niewolnicy
I w tej krainie krzywd, kajdan, mordu
Bądźmy wolności dziś kolędnicy,
. . . .

Brzękły łańcuchy — więźniowie klękli,
Okute ręce ku niebu wznoszą,
„Wśród nocnej ciszy" Bóg z niebios schodzi
Głosem złzawionym w pośród skał głoszą,
A echo martwych głazów im dzwoni
Wtórem posępnym, głuchym, tajemnym,
A blady płomyk kagańców miga
Iskrą światłości wśród kopalń ciemnych,
. . . .

Już pieśń skończona. Wtem więzień młody
Do braci z twarzą jasną się zbliża,
Ukrytą książkę z piersi zdejmuje,
Rozwija — szuka — otwiera — zniża,
Aż okrzyk szczęścia, okrzyk podziwu
Wzbił się radością wśród skał i kratek
— O Boże! Wielki!... więźnie wołają,
Wszak to opłatek, **polski opłatek!**
. . . .

Opłatek! dla nich, tam na wygnaniu,
Gdzie nie ma życia — tylko konanie,
Męczarnie wieczne — wieczna tęsknota
Czem jest— czy pojąć z nas to kto wstanie?
Opłatek! cząstka chleba białego,
Który przymierza, zgody zadatkiem,
Co miłość szerzy, miłość rozsiewa.
Wszak świat równości spływa z opłatkiem,
Bo to jest symbol wieczystej prawdy,
Bo to jest życia przyszłego manna...
Więc ciemność niknie, przemoc zdeptana,
Bóg z niebios zstąpił! chwała! hosanna!!
. . . .

Opłatka cząstką — więźniowie społem
Dzielą się milcząc, bo życzeń słowa
Gasną i giną — tu wypowiedzieć
Myśli nie wolno! . . .
. . . **Jest milczenia mowa,**
Mowa potężna, która w niebo bije,
Mowa rozgłośna, co sięga w głąb serca,
Mowa tak silna, której wróg się lęka
Jak trwoży ciszę zabójca — morderca.
Takiem milczeniem — mówią niewolnicy,
I taką mową naród z praw wyzuty,
Bez jęku, skargi, wciąż przemawia silnie
Olbrzym wolności, choć w więzy zakuty!!
. . . .

„Toż wielkie święto, toż uczta wspaniała,
Przełamać polski opłatek dziś z wami,
Ach! tegom pragnął dożyć przed śmiercią,"
Przemówił starzec wreszcie ze łzami.
„Lecz powiedz, synu, zkąd tyś zabrany,
Z której dzielnicy, Ojczyzny-Matki,
Niech wiem, z nad Wisły, Warty czy Niemna
Opłatek wziąłem — na dni — ostatki...
Jam lat pięćdziesiąt — wigilii nie miał,
Jam już pół wieku z kraju zabrany,
Ah! jakżeś synu mię uszczęśliwił,
Żeś dał opłatek, łzą Polski zlany..."
. . . .

Najmłodszy więzień, książkę swą świętą
Na piersiach bacznie kryje i chowa,
A na pytania starca siwego
Opowiadanie zacznie w te słowa:
„Nad brzegiem Wisły, nasz dwór sosnowy,
Nad brzegiem Wisły, kościołek biały,
Na prawo pola rozległe, śliczne,
Na lewo las jest ciemny, wspaniały,
W lesie mogiła. Tam to mię matka
Jeszcze chłopięcia wiodła — uczyła
I na mogile za zmarłych w boju
Modlić się zawsze z łzami prosiła.
O tej mogile lud wieści baje,
Mówiąc, że w głębi jej rycerz żyje,
Który gdy wstanie, Polskę odbierze,
A wrogom z piersi życie wypije.
I potwór straszny padnie na wieki
I nigdy ludów gnębić nie zdoła,
A nad mogiłą słońce zabłyśnie
I widać będzie skrzydła anioła,
Tak lud tam baje. Lecz raz na wiosnę
Na tej mogile stał się cud wielki,
Bo zamiast kwiatów — wyrosły kosy,
A zamiast rosy — błysły szabelki.
I nie wstał z głębi rycerz olbrzymi,
Ale stanęło powstańców koło,
Wezwali Boga na pomoc w drogę
I z pieśnią żwawą poszli wesoło.
A jam, pachole — na to wpatrzone
Z krzykiem do matki pobiegł, prośbami,
Ja pójdę z niemi! matko! ja pójdę
Za wolność walczyć już z Moskalami.
Matka pobladła — nie rzekła słowa,
Krzyż mi na piersi wnet zawiesiła,
Książeczkę dała, a między karty
Oto opłatka listek włożyła...
A potem — rzekła: Za wolność kraju
Idziesz mój synu ty już — ostatni..,
Szedł dziadek, ojciec, żaden nie wrócił,
Każdego niedźwiedź uwięził w matni...
Żyją? zginęli? nikt o tem nie wie,
I ty nie wrócisz — przeczuwa serce,
Lecz cię nie wstrzymam, a jeśli ciebie
W Sybir powiodą straszni morderce,
Ty o tem pomnij, iż w dzień Wigilii
My tam z Ojczyzny myśl ku wam szlemy
I oddaleni — zawsze opłatkiem
Z wami się łamać wtedy będziemy...
Bo święto wielkie Boskiego cudu
Musi nam serca krzepić nadzieją
I w Polsce kiedyś dzień ten nadejdzie,
Że chmury nieszczęść z mgłą się rozwieją."

Starzec schylony, słucha gawędy,
A pyta drżącym głosem młodziana:
„Czy ta mogiła w lesie dębowym
Mogiłą orłów nie nazywana?
A ten kościołek ma dzwon pęknięty,
Bo pękł, gdy Polski rozbiór głoszono?
A dwór nad gankiem ma datę roku,
W którym z Szwedami bój tu stoczono?"
Młodzian zdumiony na starca patrzy,
Słucha — rozważa — wreszcie powiada:
„Dwór ten ma imię — dworu Karola,
Mojego ojca, dziada-pradziada..."
. . . .

„Synu! mój wnuku!" starzec zawoła...
Ręce do więźnia wznosi — otwiera —
Młodzian z okrzykiem pada przed starcem,
Wtem sołdat pijany drogę zapiera.
„Paszoł! won!" krzyczy, tnie kolbą starca,
Krew się polała — ucichło serce..
. . . .

Tak to wigilią święcą wygnańce,
Tak na Sybirze — rządzą morderce.

24 Grudnia 1898.

Jadwiga S.

Wigilia w Zaosiu.

(Nadesłane na konkurs „Pracy").

Miało się ku zachodowi. Słońce połową tarczy już tylko sterczało nad pagórkami, lecz jakby miało Midasową potęgę wszystko w okół ozłacało swym blaskiem. Cudny zewsząd roztaczał się widok. Na tle tego przepięknego krajobrazu las odwieczny, pamiętający jeszcze litewskich bogów, dalej wyżyny, pokryte białym całunem i »ostatkiem światła« jak mówi Krasiński »jeszcze tlące biało«. Tuż przed tobą biała płaszczyzna a w dodatku jak najgłębsza cisza, przerywana tylko szczekaniem psów z poblizkiego sioła, monotonnym acz harmonijnym dźwiękiem dzwonków i parskaniem dzielnych gniadoszów ciągnących sanie. Wszystko to miało taką cechę swojskiego, że nie zamieniłbyś zań wszystkich skarbów świata, że znudziłyby cię wreszcie wszystkie piękności południowych krain i jak wędrowne ptaki napowrót byś dążył w te strony.

To też zadowolenie i wzruszenie malowało się na obliczu mężczyzny siedzącego na tylnem siedzeniu w saniach, i oddychającego z lubością atmosferą, która go otaczała. Mógł mieć lat około czterdziestu. Z twarzy jego można było wyczytać, że ból, troski i przygody wojenne już na niej niezatarte wyryły ślady. Tak też było. Adam Majewski, tak się podróżny nazywał, był jednym z tych ludzi, którzy stawali w obronie najszlachetniejszego protestu Polski przeciw zachciankom wrogów, najszczytniejszego pomnika naszej żywotności, konstytucyi trzeciego maja. Po ostatnim rozbiorze wstąpił do legionów, gdzie, dzięki swej waleczności, został pułkownikiem. Mając rozgałęzione stosunki w zaborze moskiewskim, dostał od Dąbrowskiego zaszczytne polecenie udania się w te strony, aby przygotować grunt pod przyszłą walkę o niepodległość. Misya ta była bar

dzo niebezpieczną i wymagała jak największej ostrożności. Majewski zdołał atoli oszukać czujność wroga i ujść szczęśliwie wszelkim niebezpieczeństwom.

Mając w Nowogrodzkiem siostrę wydaną za p. Mikołaja Mickiewicza, zatęsknił za swoimi i gdy czas Bożego Narodzenia się zbliżał, postanowił się udać do Zaosia, by ze swoimi może raz ostatni opłatek rozłamać i oddychać polskiem powietrzem.

Wjeżdżał właśnie w wieś, gdzie wszystko co napotkał, dowodziło, że właściciel był jej prawdziwym ojcem. Dopytawszy się o dworek chłopa, dziwiącego się, że w dzień, kiedy „Jezusinek“ na świat przyszedł, można podróżować, z niemałem wzruszeniem wjeżdżał na dziedziniec, gdy już zmrok ziemię w swe objęcia tulił. W jego sercu tylko jedno powstało pytanie »czy cię też poznają«?

Na odgłos dzwonka gospodarz wypadł z domu, ciekawy kogo Bóg o tej porze prowadzi. Poznawszy wreszcie brata swej ukochanej Barbary, rozpromieniony padł mu w objęcia, a na obliczu jego odbiło się szczere zadowolenie, cechujące tak dobitnie naszą gościnność, jak równej nie ma w świecie, kiedy gościa przyjmujemy w progi naszego domu. Poruczywszy konie i woźnicę opiece domowników, wprowadził gościa do obszernego pokoju, gdzie na środku stał długi stół, nakryty obruszem na sianie. Rozebrawszy brata z ciężkiego futra, usadowił go w wygodnym fotelu i nuż przy kielichu starego węgrzyna wypytywać gościa o jego losy, rozmawiać o nadziejach i kiedy się przyjścia naszych spodziewać można. P. Adam odpowiadał na wszystko z roztargnieniem; dziwiło go i niepokoiło go razem, że siostra tak długo się nie pokazuje. Tłumaczył sobie początkowo jej nieobecność zajęciami domowemi i przygotowaniem wilii, lecz kiedy brat z daleka po kilku latach przybywa, czy nie porzuca się wtenczas wszystkiego i biegnie się na jego powitanie? Nie mógł się wreszcie powstrzymać od wyrażenia swego zadziwienia. Gospodarz uśmiechnął się na jego obawy. „Dzień dzisiejszy“ rzekł „jest dla mnie trzykrotnem świętem: narodzenie Zbawiciela, twoje przybycie i — Tu dalsze tłumaczenie okazało się niepotrzebnem, bo z przyległego pokoju odezwał się głosik małej istoty, krzyczącej na całe gardło i dającej światu znak, że większego żąda uwzględnienia.

Adam witał się niedługo z siostrą, bladą, lecz rozpromienioną szczęściem i dumą matki, i przystąpił do kolebki malca. Ten z ciekawością spozierał na sumiaste wąsy pochylającego się nad nim wojownika i nie czując dla obrońcy Ojczyzny czci przynależnej, pochwycił je w swe drobne rączki, nie chcąc zdobyczy popuścić. Dopiero gdy zwyciężony złożył na małych usteczkach gorący całus, młody bohater zadowolony wreszcie z tej daniny, uwolnił ze swych objęć herkulesowych zagrożone wąsy. W tej chwili jakby ducha proroczego Bóg zesłał na gościa: „Gdy wyrośniesz“, przerwał milczenie, tak jak i ja staniesz w obronie naszej Matki i naszych wspólnych ideałów i nic cię z tej drogi zepchnąć nie zdoła.“

Tymczasem w wielkim pokoju zastawiono wieczerzę, do której gospodarz zaprosił gościa. Po krótkiej modlitwie nastąpiło łamanie się opłatkiem, ten piękny nasz zwyczaj, będący dowodem, że nigdzie tak jak u nas szlachcic w poddanym swym uznawał brata, i że tylko obcy wpływ i zepsucie obyczajów wyrobiło tak wielką różnicę między chłopem a panem. Do stołu zasiedli wszyscy domownicy, którzy dla swego „kochanego pana“ w ogień by poszli. Ucztę te obfitą krasił świetny humor p. Adama, opowiadającego jeszcze późno w wieczór anegdoty z Kościuszkowskiej i włoskiej kampanii. Wszyscy czuli się członkami



jednej wielkiej rodziny i serca ich jednem brzmiały tętnem miłości ojczyzny. Szczególnie ulubieniec całego domu, chłopak kredensowy Michał, słuchał z natężoną uwagą opowiadania gościa, dusza jego wyrywała się na pole walki, w kraj przesycony krwią naszą. To też gdy wszyscy, by nie zaspać pasterki, udali się na spoczynek, zapukał nieśmiało do pokoju p. Adama i przypadając mu do kolan, prosił ze łzami, by go zabrał ze sobą. Rozrzewniony p. Adam okazał gotowość ku temu i rumieniącego się ze szczęścia chłopaka przycisnął do swego serca.

W dwa dni później odbyły się chrzciny na których p. Adam figurował jako ojciec chrzestny. Na trzeci dzień wracał w szeregi walczących braci, prowadząc z sobą młodego legionistę, odprowadzony błogosławiańśtwem i łzami pozostających. Za brał z sobą paczkę opłatków, by je rozdzielić między walczących, stęsknionych za domowem ogniskiem i połączyć ich duchowym węzłem z pozostałymi w kraju. W dwa lata później poległ razem z Michałem śmiercią walecznych.

Proroctwo p. Adama się spełniło. Chrześniakiem owym był nasz wielki Adam, z Kościuszką największy syn Polski zeszłego stulecia, który ani na chwilę nie wahał się złożyć własnego szczęścia na ołtarzu ojczyzny i tak jak jego wuj ziarno miłości ojczyzny rozsiewał w serca prostaków i przez to coraz większe zastępy walczących słowem i...... w obronie ojczyzny formował. On nie mało się do tego przyczynił, że masy które dawniej w życiu naszem politycznem mało lub wcale nie brały udziału, powstały z uśpienia i że nasza przyszłość przez to coraz pewniejszą zyskuje podstawę.

K. Weingibz.



Wilija.

Nadesłane na konkurs »Pracy».

Śnieg okrył ziemię, mróz pozciął wody,
Dziś jest Wilija, a jutro Gody!
Słońce na zachód zwolna idące
Dobywa z lodów iskier tysiące.

Śnieg w jakieś dziwne szańce pogięty,
Na białych drzewach wiszą brylanty.
O! jak mi błogo! Jam chłopiec młody,
Na nogach łyżwy, w koło mnie lody!

Biegam i biegam — czas szybko mija
I zapomniałem, że dziś Wilija.
Słońce tymczasem znikło za górą
Cały się zachód okrył purpurą.

Śnieg się rumieni, mrok mnie opada,
Na niebie błysła gwiazdeczka blada —
O! dziś Wilija! ja zapomniałem,
Chociaż rok cały na nią czekałem!

Lecę, — pod stopą śnieg twardy świszczy,
Bo w naszych oknach już światło błyszczy.
Serce me bije! Dopadam chatki,
Zdaleka widzę już postać matki.

Ona jak anioł wśród izby stoi,
Wkoło niej siostry i bracia moi,
Wszystkie twarzyczki pełne uciechy,
Na wszystkich twarzach szczęścia uśmiechy.

Matka z rozkoszą gwarów ich słucha
I im łakocie daje z fartucha.
Wpadam do izby zdyszany cały,
W progu mnie oczy matki spotkały.

»Mój Józiu, — woła chodźże tu przecie,
Gdzieżeś tak długo bawił me dziecię?«
I pełną czapkę promienna cała
Różnych łakoci mi nasypała.

A potem matka na krześle siada,
A my u nóg jej; — i opowiada
Nam owe dzieje dawno słyszane,
Lecz zawsze miłe, zawsze kochane.

O owej małej w żłóbku dziecinie,
Przez którą na świat zbawienie płynie,
I o pastuszkach co dary nieśli,
Gdy usłyszeli anielskie pieśni.

II.

Na niebie gwiazda ta sama świeci,
Lecz gdzie zostały te małe dzieci,
Niegdyś szczęśliwe, niegdyś swobodne,
Gdy u stóp matki siedziały zgodne?

Na niebie świeci gwiazda ta sama,
Lecz w grobie leży matka kochana,
Dzieci w świat poszły losu rozkazem
Nigdy już Wiliji nie spędzą razem.

III.

Znów gwiazda mówi słodką swą mową....
Ileż burz przeszło nad moją głową,
O, ileż gromów serce rozdarło,
Ileż nadziei moich umarło!

A jednak chociaż rzecz nie do wiary,
Gwiazdka w mem sercu roztacza czary..
Znowu przedemną lody błyszczące
Znowu z nich iskry dobywa słońce.

I znowu nagle zmrok mnie opada,
Na niebie błyszczy gwiazdeczka blada —
Serce me bije! znów śniegi świszczą,
Bo w naszych oknach już światła błyszczą.

I znowu matka wśród izby stoi
Wokoło niej siostry i bracia moi,
Ona z uśmiechem gwaru ich słucha
I im łakocie daje z fartucha.

I znów się sypią w mą czapkę małą
Złote orzechy i ciastka białe,
Rumiane jabłka, słodkie karmelki
I z czekolady gwiazdy, szabelki.

I znowu siedzę u nóg mej matki
I znowu widzę ściany jej chatki,
Znowu jej rękę czuję na głowie
I miłość czuję w każdem jej słowie.

Szczęśliwe chwile, błogie godziny,
Co kołysały duszę dzieciny,
I dzisiaj jeszcze w wieczorną ciszę,
Zbolałe serce moje kołyszę!

A. N.

GWIAZDKA.

OBRAZEK WIGILIJNY

przez Jotę.

(Nadesłane na konkurs »Pracy.«)

Lampa zielonym abażurem osłonięta rzucała łagodne światło na pokój, który był salką, jadalnią i sypialnią zarazem. Kanapa i fotele o wysokich poręczach, pokryte spłowiałym rypsem, portret olejny na ścianie, świadczyły o dawnych, lepszych czasach, dwa łóżka, stół, biurko staroświeckie i maszyna do szycia dopełniały umeblowania. Mimo tego oryginalnego urządzenia, mieszkanie przyjemne robiło wrażenie; znać było na wszystkiem miękką, kobiecą rękę, która ład i porządek utrzymywała. Rośliny w doniczkach na oknie, bukieciki robionych kwiatów i różne drobne graciki, tu i owdzie rozrzucone, rozweselały poważny, niemal surowy wygląd pokoju.

Opodal stołu na wielkim fotelu siedziała niemłoda kobieta i szczupłemi palcami przesuwała ziarna różańca. Twarz jej blada, o regularnych rysach, mówiła o dawnej piękności, ale osiadł na niej jakiś wielki smutek i ogromne pognębienie. Oczy, sinemi okolone obwódkami, smutne, zmęczone patrzyły przed siebie a usta poruszały się słowami modlitwy.

— Boże, wróć mi syna, wróć mi jego przywiązanie.... Boże, natchnij go, prowadź — szepnęła błagalnie.

Wigilia Bożego Narodzenia — takie uroczyste święto... każda rodzina gromadzi się w tym dniu przy stole, dzielą się opłatkiem, a jej Stach nie przyjdzie, choć jest tak blizko — w jednem mieście.... zapomniał o matce, wyrzekł się jej. Dawniej miała dwoje dzieci a teraz jej tylko córka została..... we dwie tylko z Anielką zasiądą do wilii... Gdzie przyczyna, w czem wina tego rozdwojenia? Przecież ona, matka, ze wszystkich sił starała się dobrze wychować dzieci, poczciwe zasady przelać w ich dusze.

I myśl biednej matki pobiegła w przeszłość — do owej chwili — kiedy po śmierci męża, spadł na jej barki cały ciężar wychowania i wyżywienia dzieci. Nie rozpaczała, nie opuściła rąk bezradnie tylko z energią zabrała się do obowiązków. A ciężkie to były czasy, gdy późno w noc, nad igłą pochylona, szyła bieliznę do magazynów i z niepokojem myślała, czy starczy na chleb dla dzieci. Pan Bóg jej dopomógł — syna oddała do gimnazyum, córkę na pensyą. I dobre były jej dzieci i tak dobrze im było razem..... Dopiero później — po kilku latach zobaczyła zmianę w swym synu. Jakieś obce wpływy psuć go poczęły — stawał się skrytym i przestał lgnąć do domu. Bóg widzi, robiła wszystko co mogła i jak umiała, aby naprawić to, co się w nim psuć zaczęło, aby go przywiązać do rodzinnego domu. Potem złożył egzamin z odnaczeniem, bo zdolny był bardzo i poszedł na akademią. Córkę musiała z pensyi odebrać, bo jej dochody nie wystarczały. Odtąd wspólnie z Anielką zaczęły pracować, oszczędzały, sobie skąpiły, aby tylko jemu dostarczyć pieniędzy. A potrzebował ich dużo, dużo...

Z początku dość często pisywał, potem coraz rzadsze i krótsze bywały jego listy. Wreszcie, zdawszy egzamin na lekarza, wrócił do domu, ale jakiś zmieniony, obcy im i przestali się zrozumieć wzajemnie. Osiedlił się potem w rodzinnem mieście i dobrze mu się wiedzie, ale oddalił się od nich zupełnie. I doszło już nawet do tego, że unika ich, a spotkawszy na ulicy, udaje, że ich nie widzi. Boi się pewnie, aby mu matka nie popsuła karyery świetnej — stara się bowiem o córkę dorobkiewicza, który nieuczciwym sposobem dorobił się majątku. Ale on na to nie zważa, chodzi mu tylko o pieniądze, w których jedynie widzi szczęście i zadowolenie. Smutne te myśli pani W. przerwało wejście córki. Przez otwarte drzwi do kuchni wleciały do pokoju zapachy postnych potraw i Anielka z twarzą zarumienioną od ognia i błyszczącemi oczyma uśmiechnięta stanęła przed matką. Naraz zobaczyła jej smutek większy niż zwykle, spoważniała nagle i westchnęła cicho. Potem zaczęła mówić głosem, któremu starała się nadać ton swobodny:

— Mama tutaj siedzi i marzy, ani zajrzy do mnie, a ja tak gotuję, smażę i próbuję, aby wszystko było jak najlepsze. Muszę się wprawiać — dodała z uśmiechem — zobaczy mama, jaką na przyszły rok »pani budowniczowa« wyprawi wilią i będzie nam lepiej niż teraz.

— Daj Boże, abyś choć ty była szczęśliwą — odpowiedziała matka z westchnieniem.

— Ja wiem, o czem mama myśli — rzekła Anielka — ale to się może wszystko na dobre zmienić i Staś do nas wróci. Tylko niech się mama tak ciągle nie matwi — moja mamo.



— Już przestałam się spodziewać lepszej doli, moje dziecko.

— I jakże — dodała po chwili innym już głosem — dasz sobie sama radę?

— O tak, niedługo będzie wszystko gotowe — odrzekła córka i poszła kończyć wieczerzą.

Sutszą dziś, niż inne lata sposobiła Anielka wilię. Większe w tym roku dochody pozwoliły jej na niejeden zbytek, którego sobie dawniej odmawiała. Gotując jednak powtarzała sobie ciągle: poco to — naco — wszak naprzód już wiedziała, że zasiędą do stołu bez apetytu i smutek zasiądzie z nimi i będą jadły, łzy połykając.

— Ten Stach, ten Stach — myślała — żeby choć dziś przyszedł do nas, choć na chwilę — mama by odżyła.... tyle lat żyć z taką zgryzotą — to tak ciężko, tak ciężko.

I rzeczywiście ciężko było tym dwom kobietom z ich troską. Ostatecznie kto inny byłby sobie powiedział: zostawiłeś nas, wyrzekłeś się nas — dobrze, urządzamy sobie życie bez ciebie. Ale one tego powiedzieć nie chciały; raz dla tego, że ich proste, szlachetne, poczciwe natury wprost nie chciały wierzyć, aby ten ich Stach był tak złym zupełnie — a powtóre, że tego Stacha kochały jednak bardzo. Żeby choć był szczęśliwy, żeby o jego przyszłość mogły być spokojne — ale i to nie — hula, gra w karty i chce się żenić dla pieniędzy nieuczciwie zdobytych.

Anielka była zaręczona, ale nawet to małżeństwo, to przyszłe szczęście przysłaniała jej mgła żalu i bywały chwile, że gotowa była nawet tego szczęścia się wyrzec, aby tylko był takim, jakim go wi-

dzieć pragnęła. Czasami znów miała poczucie, że im się jednak wielka krzywda dzieje i coś jej się w duszy buntowało na tę niesprawiedliwość losu. Bo one przecież dla niego były zdolne do każdej ofiary, a on im za poświęcenie niewdzięcznością — za miłość obojętnością zapłacił.

Stanisław tymczasem wracał z praktyki rozdraźniony i zniechęcony. Widoki matrymonialne zawiodły go, posażna panna dała mu do zrozumienia, że za niego nie wyjdzie. Był to dla niego zawód wielki — nie sercowy. bo serce w tej sprawie nie grało żadnej roli, ale chciał przez ożenek dojść do majątku. Przytem i jego miłość własna mocno ucierpiała. Niepowodzenie to wyprowadziło go z równowagi i był od kilku dni zły i niezadowolony. Dziś znów odwiedzając pacyentów, widział w każdym domu przygotowania do wilii i gwiazdki. Wszędzie panowało wielkie ożywienie, wielkie przejęcie się tym dniem uroczystym i radosne oczekiwanie wieczoru. To obudziło w młodym człowieku dawne wspomnienie i pragnienie domowego ogniska. — Przyszedłszy do mieszkania, uczuł taką pustkę, że miał ochotę wrócić się, ale pomyślał sobie, że niema dokąd i został. A struny wspomnień przypadkiem poruszone, odzywały się ciągle. Przed oczyma stawał mu dom rodzicielski, choinka — widział matkę, taką dobrą uśmiechniętą, jak rozdawała im podarki. a on z siostrą tańczyli w około drzewka. I widział drugą główkę dziewczęcą, płową. To Jania, towarzyszka zabaw dziecięcych, mieszkali w jednej kamienicy, widywali się więc codziennie. Była to jego pierwsza miłość. — Jak ona teraz wygląda? pomyślał. I nagle poczuł wielką chęć pójścia do tego domu i spędzenia z niemi razem wigilii. Zaraz jednakże ochłonął, jakby się wstydził sam przed sobą tej myśli i począł powtarzać sobie: głupstwo... dzieciństwo... Jeśli człowiek chce dojść do czegoś w życiu, musi się pozbyć czułostkowości, która tylko zawadza w życiu. Darwinowska walka o byt — nic więcej...

A jednak bywają chwile, że uczuwa straszną pustkę naokół, że brak mu kogoś, ktoby go zrozumiał — odczuwał z nim razem. I przyszło mu na myśl, że miał dawniej dwie istoty, oddane sobie — kochające i odszedł od nich.

— Nie rozumieliśmy się i drogi nasze się rozeszły...

— Z twojej winy — rzekło mu sumienie..

Pan Stanisław gorączkowo chodził po pokoju, a głos jakiś szeptał mu w duszy: idź do nich — idź do nich.

— Nie przyjmą mnie, zasypią wyrzutami — nie pójdę... dziś już za późno.

Zapalił lampę — zaczął czytać, ale nic nie rozumiał; przed oczyma stawały mu drogie twarze, wieczór wigilijny... Z nagłem postanowieniem wstał szybko z siedzenia, wziął futro, kapelusz i wybiegł z domu.

W drodze myślał nad tem, jak go przyjmą — co im powie. W kilka minut zapukał do drzwi — posługaczka mu otworzyła i pan Stanisław stanął na progu z bijącem sercem. — Jednem spojrzeniem objął pokój cały — potret ojca, wiszący na ścianie, stół, na nim wazę dymiącą, a przy stole matkę i siostrę.

Pani W. podniosła głowę, zmrużyła oczy szyciem osłabione — nagle wstała i krzyknęła długo...

A syn znalazł się w jej ramionach.

— Moje dziecko, moje dziecko — szeptała ze wzruszeniem — przyszedłeś... niech ci Bóg nagrodzi...

Stanisław uczuł nagle, że go coś chwyta za gardło i nie mógł słowa wymówić. Z kolei siostra wyciągnęła do niego obiedwie ręce:

— Nareszcie, Stachu. nareszcie...

— Zatęschniłem do was — wyrzekł.

— I przyjdziesz do nas częściej — nieprawdaż?

Potem dzielili się opłatkiem i zasiedli do stołu. A po tem wielkiem wzruszeniu opanowała ich nagle wesołość ogromna i poczęli rozmawiać swobodnie. Stach był z początku jakiś nieswój i onieśmielony, wkrótce jednak, zachęcony ich dobrocią i serdecznością zaczął opowiadać o sobie. Ani się spostrzegli, jak im wieczór zeszedł na rozmowie — gdy nagle odezwał się dzwonek a Anielka wybiegła pospiesznie.

— To Jania — chodzimy zawsze razem na pasterkę — objaśniła matka — ciągle jeszcze mieszkamy w jednym domu.

— Spóźniłam się dzisiaj — rzekła Jania wchodząc, ale czytałam dzieciom i nie chciały puścić biednej ciotki Jani...

I urwała nagle zdziwiona.

— A, pan doktor się zjawił — przemówiła — pewnie jako podarek gwiazdkowy...

On się zmieszał na razie i odrzekł:

— Tak, pani, jako podarek gwiazdkowy.

— Ale proszę się spieszyć, moje panie, bo później nie dostaniemy miejsca. Już czas największy.

— Panie zawsze razem chodzą na pasterkę? i tak same w nocy? — zagadnął młody człowiek.

— O nie boimy się — ja idę jako opieka — odpowiedziała z uśmiechem.

— Dzisiaj ja będę opieką pań...

— A, jaki Pan łaskaw — gdybym mogła, zrobiłabym Pana prezesem towarzystwa opieki nad kobietami — byłby Pan niezrównany na tym urzędzie...

On udał, że nie rozumie przymówki i odparł wesoło:

— Dziękuję pani za uznanie.

I rozmawiając, przyglądali się sobie nawzajem. Jego oczy mówiły:

— Jakaś ty ładna — wiele ładniejsza niż dawniej, kiedyśmy się kochali — pamiętasz.

A oczy panny odpowiadały:

— Jeśli myślisz, że dotychczas noszę w sercu żałobę po tobie. to się mylisz, oho — jam nie dawna Jania, co gotowa była skoczyć w ogień dla ciebie...

Noc była pogodna, mroźna. Śnieg leżał na ziemi a na niebie migotały gwiazdy. Wiatru nie było wcale, ale mróz szczypał po twarzach — szli więc szybko, rozmawiając wesoło.

W kościele panował półmrok — tylko wielki ołtarz gorzał jasnem światłem.

I była cisza wielka, uroczysta — przerywana tylko stąpaniem ludzkiem, które rozlegało się echem — lub szeptem modlitwy.

Usiedli w stalach; kobiety zaczęły się modlić żarliwie, a młody doktor ukrył twarz w dłoniach. Czuł jakiś wielki chaos w głowie po wrażeniach dnia tego. I począł rozmawiać do siebie w duchu: że jednak dobrze zrobił, poszedłszy do matki — czuje się lepszym dzisiaj, a one jednak niezwykle dobre — że dawne jego życie bardzo było nędzne razem ze swą trzeźwością i walką o byt — jest oto teraz w kościele po tylu latach a obok siedzi dawne jego kochanie i śpiewa. Zdawało mu się. że droga, po której szedł dotychczas, to sen jakiś przykry, męczący— a teraz dopiero znalazł gościniec równy i szeroki.

A kościół cały rozbrzmiewał pieśnią. »Wśród nocnej ciszy... głos się rozchodzi...« śpiewały tysiące głosów — a wielka radość i wielka rzewność dźwięczała w tym śpiewie.

W sercu pana Stanisława zerwała się nagle jakaś fala radości i wzruszenia — taka ogromna, potężna i biegła razem z tą pieśnią a usta bezwiednie wyszeptały: »Dzięki ci, Boże, za tę gwiazdkę«.

Jota.

W NOC WIGILIJNĄ.

(Nadesłane na konkurs „Pracy“.)

Cisza urocza, drzemie przyroda,
Noc ją kołysze słodko do snu,
I jeszcze jedno ciche „Dobranoc“
I już zasypia pod tchnieniem dżdżu.

Na niebie koło gwiazd milionowych,
Wśród nich księżyca tarcz srebrna lśni,
Na ziemi spokój, spokój grobowy,
Bo pracą znużon ród ludzki śpi.

Tylko pasterze na Betleemu
Stromych wyżynach pilnując trzód,
Czuwają jeszcze, choć północ blisko,
Zdala od miasta spiżowych wrót.

Nagle wśród błogiej, uroczej ciszy
Rozbrzmiewa koncert z niebiańskich niw,
Koncert radości i uwielbienia
I najcudnieszych melodyi dziw.

Niczem słowika są srebrne trele
I ptasząt śpiewnych, gdy świta maj,
Niczem koncerty muzyków ziemskich,
Co duszę niosą w nadziemski kraj.

Grzmią bowiem kotły, trąby, cymbały,
I słychać skrzypiec czarowny ton,
Dźwięk harfy, lutni, fletu, gitary
I akordowy uderza dzwon.

Budzi się nagle cała przyroda,
Bo taka cudna melodya brzmi,
Budzą się góry, budzą doliny,
I niebo całe radością drzy.

Podają koncert tysiącznem echem
Góry dolinom i kwiatu kwiat,
I wkrótce jeden hymn uwielbienia
Nóci radosny przyrody świat.

Nóci łagodny zefir na szczycie
Wśród gęstych liści zbudzonych drzew,
I strumyk wartki, tocząc swe wody,
Szemrze do wtóru wesoły śpiew.

Wtem słychać pienia, rajskie hejnały
Płyną ku ziemi z lazurów pól,
Wielbią Anieli Pana Zastępów,
Bo on wszechświata potężny król.

„Oto się stało światu zbawienie,
Bóg się narodził, odkupić świat,
Jako głosili niegdyś prorocy,
Czekał nań naród tysiące lat.

„Stanął na płaczu i łez padole,
Niechaj Mu będzie chwała i cześć,
Raduj się ziemio, bo przyszedł na to,
By pokój Tobie, zbawienie nieść.“

Słyszą pastuszki, pojąć nie mogą,
Że oto największy spełniony cud,
Że obiecany w raju Zbawiciel
Już w Betleemu zawitał gród.

A oto jasność ich otoczyła,
By majestatu Bożego blask,
Stanął przed nimi Anioł w promieniach,
A szaty jego jak słońca brzask.

I przerażeni takiem zjawiskiem
Wnet kornie przed nim zginają nóg,
Mniemając, że jak niegdyś prorokom
Im się objawił Mojżeszów Bóg.

A Anioł do nich łagodnie rzecze:
„Mili, nie trwóżcie się, pokój wam,
Oto w Betleemu niskiej stajence
Zrodził się Zbawca, Chrystus, Bóg sam.

Dążcie do miasta Dawidowego,
Znajdziecie dziecię i matkę wraz,
Odwieczne Słowo ciałem się stało
I zamieszkało już wpośród was.“

Biegną pastuszki do Betleemu,
Wchodzą w stajenki ubogiej próg,
Znajdują dziecię, jak Anioł głosił,
W żłobie złożony Zbawiciel—Bóg.

Przy Nim przed wieki wybrana matka,
Gdy Ewę skusił do grzechu wąż,
Marya, piękna, pełna radości,
I Józef święty, Jej czysty mąż.

Klęczą pastuszki, w sercu się cieszą,
Że Messyasza otrzymał lud,
I pokłon dawszy wracają w góry,
I głoszą Bożej wszechmocy cud.

Wingolf.

RENEGAT.

Nadesłane na konkurs »Pracy«.

Mamusiu! Co dziecino! Wszak i tego roku dziecię Jezus o mnie nie zapomni, wszak mi przyniesie pełen trzewiczek „dobrych rzeczy“. Tak dziecino moja. »I książki?“. I książeczki z obrazkami i z Dzieciątkiem w żłóbku, ale śpij teraz kochanie, już poźno. Dobrze mamusiu, ale... Ale co dziecinko? Czy Klarcia dostanie także drzewko, takie duże drzewko i taką śliczną książeczkę z kolendami, jaką mam od Mamusi? Nie wiem kochanie, ale dla czego pytasz o to? Bo ja chciałabym jej posłać swoją. — Widzi mamusia, ona biedna, ona podobno nigdy naszej mowy nie słyszała, więc nie zna polskiego Dzieciątka Jezus, i nie umiałaby pewno zaśpiewać »W żłobie leży»; Mamusiu, ja jej poślę moje kolendy i moje pieśni i polskie Dzieciątko Jezus w żłóbku spoczywające. Przeszłego roku Mamusia płakała łamiąc się ze mną opłatkiem, a potem powiadała Mamusia mi o wujaszku i Klarci i o Janku. Ja wiem, że oni daleko i niechcą do nas przyjechać, ale jak wujaszek zobaczy nasze polskie Dzieciątko z napisem; „Chwała Panu naszemu“ i te śliczne kolendy, to może.... może zechce przypomnieć sobie naszą mowę i nas zobaczyć i uściskać“. Kaziuniu moja, wujaszek nas znać nie chce, on już zapewne po polsku mówić zapomniał, i dzieci pacierza w obcej mówić nauczył mowie — ale jeżeli tak sobie życzysz gorąco, to mu jutro książeczkę poślemy. A teraz śpij, Kaziu moja, wiesz przecie, że doktor dużo mówić nie pozwolił. Dobranoc ci dziecinko.



Lulajże Jeziuniu, lulajże lutaj!

pamięci jej stanął jasno, wyraźnie dom, w którym się urodziła i była szczęśliwą, gdzie lata jej dziecinne spłynęły cicho i jak sen pogodnie. Rodzice, brat, krewni, przyjaciele, później mąż ukochany, otaczali ją miłością, jaką szczycić się mogą tylko dusze wybrane a szlachetne i które bezgranicznem poświęceniem i przywiązaniem, za miłość płacić umieją. Pani Borska umiała pogodzić obowiązki córki z obowiązkami matki — i była szczęśliwą. — Ale Bóg zsyła krzyże tym, których ukocha. W przeciągu roku straciła biedna kobieta rodziców i męża. Cios był straszny, a po nim przyszedł drugi i trzeci.. Dwoje ukochanych dziatek połączyło się z ojcem, pozostała tylko ostatnia drobina, nad wiek wybujała, marząca i czuła, to znów wesoła i jak ptak swobodna. Matka lękała się o to swoje szczęście ostatnie, i bywało wieczorami, patrzała trwożnie w uśpioną twarz dziecka, szepcąc niewyraźnie: »Panie zostaw mi tę jedną»!

Pani Borska westchnęła smutnie. W jedną»! I oto teraz jej kochanie zasłabło, a ona czuwa noc całą, chociaż bardzo jest zmęczoną, bo od śmierci męża własną pracą zarabia na utrzymanie córki i swoje. — Ale dzielna niewiasta nie traci nadziei, tak jak jej nie traciła wówczas, gdy gromy z ręki Bożej po trzykroć ją dotknęły, jak jej nie straciła, gdy brat jej ukochany własnej odstąpił ojczyzny i rodzinnej zaparł się mowy, aby w kraju obcym i dalekim szczęścia poszukać. Ale chociaż i jego z kolei dotknął palec Boży, bo mu żona na obczyźnie zmarła, dziwnie w uporze zacięty, w ojczyste strony powrócić nie zechciał, a nawet siostrze przestał odpowiadać. A ona wierzyła, — i dzisiaj właśnie słowa dziecka — całą siłą tęsknoty i falą wspomnień serce jej zalały. »Poślę mu kolendy mo-

jej dziecinki i elementarz, z którego uczyliśmy się oboje — i piosenki, które nam niańka spiewała i które matka własną przepisała nam ręką».

* * *

Przy oknie niewielkiego, zacisznego pokoju stał mężczyzna lat średnich i paląc cygaro, zdawał się pilnie spoglądać na ulicę. Ludzi snuło się dosyć; tu i tam przebiegały dzieci, śmiejąc się i potrącając przechodniów, obładowanych paczkami i zabawkami. Ot, cieszyły się i weseliły.

Bo była to wigilja Bożego Narodzenia, — a dzień ten jest dniem wybranym, dniem wesela dla bogatych, a nadzieją dla nędzarzy. Jeden cieszy się otrzymanymi darami, drugi rad z przyjemności sprawionej swoim ukochanym, — ten żyje nadzieją lepszej przyszłości, ów rozpamiętywa przeszłość i uśmiecha się do wspomnień dalekich a błogich. — Więc i panu w średnich latach patrzącemu pilnie oknem, snać musiało się coś miłego przypomnieć, bo uśmiech, który jednakże zgasł zaraz — rozjaśnił mu czoło. Odwrócił się żywo i w obcej dla nas mowie głośno na kogoś zawołał. Odpowiedziały mu dwa głosy dziecinne i w tej chwili 10-letnia dziewczynka wbiegła do pokoju, oddając ojcu duży pakiecik. Spojrzał na adres i drżącą ręką paczkę rozwinął.

Co to? Kolędy, same kolędy, tak dobrze mi kiedyś znane, a teraz... ale po co te wspomnienia, których odnawiać nie chcę i nie mogę. Inną obrałem ojczyznę i ona o mnie nie zapomni. Zbyteczna pamięć siostry, całkiem zbyteczna. Albo ten elementarz... prawda uczyliśmy się z niego, a matka w nagrodę tłomaczyła nam bajeczki. Tu widzę znowu piosnki, któremi nas matka do snu usypiała i wpisywała w książeczki, Ot tę, śpiewała w narożnym pokoju, tam gdzie wisiał obraz polskiego rycerza:

Pod Kamieńcem pod podolskim
Stoi Turek ze swem wojskiem,
Stoi, stoi nie wojuje,
Więcej wojska potrzebuje...

»Pamiętajcie dzieci, Polakami jesteście, Polakami zostaniecie. Ziema nasza krwią zroszona, krwią przesiąknięta, a wybyście jej wyprzeć się mieli!« — A tę kolendę śpiewaliśmy w wigilią Bożego Narodzenia:

«Hej w dzień Narodzenia!»...

Ksiądz proboszcz darował obrazki i za pamięć pochwalił.

Dawne to czasy, wszystkich już groby pokryły, jedna mi tylko siostra pozostała biedna, opuszczona przez tego, którego tak kochała. Chciałbym ją zobaczyć, — dzieci jej pokazać.... — dzieci, — toć one nawet po polsku nie umieją, a kiedyś, kiedyś może przeklinać mnie będą, że stałem się renegatem... Hej, dzieci moje nie będziecie mnie przeklinały! Dzisiaj jeszcze nauczę was Kolendy, a po świętach pojedziemy odzyskaną Siostrę i Ciotkę powitać, i o przebaczenie w imię Dzieciątka Jezus poprosić.

Choina.



Będzie inaczej.

(Nadesłane na konkurs »Pracy.«

Śniegu już płatki, jak białe motyle,
Jak skrzydeł pióra niebiańskich aniołów,
Ciche i senne ziemi bielą tołów,
Przyrodę tulą w mogile.

Zdaje się prawie, że cicha ta senność
Wszystko na świecie obejmie już życie,
Że praca, siła zapadną w ukrycie,
Że będzie zawsze odmienność...

Z trwogą spoglądasz, czy zimne ramiona
Śmierci bezczynu na zawsze się ścisną,
I czy nam ręce zmęczone nie zwisną,
Czy nasze serce nie skona?

Prośba drzy w duszy, wpijają się oczy
W czarne tło niebios także bez nadziei,
Serce się lęka tej zimnej zawiei,
Co nowe chmury już tłoczy!...

Słaby człowieku! Bez ducha i wiary!
Z sercem, co nigdy żywiej nie zabije,
Bo w niem ufności duch silny nie żyje...
Twe myśli — słabe Ikary!...

Patrzaj tam w niebo! Tam gwiazdka ci świeci,
To znak niemylny świetlanej przyszłości,
To promień jasny tej złotej wolności,
Co drogę życia ukwieci!

Słuchaj! Za chwilę, niedaleką chwilę,
Zbawiciel przyjdzie, jaśniejszy jak słońce,
Jak mocarz pośle zbawienia w świat gońce,
Bóle twe złoży w mogile!...

Przyjdzie On Wielki do chaty wieśniaczej,
Za nim w ślad spłynie promień w nią nowy,
Spojrzy... i pękną łańcucha okowy!
Będzie inaczej... inaczej!...

Stanisław Paszliński.

Bóg się rodzi!

(Nadesłane na konkurs »Pracy«.)

Wigilia Bożego Narodzenia! Mroźny, ale pogodny dzień chylił się ku schyłkowi. Słońce krwawo zachodziło po za brzozowemi laskami otaczającemi miasteczko, a śnieg dość grubo ziemię zaściełający, chrupał pod nogami przechodniów dążących żywo w tę i ową stronę. Tu posłaniec obciążony paczkami, tam znów służąca z koszem ryb, tu niosą zieloną choinkę a tam zapewne zdąża matka obarczona niespodziankami gwiazdkowemi, a wszyscy spieszą się, biegną prawie z jakimś uśmiechem wesela, z jakąś pogodą w rozjaśnionych oczach — bo to przecież dzisiaj wigilia Bożego Narodzenia! Wigilia nietylko przez dzieci upragniona, bo niosąca w darze jarzącą choinkę i mnóstwo podarków, lecz gdy z wieczora gwiazdka zabłyśnie na ciemnym szafirze nieba, to jakaś dziwnie uroczysta powaga, jakaś błogość duszę ogarnia i smutki się koją, a łzy ciszej płyną jakby nie chciały zasmucać Boskiego Dzieciątka, co tam z góry wyciąga ku ludziom rączki i do swego małego serduszka niezmierzoną i bezgraniczną miłością ku nim przepełnionego, chce przytulić wszystkich — dużych i małych, biednych i bogatych, szczęśliwych i smutnych, mówiąc im słodko: „Pójdźcie do mnie wszyscy! ja się cieszę Waszem weselem, ja się smucę Waszemi łzami i mam dla Was Serce Brata, do którego każdej chwili dążyć możecie z miłością i wiarą!«

O Boskie Dzieciątko! zstąp między lud Twój biedny i ukoj smutki, otrzyj łzy, co w około płyną, niechaj spokój, jedność i zgoda wśród nas zawita i niechaj będzie: Chwała Bogu na wysokości a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!!

Wigilia Bożego Narodzenia! więc w każdym domu ruch i gwar świąteczny, tylko w mieszkaniu pani Anny Drzewieckiej cicho i smutno, a mimo zapadającego zmroku nikt nie myśli nietylko o choince, ale nawet o wniesieniu światła do dużego, przestronnego pokoju, gdzie przy kominku, zapatrzona w dogasający płomień ogniska siedzi niemłoda kobieta.

Z szczupłej, nieco naprzód pochylonej postaci, z rąk nerwowym ruchem splecionych, z wyrazu bladej twarzy widnieje jakiś wielki smutek bezbrzeżny, z rozpaczą niemal graniczący. Łzy ciężkie toczą się powoli z zapadniętych, niegdyś zapewne pięknych czarnych oczu i spadają cicho, bez szelestu na skromną, ciemną suknię — z poza kurczowo zaciśniętych ust nie wydobywa się żadne słowo skargi, lecz burza zdaje się szaleć w tej kobiecej duszy a gorycz i ból straszny rozrywa na strzępy zbolałe, biedne serce.

Na dworze zmrok już zupełny — tem ciemniej w pokoju, tylko dogasający płomień rzuca raz po raz jaśniejszy snop światła, zabarwiając różową łuną blade policzki siedzącej naprzeciw kobiety a łzy zamienia w bezcenne brylanty połyskujące wszystkiemi barwami tęczy.

Nagle gdzieś w głębi mieszkania zabrzmiał dzwonek. Pani Anna drgnęła i zerwała się z fotelu nadsłuchując, oczy jej przybrały wyraz trwogi i oczekiwania. — Czy pani jest w domu? — pytał dźwięczny, młody głos. — Jest u siebie, proszę panienki — była odpowiedź.

— Jadwiga! — szepnęła pani Anna z pewnem rozczarowaniem, lecz jednocześnie zwróciła się ku kominkowi, podsycając ogień kilkoma polanami drzewa.

Płomień strzelił wesoło na powitanie ukazującej się we drzwiach dziewczęcej postaci.

Dwudziestokilkoletnia, wysmukła blondynka z niezrównanym wdziękiem pochyliła się do kolan pani domu.

— O nie podnoś się, mateczko, z twego ulubionego fotelu, wszakże nie jestem gościem, z którym się robi ceremonie! przybiegłam na chwilę pogawędzić i podzielić się opłatkiem — dodała całując serdecznie ręce pani Anny.

— Pamiętałaś o mnie, Jadwiniu, Bóg Ci zapłać! — biała dłoń kobiety przesunęła się pieszczotliwie po jasnej główce dziewczęcia. — Siadaj ot tutaj obok mnie; nie wesoło u samotnicy a Ty dobre dziecko robisz ofiarę poświęcając mi chwile, które przyjemniej spędzić możesz w gronie rodziny.

— Matuchno po co takie myśli! Czy Ty mnie nie znasz mateczko? czy też może nie kochasz już swej . . . Jadwigi? — rzekła z wyrzutem dziewczyna. Osta-

tni wyraz dopowiedziała po chwili wahania, może inny miała na myśli, lecz tylko ten dodała i duże, szare oczy, czarną, długą rzęsą przysłonięte podniosła ku smutnej twarzy pani Anny.

— Dziecko drogie, Ty wiesz, że serce moje nigdy się nie zmieni dla Ciebie, lecz właśnie dla tego, że Cię kocham jak córkę i że szczęście Twego życia obchodzi mnie gorąco, chcę być szczerą i otwarcie pomówić o tem, co tak dawno leży mi na sercu. Powinnam była dawno to uczynić, lecz daruj... Matce ciężko było pozbyć się ostatnich ułudzeń....

— Matuchno nie mów tak! — przerwała Jadwiga. Przyklękła u kolan siedzącej i jasną główkę ukryła w fałdach jej sukni, ciche, lecz gwałtowne łkanie wstrząsało drobną jej postacią.

— Biedactwo! — rzekła pani Anna. — Uspokój się Jadwisiu, pomówimy szczerze i otwarcie — wszakże to tak dalej trwać nie może, nie powinnaś sobie losu zawięzywać na podstawie mrzonek, które... które do niczego nie doprowadzą.

— Matuchno, On wróci... szepnęła dziewczyna przez łzy.

— Nie, nie, on już nie wróci, — Głos kobiety zadrżał boleśnie, lecz mówiła dalej spokojnie. — On już nie powróci, nawet ja matka przestałam się łudzić i proszę Cię, Jadwiniu, bądź rozsądną, przestań martwić Twego ojca. Nie uwierzysz jak mi przykro, że on może mieć w tym razie jakiś żal do mnie — może sądzi, że ja rozbudzam w tobie wspomnienia, że Cię łudzę jakąś nadzieją, której sama nie mam. Nie, dziecko drogie. ja cię proszę jak o łaskę, zapomnij o tych jaśniejszych dniach, co nam kiedyś tak słodko życie rozweselały, zapomnij o złotych snach, które kiedyś marzyła twoja osiemnastoletnia główka i bądź rozsądną, posłuszną córką woli twego ojca. Zresztą powiedz sama czy to byłoby tak trudno zastósować się do tej jego woli? Sędzia jest tak miłym, sympatycznym człowiekiem, tak wytrwale, a w tak delikatny sposób stara się o Twoje względy, że doprawdy Jadwiniu powinnaś być dla niego łaskawszą. Cóż, czy zgoda?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Matuchno! — rzekła z goryczą. — Czemu ty mi to mówisz dzisiaj właśnie! Dzisiaj w ten wieczór wigilijny pełen wspomnień, kiedy przed ośmiu laty dłonie twoje błogosławiły nas na dolę i niedolę, na łzy i uśmiechy! Matuchno, nie żądaj odemnie podobnych rzeczy. Przyrzekłam być Ci córką i słowa dotrzymam — o niedobra mateczko, tak to kochasz swoją Jadwisię?

Pani Anna milczała. lecz dłonie jej objęły z wielką czułością wzniesioną ku niej twarzyczkę dziewczęcą i na białe czoło spadło kilka ciężkich łez.

— Matuchno, nie płacz — Bóg pocieszy! — rzekła słodko Jadwiga.

Przytuliła się do kolan siedzącej i w serdecznym uścisku złączone milczały długą chwilę. Myśli ich zapewne obracały się około jednego przedmiotu, a przedmiotem tym był On, ten ukochany nieobecny.

Ogień na kominku strzelał i płonął wesoło, lecz niepodsycany przygasał powoli, pogrążając pokój w ciemnościach. Zegar wydzwonił godzinę szóstą.

— Już szósta! — zawołała Jadwiga, zrywając się. Spieszyć muszę do domu, lecz wpierw rozjaśnię matuchnie Jej pustelnię i przełamiemy się opłatkiem.

Nie czekając odpowiedzi, pobiegła do stolika i zapaliwszy lampę przyćmiła ją ciemnikiem. Jak muszka przesuwała się cicho po pokoju, spuszczając rolety u okien, przestawiając tu i owdzie jakiś drobiazg. Smutne oczy pani Anny spoczywały na niej z wyrazem wielkiej tkliwości: wszakże to było dobre, szczere dziecko o gołębiem sercu, jej Jadwinia ukochana, którą niegdyś z niekłamaną radością nazywała swoją przyszłą synową.

— Matuchno! życzmy sobie »Dosiego roku« — rzekła dziewczyna, biorąc do ręki biały opłatek, jeden z kilku leżących na stole.

— Dosiego roku! — szepnęła pani Anna przez łzy. Drżącą dłonią przełamała opłatek i siląc się na spokój, objęła ramieniem drobną postać dziewczęcą. — Pieszczotko moja! zapomnij i bądź szczęśliwą — oto moje życzenie w dniu dzisiajszym, rzekła cicho jakby się bała zbudzić mary minionych snów i marzeń.

Jadwiga milczała odwzajemniając uścisk, oczy jej tylko duże, szare, szkliły się brylantami łez.

— Spokoju! matuchno, spokoju i ukojenia! — szepnęła wreszcie równie cicho. — Boskie Dzieciątko Jezus ześle jedno i drugie, trzeba tylko o to prosić, prosić gorąco... Wszakże znasz matuchno słowa kolendy:

»Oddajcież Mu pokłon Boski,
»On ukoi Wasze troski...«?

Zaśpiewamy ją dzisiaj na Pasterce a zobaczysz jaki spokój, jaka cisza duszę ogarnie. Pójdziemy przecież na pasterkę jak corocznie?

— Zapewne, jeżeli będziesz mogła mi towarzyszyć.

— O przyjdę z pewnością! dom nasz cały wcześnie zasypia, a z powrotem Janowa wpuści mnie przez kuchnię. A więc do widzenia mateczce!

— Bóg z Tobą, pieszczotko! — jeszcze jeden uścisk serdeczny i dziewczyna wybiegła z pokoju, a pani Anna zajęła znowu poprzednie swoje miejsce w niskim fotelu przed kominkiem.

Ogień dawno wygasł, lecz ona tego nie widziała i zapatrzona w zgliszcza utonęła myślą we wspomnieniach lepszych, słonecznych dni, kiedy to wieczór wigilijny bywał dla niej jedną z najmilszych uroczystości. Dawno to, dawno już bardzo... od tego czasu wypłakała morza łez i spełniła kielich napełniony po brzegi goryczami i zawodami życia. Jak to już dawno, gdy była wesołą, szczęśliwą, gdy życie jej się śmiało przy boku ukochanego męża, w gronie ładnych, dobrych dzieci. Lat takich było nie wiele... Anioł śmierci co rok przybywał do cichego, szczęśliwego niegdyś domu i zabierał sobie bezlitośnie kogoś z tego tak gorąco kochającego się gronka. Najpierw zgasła bez cierpień prawie pieszczotka całej rodziny, złotowłosa Marylka, a za nią poszedł bystry i nad wiek rozwinięty Adaś. Dalej zjadliwy tyfus zabrał męża i ojca reszty drobnych dzieci. Zaledwie minął pierwszy ból i rozpacz po tej niepowetowanej stracie, Anioł śmierci znowu zawitał i czteroletnia Wandzia podążyła za niemi, za temi ukochanemi...

Biedna matka i żona szalała z bólu, oczy wypłakała, włosy zbielały w godzinach śmiertelnej trwogi, nadziei i oczekiwania... życie jej zbrzydło i byłaby najchętniej położyła się w grób z tą swoją ukochaną gromadką, gdyby nie syn jedynak, jaki pozostał zbolałej matce. Dawniej było to dziecko najmniej kochane dla charakteru trudnego do prowadzenia. Romek nie miał ani słodyczy Marylki, ani bystrości Adasia, ani dobrego serduszka Wandzi. — Samolubny, krnąbrny i lekkomyślny martwił często rodziców, matka nie miała też w swojem sercu dla niego tego niezgłębionego uczucia miłości, jakiem obdarzała resztę swoich dzieci, lecz gdy biednej on tylko jeden został w sieroctwie i opuszczeniu, zapomniała dawnych, dziecinnych przewinień i całe swoje przywiązanie, najtkliwsze starania przeniosła na niego.

Po latach miłość matczyna przeobraziła nawet nieco dawny charakter Romana, lecz jego lekkomyślność była zawsze powodem częstej a dotkliwej troski. Wyrósł wreszcie na młodzieńca i obejrzał się za chlebem, za stanowiskiem w świecie — i tu wzięła górę zmienność chwilowych upodobań. Będąc już na uniwersytecie przerzucał się z jednego fakultetu na drugi: najpierw przez parę miesięcy słuchał chemii, potem prawo przypadło mu więcej do gustu a gdy miał już po za sobą kilka kwartałów pracy, i przeszedł na medycynę, tłomacząc strapionej tą zmiennością matce, że wreszcie trafił na swoje właściwe powołanie, że odtąd z zapałem odda się studyom i za lat kilka droga mateczka powita w nim skończonego lekarza.

— Daj to Boże! — rzekła wtedy niedowierzająco pani Anna, lecz gdy rzeczywiście pilnie pracując złożył pierwszy egzamin, matka odetchnęła swobodniej i z większą ufnością patrzyła w przyszłość swego jedynaka, a wiara ta wzmogła się jeszcze i utwierdziła, gdy Romek szczerze zakochany w Jadwisi, zapragnął zdobyć sobie jaknajprędzej byt samodzielny i nazwać wreszcie swoją ukochaną, przyjaciółkę i towarzyszkę lat dziecinnych.

Mieszkając w jednem mieście znali się oddawna i przyjaźnili, mimo że parę lat różnicy było między dwojgiem dzieci. Jadwisia nie miała już matki, nie zaznała jej pieszczot, to też całem sercem przylgnęła do pani Anny, okazując jej zawsze serdeczne współczucie i wiele życzliwości. Lata mijały, a gdy po dość długiem niewidzeniu dzieci spotkały się znowu ze sobą — ona dzieweczką pełną wdzięku i czaru wiosennego — on młodzieńcem z gorącą duszą, płonącą zapałem w czarnych źrenicach — pani Anna spostrzegła z radością, że coś więcej łączy tych dwoje młodych, niż przyjaźń i wspomnienie lat dawnych. Było to już dawno, dawno temu .. przed ośmiu laty! Romek przyjechał na Święta Bożego Narodzenia, pełen najlepszych nadziei na przyszłość, wesoły i szczęśliwy. Ośmnastoletnia Jadwinia tak śliczną była z wyrazem pewnego zmieszania w zarumienionej twarzyczce, że nic dziwnego, iż to ich spotkanie nie przeszło bez wzajemnego wrażenia — a gdy w wieczór wigilijny dzieweczka przybiegła swoim zwyczajem przełamać się z nimi opłatkiem, oczy dwojga młodych powiedziały sobie więcej niż usta i podali sobie dłonie na wspólną dolę... na dolę, co im się śmiała w oddali opromieniona młodzieńczą wiarą i miłością!

Pani Anna nie pamiętała oddawna

równie miłego wieczoru wigilijnego i patrząc na tych dwoje, tworzących tak ładną i dobraną parę, marzyła i ona o szczęsnej przyszłości! Potem Roman wyjechał żegnany łzami matki i narzeczonej, wyjechał daleko w świat na studya — pojechał i nie wrócił... Najpierw pisywał częste i długie listy stęskniony za mateczką i za gwiazdką swoją — Jadwisią, potem listy stały się krótsze i rzadsze, a gdy nadszedł czas wakacyi doniósł, że przyjaciel zabiera go ze sobą na wieś, że zmęczony studyami chce odetchnąć świeżem powietrzem, lecz może ku końcowi wakacyi odwiedzi rodzinne miasteczko. Minęło lato i jesień pełna oczekiwania — nadeszła znowu wigilia Bożego Narodzenia! Obiedwie stęsknione kobiety spodziewały się na pewno przyjazdu Romana, wszakże mówił i pisał, że wieczór ten uroczysty postara się zawsze razem z niemi przepędzić.

Oczekiwania zawiodły, a po świętach nadszedł list długi wprawdzie i serdeczny, lecz nie przyniósł on smutnym kobietom pożądanej pociechy.

Roman tłomaczył się, że studya nie pozwalają mu obecnie wydalać się na dłuższy czas, że z wielkim żalem musiał sobie odmówić radości zobaczenia mateczki i Jadwisi, lecz gdy znajdzie wolniejszą chwilę, powetuje to sobie w dwójnasób.

Jadwiga usiłowała pokryć swój żal uśmiechem i pocieszała panią Annę, że biedny Romek obarczony pracą rzeczywiście nic tutaj nie zawinił, lecz serce matki nie da się tak łatwo oszukać — znała ona lepiej świat i ludzi a przedewszystkiem zmienny charakter swego syna. Próbowała wyrwać go tym zgubnym wpływom, jakie czychają wszędzie na młodych a zwłaszcza z takiem usposobieniem, lecz słowa matki pełne miłości i serdecznej przestrogi, tylko czas jakiś skutecznie przeciwdziałały.

Powoli Roman przestał pisywać, ograniczając się tylko kilku słowami i podaniem adresu, dokąd matka miała mu przesłać zwykłą jego półroczną pensyą; wkońcu zamilkł zupełnie, a zrozpaczona matka mimo poszukiwań nie mogła nawet natrafić na jakiś ślad jego życia. Czy wir świata porwał go ze sobą i utonął w odmęcie? Czy dręczony wyrzutami nie miał odwagi stanąć przed matką i narzeczoną? nie wiadomo — przepadł bez wieści! a lata mijały pełne goryczy i łez dla obu kobiet.

Prócz strasznej boleści zawiedzionej w swych nadziejach matki, dręczyła jeszcze panią Annę myśl zwichniętej młodości dziewczęcia, co z taką wiarą i ufnością wiązała się słowem po to tylko, aby po kilku chwilach słodkiego uniesienia, przyłożyć usta do kielicha goryczy i pić go bez skargi, choć żal serce rozpierał a oczy mroczyły się łzami.

— Biedna moja pieszczotka! — dumała pani Anna. Trzeba ją koniecznie przekonać o obowiązku wyrzeczenia się marzeń, które już niestety nie mogą mieć miejsca. Powinna wyjść za sędziego, który ją tak szczerze kocha. Będzie szczęśliwą gdy zapomni.... Muszę koniecznie to przeprowadzić — muszę — to mój obowiązek. On już nie wróci!...

Ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi biednej matki i łzy znowu poczęły się toczyć po jej bladych policzkach.

Nagle zadrżała i zerwała się z miejsca. U drzwi wchodowych zadźwięczał dzwonek lekko, cicho, jakby niepewną ręką pociągnięty. Potem głos jakiś przytłumiony spytał o panią Annę Drzewiecką i w przyległym pokoju rozległy się kroki dziwnie powolne, kroki człowieka chorego, czy śmiertelnie znużonego.

Serce kobiety biło jak młotem, to znów zupełnie zamierało pod wpływem nadziei i trwogi zarazem. Chciała biedz naprzeciw, lecz poprostu skamieniała i nie była w stanie poruszyć się, oczy tylko rozszerzone patrzyły chciwie w stronę drzwi, gdzie niebawem stanęła wysoka postać męzka.

On to był! On — Roman! lecz jaki zmieniony — cień dawnego, pełnego życia młodzieńca.

— Romek! — wołało serce matki i rwało się ku niemu, lecz słowo nie mogło się wydobyć ze zbielałych ust a siły odmawiały posłuszeństwa. Oparta o poręcz fotelu, hipnotyzowała wzrokiem stojącego jeszcze we drzwiach syna.

Ruszył się nakoniec i szedł ku niej milczący, krokiem niepewnym z głową pochyloną. O parę kroków od niej stanął i podnosząc oczy z wyrazem nieśmiałej prosby, wyszeptał:

— Matko, czy możesz przebaczyć? — lecz jednocześnie zachwiał się i padł na kolana.

— Romanie! dziecko moje najdroższe! — zawołała kobieta odzyskując naraz równowagę i objąwszy go za szyję, gorąco całowała tak niespodziewanie odzyskanego, nie zważając, że on chwiał się coraz więcej w tym uścisku matczynym, aż wreszcie całym ciężarem zawisł na jej rękach.

— Romanie, co tobie dziecko moje kochane? — szeptała przerażona pani Anna patrząc na śmiertelnie bladą, sztywniejącą twarz syna. Drżące jej ramiona nie miały dosyć siły, aby powstrzymać chylącego się bezwładnie.

— Boże ratuj! — westchnęła rozpacznie. Łzy wielkie, palące, tocząc się z jej źrenic padały na czoło i twarz Romana — otworzył oczy i przypominając sobie widocznie gdzie się znajduje, uśmiechnął się lekko do schylonej nad nim matki, usiłując podnieść się z ziemi.

Podsunęła mu fotel i cała jeszcze drżąca, przerażona, pomogła mu się w nim umieścić.

— Matuchno, matuchno moja! — wyszeptał wreszcie i ujmując jej ręce z dziecęcą pieszczotą, przytulił do ust, całując długo, serdecznie, jakby tym pocałunkiem chciał ją przebłagać, przeprosić za lata udręczeń i moralnych katuszy.

Po bladej twarzy kobiety płynęły wciąż łzy, lecz błogi uśmiech rozchylał usta — odzyskała nareszcie swego syna, swoje dziecko najdroższe! Serce matki zapomniało ile przebolało, żyła tylko chwilą obecną. Nagle uśmiech zniknął i z niepokojem wpatrzyła się w zmienione rysy Romana.

Jakże był niepodobnym do tego chłopca pełnego sił i zdrowia, który przed ośmiu laty z taką wiarą młodzieńczą rzucał się w wir świata, obiecując sobie wyjść zeń zwyciezko... Boże! czyż to podobno, aby to był ten sam wesoły, szczęściem promieniejący Romek — ten zbiedzony, wychudzony, przedwcześnie postarzały człowiek? trzydziestokilkoletni młodzieniec zmienił się do niepoznania: rysy się zaostrzyły, nos dawniej lekko przygarbiony, wyciągnął się ku dołowi, cera żółta, chorobliwa, okraszona jakimś gorączkowym rumieńcem, oczy przygasły i co chwila przymykały się senne czy znużone.

Straszny niepokój ścisnął serce matki.

— Dziecko drogie, tak źle wyglądasz, blado, mizernie... Tyś chory, Romku? — rzekła łagodnie.

— Chorowałem niedawno i dotąd nie odzyskałem zwykłych sił, lecz zobaczysz matuchno, wkrótce odżyję zupełnie pod twoją troskliwą opieką — odparł syn ze smętnym uśmiechem. — Zmęczony jestem podróżą, lecz to minie; jechałem bez wytchnienia chcąc jak najprędzej stanąć tutaj... u matuchny. Coś mnie gnało, pędziło, zdawało mi się, że gdy dzisiaj nie dojadę to już nie dojadę wcale... i oto jestem nareszcie — w domu! — dokończył z westnieniem.

— Ta szybka i męcząca podróż mogła ci bardzo zaszkodzić Romanie. Nie trzeba było tak się spieszyć i np. jutro przyjechać, odpoczywając w drodze — rzekła z wymówką pani Anna a ręka jej przesunęła się pieszczotliwie po czarnych, lśniących włosach syna.

— Jutro? przecież to dzisiaj wigilia a ja tak koniecznie pragnąłem być tutaj dzisiaj. Powiesz może mateczko, że tyle razy opuściłem dobrowolnie tę dzisiajszą uroczystość, więc i teraz mogłem o niej zapomnieć — rzekł cicho i znowu gorąco całował ręce matki.

— Dziecko moje drogie, zapomnijmy o przeszłości i zacznijmy nowe życie.

— Nowe życie! — szepnął z westchnieniem.

— Tak, zaczniemy nowe życie, lecz wpierw musisz zupełnie powrócić do zdrowia, nabrać sił. Zobaczysz Romku jak matka umie doskonale leczyć słabych, ma się rozumieć z pomocą naszego zacnego doktora. A możeby go poprosić dzisiaj jeszcze? oznaczyłby zaraz właściwą kuracyą.

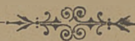
— Jak chcesz mateczko. Zmęczony jestem... zmęczony śmiertelnie.

— Położysz się moje dziecko, to będzie najlepiej.

— O nie matuchno, pozostaw mnie tutaj... tak mi tu dobrze, cicho, spokojnie... a ja jestem taki znużony... — szeptał Roman bezdźwięcznie. Oparty o poręcz fotelu, z przymkniętemi oczami, oddychał ciężko i zdawał się zapadać w jakiś sen chorobliwy.

(Dokończenie w numerze noworocznym.)

Gabryel Zawierucha.



W noc Bożego Narodzenia!

W noc Bożego Narodzenia —
Bracia!.. w noc wielkiego cudu,
Wznieśmy w niebo pieśń błagania,
Pieśń modlitwy ludu,
Który cierpi — kona — mdleje,
Lecz żyje — nie ginie...
I z niedoli — mąk i cierpień
Dziś — niestety słynie!...

W noc Bożego Narodzenia
Bracia!... wszyscy z myślą jedną
Przy opłatku, przy życzeniach
Nad Ojczyzną biedną,
Splećmy serca w wielkie koło,
Dłonie — w uścisk zgody,
A zaginą bratnich swarów
Mętne — czarne wody.

W noc Bożego Narodzenia
Bracia!... życzmy wzajem sobie,
By zakwitły szczęścia kwiaty
Na niedoli grobie...
Bóg, co z niebios tutaj spływa
Niech w nas ma świątynie!
A gdy będzie Pan Bóg z nami
Ojczyzna nie zginie.

W noc Bożego Narodzenia
Bracia!... dajcie bratnie dłonie
Niech nadzieja, miłość, — cnota
Rozjaśni nam skronie...
Zgodą — pracą — i jednością
Wznieśmy gmach wspaniały,
A rozwinie nad Wawelem,
Skrzydła orzeł biały!

24. XII. 98. *Jadwiga S.*

Z całej Polski.

Szlachetny pomysł. Z Warszawy donoszą, że ks. proboszcz Zapałowski podał myśl bardzo zacną i szlachetną a praktyczną w swojej postaci, aby sieroty warszawskie korzystały z gościnności proboszczów wiejskich i spędzały u nich kilka tygodni w ciągu lata. W każdej plebanii zamożniejszej znajdzie się miejsce dla dwojga lub trojga dziatek i łyżka strawy. W samej dyecezyi kieleckiej jest 230 parafii, z których niechby połowa tylko zgodziła się na taką propozycyę, to już kilkaset głodomorków miałoby zapewnione wakacye. A oprócz księży mogłoby i obywatelstwo wiejskie po dworach porozbierać takich pensyonarzy przez miłość bliźniego i Towarzystwo osad letnich miałoby dużą wyrękę, a koszta umniejszone. Czyż to nie piękne zadanie dla duchowieństwa, zaopiekować się zdrowiem maluczkich, którym Chrystus Pan obiecywał Królestwo niebieskie?

Pod światłem przewodnictwem duchowieństwa mogłaby dziatwa nasza nabrać zamiłowania ojczystych tradycyi i utrwalić charakter swój w duchu prawdziwie polskim.

* * *

W związku naukowo- literackim we Lwowie miał p. Cwejgbaum pogadankę na temat: »Skażenie języka polskiego.«

Prelegent w interesującym wywodzie poruszył sprawę makaronizmów językowych, jakie szpecą i wykrzywiają mowę polską. Audytoryum przyjęło wybuchem śmiechu szereg »galicyzmów«, przytoczonych przez prelegenta w rodzaju „pojedyńczo“, »czynię pana uważnym«, »po guldenowi« i. w. i., które podobnie rażą ucho Warszawianina i Poznańczyka, jak rozmaite osobliwości językowe pod zaborami: rosyjskim i pruskim niemile Galicyan dotykają.

P. Cwejgbaum słusznie dopatruje się kaleczenia języka polskiego w szkole i świecie kupieckim. Po uszczknięciu wielu kwiatków zanieczyszczonej mowy polskiej na różnych polach naszego życia publicznego — prelegent podniósł potrzebę czuwania nad czystością języka polskiego i usunięcia obcych naleciałości, zarówno „rusycyzmów“, jak i „germanizmów“, P. C. zaproponował utworzenie, staraniem »Związku«. — »Towarzystwa dla ochrony języka polskiego«, pod hasłem Mickiewiczowskiem, jako w roku setnej rocznicy urodzin wieszcza.

* * *

Wzrost ekonomiczny Warszawy jako punktu, w którym styka się świat Zachodu Europy z Wschodem jej i Azyą, bezwątpienia przyspieszony zostanie wskutek budowy nowej kolei syberyjskiej.

Przewrót, jaki wywoła w handlu wschodnim zastąpienie dalekiej, długiej drogi morskiej, dającej dostęp jedynie do wschodnich wybrzeży Chin, drogą lądową o miesiąc co najmniej krótszą, i która z czasem pozwoli przeniknąć w najniedostępniejsze zakątki, porównać można do tego historycznego przewrotu, który pozbawił Wenecyę i Genuę znaczenia i potęgi, na korzyść Anglii.

Niewątpliwie handel Europy z dalekim Wschodem zwróci się znowu na odwieczne zprzed tysiąca lat szlaki lądowe.

Znowu, jak przed piętnastu wiekami, rozpocznie się wędrówka ludów po niezmierzonych płaszczyznach wielkiej Słowiańskiej równiny.

Pierwsze zapowiedzi tego ruchu ekonomicznego i handlowego, z każdym dniem silniej odczuwamy, wkrótce zaś, dzięki położeniu gieograficznemu, Królestwo Polskie stanie się niewątpliwie głównym traktem, po którym w nieustannym ruchu pomiędzy Zachodem i odległemi krainami Wschodu, przelewać się będą całe masy towarów i ludzi.

Warszawa dzięki sieci krzyżujących się dróg, dzięki położeniu swemu na głównej arteryi wiodącej od Wschodu, jakby w sercu samem Europy, jest jakby przeznaczoną do roli pierwszorzędnego emporium handlowego.

Skorzystanie z dogodnego położenia gieograficznego i wyzyskanie korzystnych warunków ekonomicznych zawisło od przedsiębiorczości, inteligencyi i pracy ludności miejscowej. Od nas zależeć będzie czy cały ten prąd przejdzie bez korzyści nad naszemi głowami, lub też umiejętnie skierowany i wyzyskany posłuży do podniesienia dobrobytu ogólnego, tego »nervus rerum« bytu narodowego, cywilizacyi i oświaty.

* * *

Polacy na emigracyi. Oddawnaśmy się już przyzwyczaili uważać rozsiane po całym świecie tysiące Polaków na emigracyi za cząsteczkę naszej ojczyzny. Dlatego też. obejmując sercem całą Polskę, tak jak ją dziś świat widzi, biedną, rozerwaną na strzępy, pracującą krwawo a bez szemrania, — obejmujemy sercem również i emigracyą Polską, bo i tam nieraz grudkę polskiej ziemi starzec chowa sobie na piersi, jako skarb najdroższy, aby mu ją na trumnę kiedyś rzucono.... Dlatego też i wiadomości z emigracyi łączymy do wiadomości z »Całej Polski« zwłaszcza zaś teraz, przed Gwiazdką, łącząc się z rodakami na obczyźnie myślą ciepłą i serdecznem westchnieniem...

* * *

Kościół polski w Londynie. Pomimo wielkich trudności, stanął w Londynie kościół polski, a miejscowy arcybiskup, kardynał Vanghan, poświęcił go dnia 28 listopada i oddał w rząd polskim księżom Zgromadzenia Misyonarzy Boskiej miłości. Kościół i dziedziniec były przepełnione kolonią polską. Kardynał w podniosłem przemówieniu zalecał jedność i zgodę tych dwóch narodów, których ma blisko cztery tysiące w swej dyecezyi, a których dobro leży mu bardzo na sercu. Piękny i pamiętny ten dzień dla Polaków tamtejszych zakończył się śniadaniem u Sióstr Nazaretanek, które wspólnie pracują dla dobra misyi.

* * *

Teatr Polski w Wiedniu. Odbyło się tu polskie przedstawienie teatru amatorskiego w stowarzyszeniu „Strzecha“. Amatorowie z życiem odegrali jednoaktówki: »Ciotka na wydaniu«, J. Blizińskiego, »Dzień wigilji«, E. Lubowskiego i „Tatuś pozwolił“ G. Mosera. Grą wyróżniali się pp. Bieńkowski, Martens i Pankowicz. Osób zebrało się sporo, bawiono się ochoczo, a następnie udano na wspólną wiecerzę, t. zw. »komers«, gdzie w miłym nastroju spędzono czas do godziny 3-ej rano. Stowarzyszenie »Strzecha« istnieje od lat wielu, od niedawnych jednak czasów dopiero zaczyna rozwijać się, gromadząc około 150 rodaków ze sfery przeważnie rzemieślniczej i handlowej. Wielkie uznanie należy się p. Bieńkowskiemu, prezesowi »Strzechy«, którego zabiegom i staraniom należy zawdzięczać rozwój tej tak pożytecznej instytucyi.

Istniejące tutaj, od lat blizko piętnastu towarzystwo pod nazwą „Biblioteka polska w Wiedniu“, rozwija nader pożyteczną działalność, czego dowodem, iż wypożyczalnia książek posiada już przeszło kilka tysięcy dzieł, a w założonej przez towarzystwo szkółce języka polskiego kształci się 120 dzieci. Głównym celem towarzystwa jest troska o potrzeby duchowe klas mniej zamożnych kolonii polskiej w stolicy Austryi; z tego też względu wysyła towarzystwo od lat kilku co rok po 24 dzieci do kolonii wakacyjnej pod Krakowem, gdzie bawią latem przez kilka tygodni. Fundusze towarzystwa są jednak bardzo szczupłe i dlatego ogłosiło odezwę, w której prosi o paparcie bądź przez przystąpienie do towarzystwa w charakterze członka, bądź przez danie zapomogi jednorazowej. *C. D.*

Wycieczka na Jupitera.

Szanownych czytelników zapraszam dziś na wycieczkę na Jupiter. Podróż ta nie jest drobnostką. Jupiter bowiem, chociaż jeżeli najbliżej stoi ziemi, to zawsze jeszcze o 583 miliony kilometrów jest od niej oddalonym. Nadzwyczajny pociąg na księżyc potrzebowałby okrągłe 210 dni (75 kilometrów na godzinę) a odległość księżyca od ziemi wynosi tylko 50,000

mil, czyli 384,000 kilometrów. Gdybyśmy chcieli wycieczkę na Jupitera odbyć pieszo, to potrzebowalibyśmy na to mniej więcej 14,000 lat czasu, to jest, idąc codziennie 24 godzin, po 5 kilometrów na godzinę. Więc o pieszej wycieczce nie ma mowy, konno nawet gdybyśmy ją odbywali (10 metrów na sekundę) nie odpoczywając nigdy, potrzebowalibyśmy też jeszcze — 1900 lat. Pociąg nadzwyczajny, jadący na godzinę 100 kilometrów, zawiózłby nas dopiero w 700 lat do celu, a nie wolno nam się po drodze ani na chwilę zatrzymać! Welocyped, ów najmodniejszy sposób podróżowania, nie nadaje się także do tej wycieczki, któż bowiem z nas ma do rozporządzenia 1560 latami wieku!

Nic nam zatem nie pozotaje innego, jak wyobraźnia, która pod względem szybkości, przewyższa nawet światło i elektryczność! Kula armatnia potrzebowałaby 25 lat, zanimby stanęła na Jupiterze, światło 32 minuty, elektryczność 20, wyobraźnia zaś zanosi nas tam w przeciągu jednej sekundy!

O, jakimże kolosem jest ów Jupiter w porównaniu do naszej ziemi! Ziemia ma średnicy 1713 mil, licząc od jednego bieguna do drugiego. Na przejechanie tej przestrzeni potrzebowałby pociąg błyskawiczny całego tygodnia — proszę sobie teraz wyobrazić, że średnica Jupitera wynosi 19 tysięcy mil, a zatem 11 razy większa, niż średnica ziemi! Powierzchnia jego jest 117 razy większą, niż powierzchnia ziemi, tak, że takich planet jak nasza ziemia, możnaby zrobić z niej 1300. Z tem wszystkiem, ogrom tej planety jest niczem w porównaniu do gwiazd stałych. Słońce naprzykład posiada średnicę o 73 razy większą, tak, że Jupiter mógłby się w niej prawie 1000 razy zmieścić.

Pobyt na Jupiterze nie należałby jednak do najprzyjemniejszych. Najpierw z powodu szalonego gorąca. Pomimo, że Jupiter leży, o pięć razy dalej, niż ziemia od słońca, (100 milionów mil), to jednak znajduje się jeszcze w stanie ognisto-płynnym, tak, że pobyt na nim groziłby nam popaleniem nóg. Przez dalekowidze spostrzegamy na nim długie, równoległe z ekwatorem pasy, rozpływające się w chmurach lub mgle. Są to rzeczywiste chmury i mgły — tu i owdzie buchają słupy gorejącej pary z ognistego kolosu, aby zastygnąć w zimnie nieskończonej przestrzeni i rozsypać się w nic. Jest to straszliwy, a jednak wspaniały widok, nieustające fajerwerki, ale oczom naszym milszym jest widok zielonych drzew, łąk i gór.

Gdy Jupiter kiedyś wystygnie, gdy się na nim wytworzy atmosfera, wtedy pobyt na nim będzie o wiele przyjemniejszym, nie ma tam bowiem zbyt wielkiej różnicy w zmianie pór roku. Oś jego skłania się tylko o 3°6' ku osi słonecznej, dla tego zmiana temperatury wcale nie jest znaczną. Dnie i noce trwają równie długo, — (z wyjątkiem pewnego obwodu przy biegunach) i to po 5 godzin. Jupiter bowiem, pomimo swego ogromu, obraca się w przeciągu 10 godzin w około swej osi. Jest to szybkość przerażająca, ale nie dałaby nam się tak samo uczuć, jak jej nie czujemy przy wolniejszem obracaniu się ziemi. Tylko krótkie noce nie podobają nam się bardzo, ponieważ nie mielibyśmy czasu do wyspania się, ale za to równie krótki dzień nie wyczerpałby zanadto sił naszych fizycznych. Demokraci i socyaliści nie mogliby tam żądać ośmiogodzinnej pracy — najwyżej trzy lub czterogodzinnej. O ile dni tam są krótkie, o tyle lata długie. Rok na Jupiterze trwa naszych lat 11 i 314 dni, więc nieomal 12 lat, bo tyle czasu potrzebuje owa kolosalna planeta, na odbycie drogi w około słońca. Zwykły śmiertelnik, mający u nas lat 72, miałby tam lat 6, a sędziwy starzecz 80-cioletni na Jupiterze, dożyłby u nas wieku Matuzala, bo liczyłby lat 960. Miałoby to swoje dobre i złe strony. Źle mieliby się przestępcy, skazani naprzykład na 10 lat więzienia.

Przechadzka, na jaką się odważamy, poucza nas, że pobyt na olbrzymiej planecie, groziłby nam innemi jeszcze nieprzyjemnościami. Nie jesteśmy dla owego kolosa dosyć wysocy i silni, każdy krok sprawia nam trudności — zdołamy ledwie podnosić nogi, a o tańcu i skokach nie może tam już być mowy. Siła przyciągająca Jupitera, jest stósownie do jego wielkości o wiele większą niż siła ziemi, tak, że naprzykład kamień rzucony z wieży spada tam o 2 i pół raza prędzej na ziemię niż u nas. Jeszcze jedno spojrzenie na niebo, ponieważ właśnie teraz noc, a potem wracajmy na ziemię naszą: Jaki widok czarowny! Pięć trabantów świeci łagdnym, magicznym blaskiem — w szkole mówiono nam tylko o czterech i słusznie, piątego bowiem odkryto dopiero 9 września 1892 roku i to za pomocą wielkiego refraktoru, na obserwatoryum astronomicznem w Lick. Mamy też jeszcze sposobność przyjrzenia się zaćmieniu słońca i księżyca, bo podczas jednego roku (tj. roku na Jupiterze) bywa tu 4400 zaćmień słońca i 4400 zaćmień księżyca. Byłoby to dla astronomów prawdziwem Eldorado, gdyby się tylko mogli na Jupitera dostać! Z tych zaćmień moglibyśmy, gdybyśmy chcieli, obliczyć szybkość światła, ale po co się trudzić, jeżeli Hans Römer, już w roku 1675 pracę tę załatwił. Więc odwiedzimy jeszcze na chwilę owych pięć trabantów, które nie są duże — jedne mają wielkość księżyca, inne za to są nieco większe. Przyszli mieszkańcy Jupitera nie będą pewnie miesięcy podług nich obliczać, bo najdłuższy miesiąc miałby tylko 16 dni, najkrótszy pół dnia, w tak to krótkim czasie obracają się trabanty w około swego pana! Chyba urzędnicy nie mieliby nic przeciwko tak krótkim miesiącom, mianowicie gdyby im podług tego nie obliczano pensyi, ale kto wie jaką by tam pensyą pobierali. Wspaniały widok przedstawia Jupiter sam, skoro się nań patrzy z jednego z jego trabantów. Wygląda jak tarcza ognista, większa o 1400 razy od naszego księżyca w pełni. Proszę sobie wyobrazić gwiazdę zajmującą nieomal trzecią część całego naszego horyzontu — byłby to oczywiście widok, jakiego nawet najbujniejsza fantazya stworzyć nie zdoła. Nawet zorze północne nie może się z nim równać. — Selenitom trabantów można życzyć takiego widoku, bo o słońcu nie mają oni ani wyobrażenia. Słońce jest dla nich tylko jedną wielką gwiazdą, po siadającą mniej więcej $^1/_7$ średnicy tarczy słonecznej takiej, jaką my widzimy.

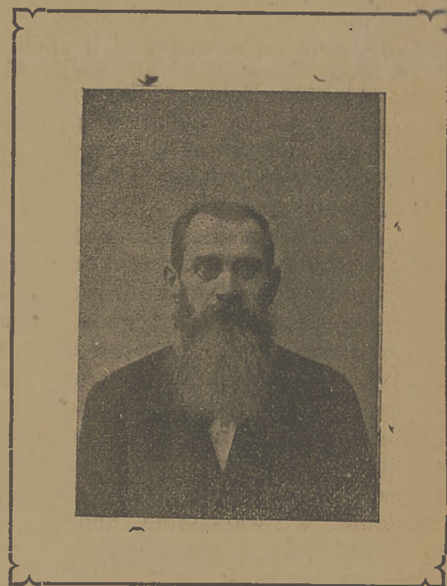
M. P.

Na posterunku.



Znów znalazł się między nami, po odsiedzeniu długiej kary więziennej, dawny redaktor i współpracownik naszego pisma, p. Bolesław Rakowski senior. — Wiedzą Szanowni Czytelnicy jak ciężko ukarany on został swego czasu za tak zwane w języku prawników przestępstwo prasowe, co w języku zwykłych śmiertelników oznacza tyle, że wypowiedział on i podpisał swem nazwiskiem to, co tysiące nas czuło i myślało.

Za to, że słowa inkryminowane z pod serca nam wszystkim były wyjęte — on poszedł do więzienia...



Bolesław Rakowski.

Liczne listy od naszych Czytelników, otrzymane podczas więzienia pana Rakowskiego, były nam dowodem, że rzewne współczucie towarzyszyło uwięzionemu i serdeczna radość spotyka go, gdy opuścił mury więzienne.

Gdy zamykały się za nim bramy więzienia, mieliśmy wszyscy to uczucie, że wszystkich nas powinniby wtrącić do lochów, jeśli jego wtrącają — bo wszyscyśmy to samo czuli i myśleli, co on podpisał. I dla tego też witamy go, jak żołnierze swego kolegę, powracającego na trudny posterunek... Więzienie na czas jakiś oderwało go od obowiązków dziennikarskich i więzienie powraca go nam znowu. Niestety powraca — nadwątlonego na siłach.

Pan Rakowski był traktowany w więzieniu przez całe 4 miesiące nie jako więzień polityczny, ale jako zwyczajny kryminalista. Pozwolono mu tylko czytać »Posener Ztg.« w wolnych od pracy chwilach i ponieważ jest chorowitym, pozwolono mu mieć własną pościel, zresztą jeść musiał zwyczajną, lichą strawę więzienną z kotła i wykonywać następujące prace przymusowe: Od 20/7 do 15/8 wybierał szczeć, dnia 16go i 17go wybierał biały groch i darł pierze, od dnia 18/8 do 5/9 zajmował się pracami piśmiennemi i liniowaniem dla biura inspekcyi więziennej, od dnia 6/9 do 12/9 wyporządzał książki z biblioteki więziennej. Wszystkie te prace wykonywał w swej celi. Wreszcie od dnia 12/9 do 20/11 był zatrudniony wyrabianiem, wyklejaniem i wystrajaniem pudełek do cygar dla fabryki cygar I. M. Friedlaendera w Poznaniu. Prace te wykonywał w warsztacie w sklepie w towarzystwie zwykłych kryminalistów, z którymi jak niemniej z żebrakami i włóczęgami wyprowadzanym był wspólnie na podwórze na t. zw. »Freistunde«, Na gankach musiał mieć odkrytą głowę jak każdy kryminalista i dopiero na podwórzu wolno mu było nakryć głowę. Tylko raz w miesiąc mógł pisać list do rodziny i odbierać list od rodziny, tylko raz w miesiąc mogli go odwiedzić najbliżsi krewni, na częstsze wizyty nie pozwolono. Gdy go odwiedziła dnia 13/10 żona z córką i gdy go dozórca wprowadził do rozmównicy (Sprechzimmer), pełniący tamże służbę naddozórca nie pozwolił mu się nawet przywitać z żoną i córką. Na pożegnanie żona tylko zdaleka wyciągnąć mogła rękę do męża. Jest to fakt nie potrzebujący żadnej illustracyi, a świadczący wymownie, że więzień polityczny, redaktor Polak, traktowany był w więzieniu pruskiem na równi z każdym kryminalistą. Sąsiadował z kolegą Lipińskim przez ścianę. Jak wiadomo, p. L., odpowiedzialny redaktor »Pracy«, odsiaduje od dnia 21 września rb. siedmiomiesięczną karę więzienną za rzekome przestępstwa prasowe. Biedak drzeć musiał z początku przez kilka tygodni pierze i dopiero podczas rewizyi więzienia pierwszy prokurator jako dyrektor więzienia przekonał się o tem. Natychmiast oświadczył inspektorowi więzienia, że darcie pierza to praca niestósowna dla redaktora, więc od dnia 10/10 br. dano mu zatrudnienie w warsztacie pudełek do cygar, o którym wspomnieliśmy wyżej. Tam pracował z p. R. przy jednym stole i stół ten nazwano »stołem redaktorskim«.

Pan R. nadwątlony na siłach wyszedł z więzienia, gdzie cierpiał bardzo moralnie i fizycznie, i dużo upłynie czasu zanim wróci do sił i zupełnego zdrowia.

Lecz nasz zawód — zawód dziennikarza polskiego pod rządem pruskim — to żołnierka niemal: dopóki siły starczą i duch się kołacze, dopóty niema czasu na odpoczynek, a ten, kto do więzienia poszedł za to, że za głośno wołał: »Bracia Słowianie podajcie nam dłoń, gdyż w łączności nasza siła, nasza moc« — dziś ledwie się brama więzienia za nim zamknęła, woła z nami wszystkimi z pełnej piersi: „Niech żyje Słowiańszczyzna, niech żyje Polska!« *B.*



W dzień wigilijny.

Konojadowi z opłatkiem.

Bóg się rodzi!
Wzdłuż i wszerz na krańce świata
Pieśń radości brzmi rozgłośnie
I pierś wzbiera, dusza rośnie,
A ku niebu hymn ulata:
»Schodzi do nas władca świata!«
W pośród nędzy, klęsk, powodzi.
Bóg się rodzi!

Bóg się rodzi!
W sercach naszych On zagościł,
Jako symbol wiecznej zgody,
Kornie chylą się narody,
Pany dumne, ludzie prości
W jeden akord brzmią radości
W owy dzień, co życie słodzi.
Bóg się rodzi!

Bóg się rodzi!
Czemże nasze są strapienia,
Czem czcza sława, czemże troski?
Ot! posłaniec schodzi Boski,
Ziemię nędzną w raj zamienia,
Blaskiem swoim upromienia!
Schylcie czoła starcy, młodzi,
Bóg się rodzi!

Bóg się rodzi!
Daj mi bracie swoje ramię,
Ogniw serca nic nie skruszy.
Modłów trzeba polskiej duszy,
A nad nami krzyża znamię!
Kto zniweczy, kto je złamie,
Gdy jutrzniana zorza wschodzi!
Bóg się rodzi!

Bóg się rodzi!
Brzegi Warty i Noteci,
Niech wam dzień ten erę znaczy,
Niech nie zabrzmi jęk rozpaczy,
Niechaj słońce jaśniej świeci
Brzegom Warty i Noteci,
Słońce, które nie zachodzi!
Bóg się rodzi!

24. XII. 96.

Włodzimierz Trąpczyński.



TEATR.

„Reni“

sztuka dramatyczna przez Jarogniewa.

Atmosfera półświatkowa wogóle nie trafia do smaku naszej publiczności, a właśnie z niej zaczerpnął motywu do swej jednoaktówki dramatycznej, zatytułowanej „Reni“, młody autor, kryjący się pod pseudonimem Jarogniewa.

Fabułę tego scenicznego utworu, który w czwartek, dnia 14-go bm. ujrzał światło kinkietów w naszym teatrze, streścić można w kilku zdaniach.

Młoda aktorka Reni, w walce z biedą i niedostatkiem, korzysta z ulg materyalnych, zaofiarowanych jej przez pewnego dandysa, imieniem Edward, traci swój honor kobiecy za cenę tych skorych ułatwień i moralnie upada.

Zawiązany z Edwardem stosunek grzeszny, nie mający nawet pod koniec naszego stolecia w etyce ludzkiej pobłażania, trwa przez lat trzy i byłby może potrwał jeszcze dłużej, gdyby przyjazd brata artystki, Jana, który po ukończonych architektonicznych studyach postanowił osiąść w tem samem co siostra mieście, nie zbudził w jej duszy drzemiących szlachetniejszych instynktów. Wśród silnych wyrzutów sumienia, lepsze te instynkty biorą górę nad przywiązaniem do uwodziciela i przywodzą ją, po wewnętrznej walce z naturalnemi zresztą uczuciami, do stanowczego zerwania miłosnego stosunku.

Na zmianę postanowienia miłosne argumentacye zwolennika wolnej miłości Edwarda, a tak samo płytkie perswazye zwolenniczki takiejż metody, koleżanki Anieli, pozostały, dzięki Bogu, bez wpływu. Tym sposobem wszystko byłoby w porządku, gdyby przysłowie „co było a nie jest, nie pisze się w rejestr“, nie miało więcej wyjątków, niż reguły. Łatwiej bowiem zerwać z grzechem, (choć i to często trudne), niż wymazać go z własnej pamięci i własnego sumienia, jeżeli ono jest, i z ludzkiej opinii, jeśli się w ogóle jeszcze jaką ma.

Tak też i w tym wypadku niesława pozostała i przedarła się do uszu Jana, młodzieńca nieskażonej moralności i honoru, zadając srogi cios jego braterskiemu sercu. Wynika ztąd scena, w której przywiązanie do najbliższej krwią istoty szamoce się z żalem do niej i pogardą. W obec surowych badań i zarzutów brata słabo brzmi usprawiedliwienie, dobywające się z ust wykolejonej siostry i nie zdoła ukoić bólu, który szarpie jego wnętrze. Reni pozostaje aż do końca sztuki nieuniewinnioną i żadnym czynem. prócz aktu skruchy, nieodkupioną w oczach brata, no i naturalnie także w oczach widza, który pobłażliwszym od brata być niemoże. Natomiast pod sam koniec jeszcze bohaterka zdobywa u słuchaczów nieco więcej politowania, gdy nią po gorzkich zarzutach Jana nowe moralne wstrząsa cierpienie. Oto z ust uwodziciela swego, Edwarda, który raz jeszcze zapragnął miłosnej konferencyi z dawniejszą swą ko-

chanką, dowiaduje się ona, że z przyczyny jej moralnego upadku, grono znajomych w kasino publicznie znieważyło jej brata, wstając od stołu do którego się przysiadł. Moment ten uprzytomnia jej bardziej jeszcze ogrom popełnionego błędu, którym nietylko swoją własną, ale i brata pozycyę moralnie podkopała, i to zwiększa jeszcze zgryzoty moralne.

Oto w głównych zarysach osnowa sztuki p. Jarogniewa.

Z fabuły dramatycznej nie trudno wywnioskować, że p. Jarogniew obrał sobie temat bardzo śliski, wymagający przedewszystkiem dopełnienia jednego warunku tj. utrzymania należytego balansu pomiędzy artystyczną swobodą, a etycznemi czyli obyczajowemi wymaganiami widza. Trudność tę p. Jarogniew pod względem zewnętrznym i artystycznym szczęśliwie pokonał. Wszelako tło samo obrazu scenicznego przy największym artyźmie nawet nigdy w tego rodzaju kreacyach nie traci zupełnie swej drażliwości. Wiemy dobrze, iż artystów twórczych nie można pozbawiać przywileju dowolnego wyboru tematów; każdy z nich ma prawo wyszukać sobie motywów takich, jakie najbardziej odpowiadają jego indywidualności i jego twórczemu talentowi. Z tą samą atoli chwilą, gdy utwór pojawia się na widowni teatralnej dochodzi publiczność do praw swoich, a krytyk lub recenzent powinien być poniekąd najlepszym i najprawdziwszym wyrazem nietylko praw jej, ale jej interesu, jej gustu i smaku. W tym charakterze sprawozdawca krytyczny nie może się trzymać ściśle artystycznych i technicznych granic ocenianego utworu, nie, on ma obowiązek bezwzględny przenieść się na chwilę także w sferę słusznych wymagań i interesów etycznych widza.

Z tego zaś ostatniego stanowiska sądząc, nie możemy p. Jarogniewowi powinszować wyboru tematu do utworu, który przecież nie miał pozostać w jego prywatnej tece, ale wszedł na scenę naszą, a do tej sceny właśnie przywiązane są słusznie, czy niesłusznie, pewne ograniczone wymagania i gusty. Atmosfera półświatkowa sama przez się dość obcą jest i niesmaczną naszej publiczności, w obyczajowych jej wyobrażeniach demi-monde nie pozyskał dotąd prawa do specyalnego zainteresowania się nim, a ztąd też odsłanianie na scenie drażliwych zakulisowych tajemnic mało zaciekawia i nawet przy pięknem artystycznem wykończeniu mało zachwyca. Pod tym względem więc nie przyklaskujemy młodemu autorowi. My stoimy na tej zasadzie, iż sztuka nie istnieje dla sztuki, artyzm nie dla artyzmu, jeno, że każdej twórczości przyświecać powinny cele wyższe, a temi są podnoszenie, oświecanie i uszlachetnianie ludzkości. A właśnie tak silnie na wyobraźnię i duszę ludzką działającemi środkami jak dramatyczne należy szafować tem oględniej. Tą intencyą p. Jarogniew nie kierował się ani przy wyborze tła i tematu, ani też w dramatycznym rozwoju kreacyi. Albowiem jak to już zaznaczyliśmy w powyższem streszczeniu, bohaterka Reni, bardzo pospolitym trybem upadłszy, nie rehabilituje się, nie wznosi się czynami i poświęceniem do koniecznych kresów ekspiacyi. Pomijając ową drażliwość i wyjątkowość tematu w naszych społecznych i obyczajowych stosunkach, jesteśmy oczywiście także tego zdania, iż natura ludzka jest bardzo ułomną, że błądzić i grzeszyć może każdy człowiek, każda istota. ale chcąc być bohaterką musi taka istota po porzuceniu błędów i występków wspiąć się po skali cierpień i poświęcenia, aż do tej wysokości, gdzie etyka i moralność ludzka nakreśla oczyszczenie i odkupienie. Autor tymczasem nie przeprowadził swej Reni po tej skali do pożądanej wysokości, pozostawił ją w pół drogi zreflektowaną, żałującą, skruszoną i nawet moralnie cierpiącą — ale bez czynu poświęcenia i bez rehabilitacyjnego popędu.

Atoli wolność artystyczna chętnie dziś łamie wszelkie barykady nakazane względami obyczajowemi i względami na nastrojoną u widza równowagę, a w samolubnych zapędach pyta tylko o sztukę dla sztuki. Znać to u wielu zdolnych autorów niemieckich, których sposób twórczości na umyśle naszego młodego autora niewątpliwie wycisnął swoje znamię. Panu Jarogniewowi widocznie zupełnie nie chodziło o równowagę winy i przebłagania, nie chodziło mu też o to, ażeby w zaokrągleniu logicznie zestawionych momentów doprowadzić temat do ściślejszego rozwiązania. On poprostu nie pragnął rozsądzać, co się ma dziać z taką oto wykolejoną, upadłą istotą, jak Reni, gdy się ocknie z moralnego uśpienia i żałować pocznie, nie zapragnął nawet zapoznać widza z zapatrywaniem swojem, jak się ma unormować w takim wypadku stosunek wzajemny siostry żałującej i brata moralisty.

Zadanie upatrzył sobie autor w tem, ażeby z sfery zakulisowej, artystycznej, w którą tak często zakrada się zepsucie, wyjąć szereg dramatycznych, poniekąd nawet tragicznych momentów, logicznie zestawić, artystycznie powiązać i odsłonić je w zajmujący sposób oczom widza. A to zadanie spełnił p. Jarogniew z talentem i niewątpliwym sukcesem. Owszem uznać musimy zręczność niezaprzeczoną w logicznem powiązaniu faktów dramatycznych i nieprzymuszanej łączności w akcyi, której tak często braknie nawet w utworach starszych autorów. Tak samo też, co naturalnie z poprzedniem w jedno się zlewa, prawda psychologiczna świadczy o uzdolnieniu autora. Prawdy tej nie psuje żadna przysztukowana nienaturalność.

Osobom wprowadzonym w akcyą dramatyczną autor umiał nadać wyraźne cechy charaktarów a przez to wyjednać istotne zainteresowanie się typami, w przeważnej części mało znanemi naszej publiczności. Takie istoty jak Reni w życiu wielkomiejskiem nie należą do najrzadszych typów; nędza i niedola wtrąca je w wir życia, borykają się przez chwilę przy pomocy wątłych sił moralnych i pospolicie giną w zapasach z biedą i pokusą. Wszakże niekiedy, choć rzadko, wydobywają one się na wierzch, ocaliwszy przynajmniej poczucie uczciwości i prawości po faktycznej i niepowetowanej stracie kobiecego honoru. Pragną się one wtedy wyrwać z atmosfery zgniłej, ale im sił braknie, potrzeba im uczciwej, rzetelnej, szlachetniejszej podniety i pomocy, a tę znajduje Reni w rozbudzonych za powrotem brata siostrzanych uczuciach. Pośledniejszym i powszedniejszym typem jest taka przyjaciółka czy koleżanka Aniela, w której duszy idealne, wyższe refleksye nie mogą się już pomieścić obok lekkich pragnień i półświatkowej kokieteryi. Bledszą nieco jest charakterystystyka obu mężczyzn tj. Edwarda, dandysa, i brata Jana moralisty, któremu braknie siły i decyzyi w zestawieniu dramatycznem. Ale i w tej charakterystyce talentu p. Jarogniewowi nie odmawiamy.

Nie godzi się pominąć dwóch jeszcze poważnych zalet jednoaktówki Reni, a mianowicie zręcznego dyalogu i pięknego, czystego języka.

Tak więc pod względem artystycznym i technicznym oceniamy sztukę jednoaktową p. Jarogniewa, jako utwór świadczący bezwarunkowo korzystnie o zdolnościach autora. Pragniemy gorąco i życzymy młodemu talentowi szczerze, ażeby darów swych duchowych nie zaniedbał i pielęgnował je w przyszłych swych utworach nietylko na korzyść artyzmu jako takiego, lecz także dla dobra społeczeństwa, które tak bardzo potrzebuje w pięknej artystycznej formie, jaką autor rozporządza, moralnego, duchowego i uszlachetniającego posiłku. Niechaj te ideały towarzyszą p. Jarogniewowi na dalszej drodze jego twórczości!

Dr. K.



Choinka biednych dzieci.

— Mamo, w oknie gwiazdki złote
I drzewko widać tam małe...
Ach, stańmy, tak mam ochotę,
Patrzeć w te okna wspaniałe!

— Mój synku, pójdź moje dziecię,
Mróz tęgi i wiatr dojmuje.
— Ach mamo, chwileczkę przecie...
Ja mrozu, wierzaj, nie czuję!

To dzisiaj Wigilia, mamo,
Gwiazdkami świeczki się stały...
Pamiętasz, u nas tak samo
Rok temu jasno błyszczały.

— Pójdź, dziecię, my dziś sieroty
Przed nami droga daleka,
Nie budź w mem sercu tęsknoty,
Śnieg, wicher i mróz nas czeka.

Poszły biedactwa... O, gdyby
Szczęśliwe dzieci widziały,
Jak spoglądały w ich szyby,
Wstrzymałyby je... ogrzały.

St. G.





W sybirskich kazamatach.



Opowiadanie zesłańca.

Serca mego sybirskie lody nie zmroziły,
Z wiarą w Polski wskrzeszenie wstąpię do mogiły.
Wśród kości ofiar, które tam w lochach bieleją,
Wiara, boleść, milczenie — zrosły się z nadzieją.
Na katusze rodaków z zaciśniętą wargą
Patrzałem, ale ust mych nie splamiłem skargą,
Tylko łza — łza bolesna po twarzy spadała —
Bóg ją widział jak spadła na martwe już ciała...

Jak w piekielnej czeluści demonów gromada
Na potępieńców z straszną wściekłością napada —
Tak w ciemnych lochach tylko przy błysku latarni
Odgrywały się sceny najwyższej męczarni!
Wy wolni, gdy patrzycie na pola i łąki,
Czy rozumiecie boleść z Ojczyzną rozłąki?
Wam wietrzyk z pól ojczystych błogie pieśni dzwoni,
Myśli smutne, rozpaczne, hen w duszy rozgoni...
Tu przez kratę oddedrzwi piwnic zaduch wpada,
Tu króluje krwiożerczość, przemoc i zagłada.
Ileż serc poszarpanych boleścią na ćwierci —
Jak do kochanki modły wznosiło do śmierci?
Śmierć jako dobry zwiastun od męczarń wyzwala,
Ona jedna urąga ohydzie Moskala,
I choć bladość śmiertelna na zwłokach osiada,
Czuje kat, że duch żyje, choć ciału zagłada,
I kat drżał, nim ofierze cios ostatni zadał,
Bo sercem jego jakiś tajny ból zawładał...
Do sybirskich to lochów pamięć wraca chętnie,
Posłuchajcie łaskawie opowieści smętnej.

I.

Lat kilka w samotności bezdennej przeżyłem.
Ducha żywiąc goryczą, ciało chlebem zgniłym,
Znikąd wieści o kraju, o wiernej drużynie...
Słychać tylko brzęk kluczy, huk wody w kotlinie,
Która obok kazamat żałośnie płynęła,
Lub ostatni krzyk więźnia· »Jeszcze nie zginęła!«
Żyjąc w tym strasznym grobie odcięci od świata,
Mieliśmy Boga w sercu, a nad sobą kata.
Gdy za więźniem skrzypiącą już bramę zatrzasną,
Milczy z początku, nadzieją radując się własną.
Wierzy, że dłań wybije wolności godzina.
Potem jęczy i płacze jak wątła dziecina,
A gdy gwiazda nadziei zwolna blednąć zacznie,
Jak ptak po klatce rzuca się błędnie, rozpacznie,
Czując, że losu swego tem nie przeinaczy,
Już z rezygnacyą w grób swój otwarty się patrzy...
Przeszedłem wszystkie fazy męczeństwa niewoli,
Gdy Bóg mi zesłał druha w tej ciężkiej niedoli.

II.

Dwóch nas było w wilgotnej, dusznej kazamacie,
Dwóch skutych kajdanami w aresztanckiej szacie,
Choć w piersiach nam tętniły myśli do swobody —
Inaczej do niej wzdychałem, inaczej on młody.
Na młodzieńczej twarzy widniał uśmiech krasny,
Bo ją ożywiał pełen nadziei duch jasny,
On dopiero niedawno żegnał się z wolnością —
Nie mógł ducha zaprawić niewoli gorzkością.
Nie dręczyły go dotąd więzień straszne mary —
Inaczej ze mną było; znękany i stary,
Zrosłem się już z tym losem smutnego wygnania,
Bo na świecie nie miałem już nic do kochania.
Jak pustelnik czekałem rychło wyrok Boży,
Osłabłe oczy do snu wiecznego mi zmorzy,
I gdyby mi wolności otworzono wrota
Przedemną była już pustka, a ze mną tęsknota.

On młodości to czarem strząsłby pamięć kaźni,
I wróciwszy do świata zapragnął przyjaźni.
Możeby mu ból z czoła miękka ręka starła,
Komuż w kwiecie młodości już nadzieja zmarła?

III.

„Bóg z nami“ do mnie rzekł (głos miał ponury),
Gdy go gwałtem wtrącono w te męczeńskie mury.
Potem usiadł na pryczy, twarz na piersi skłonił,
Ciężko westchnął i kilka łez rzewnych uronił.
Jam zdala stanął przy drzwiach, patrząc nań w milczeniu,
Łzy się we łzach topiły, westchnienie w westchnieniu —
Wśród milczenia połączył nas uścisk braterski...
Po chwili rzekł:
Jestem Hieronim Koterski.
Z warszawskiej jestem stolicy, z ojczystej sadyby,
Wtrącony do kibitki i okuty w dyby.
Wśród naigrawań, znęcań przebyłem te drogi,
Które wpierw uświęcił zastęp braci mnogi.
Było nas kilku młodych związanych przysięgą
Do krwi ostatniej walczyć z moskiewską potęgą.
Nie w szalonych zapałem pałających głowach,
Zrodziła się ta żądza; w cierpieniu, w okowach
Dusze tak rozgorzały nadzieją odwetu —
Że go znaleść pragnęły na końcu bagnetu.
Lecz rozwaga stłumiła porywcze działanie,
I nam młodym głos trzeźwy to zadał pytanie:
„Czy jąć miecz zardzewiały, Kościuszki spuściznę,
„I uwolnić z pod knuta drogą nam ojczyznę,
„A po kilku wystrzałach, gdy zapał przygaśnie
„Od zwycięzkich tyranów sroższą znosić kaźnię.
„Czy czekać aż uśpi się czujność Moskali,
„Aż we wszystkich się warstwach zgodna myśl utrwali.
„A że w środki zasobni i dzielni w łączności,
„Zdołamy już zwycięzki wznieść okrzyk wolności?“

Gdy spiskowcy w ukryte zeszli się poddasze,
Uchwalono do czasu pochować pałasze,
A szerząc zamiar wielki po polskich krainach,
Z wiarą w Boga o przyszłych nie wątpić wawrzynach,
A hasłem: żyje Polska, śmierć na tyrany!

— Ciszej — ciszej — rzekłem mu — tutaj słyszą ściany.
Wzmógł siłę jego głosu zapał tak rosnący,
Że dosłyszeć by go mógł kat na warcie śpiący.
— Dzięki ci, drogi bracie — dzięki za przestrogę,
Lecz bez wzruszenia słów tych powiedzieć nie mogę
I choćby mieli w cięższe mnie okuć kajdany,
Powstanie Polska, a nasi wyginą tyrany!“

Po tych słowach ucichł — uklękłem przed mem łożem,
Modląc się z całej duszy: „Wiekuisty Boże!
Ty patrzysz na łzy nasze, krwi przelane strugi,
Ulituj się nad nami, bośmy Twoje sługi!
Wiek niewoli już mija, drwi zaciętość wroga —
Że próżno wznosim modły do naszego Boga!
Panno Święta — Królowo męczeńskiej korony,
Wznoszą łzawe modły do Ciebie miliony
Uciśnionych Twych synów i okutych w pęta,
Bądź naszą obroną Matko — Maryo święta!“

We łzach się roztopiły proste modły moje,
Do snu oczy tuliły ciężkie życia znoje.
I druh mój cicho usnął na twardej słomiance,
Pewno o opuszczonej gdzieś marząc kochance,
Bo przez — sen błogo szeptał wyraz pieszczotliwy —
Sen — go na nadwiślańskie przeniósł piękne niwy.....

Leon Feliks Beer.

DZIAŁ LITERACKI.

Słowa te niech starczą za słowo wstępne do szeregu artykułów, które „Praca“ pod tym nagłówkiem zamieszczać będzie.— Mówią one za siebie; a kto w stósunki nasze się wżył, — ten wyrozumie i myśli, które nas do założenia nowego tego działu w piśmie naszem zniewoliły. Społeczeństwo nasze wytężyło energią całą w jednym kierunku, oddane pracy ekonomicznej i politycznej walce. Nie dość, że nie produkujemy nic, albo tyle, co nic, — na polu literacko-artystycznem, ale zwolna zanika u nas i zainteresowanie się literaturą i sztuką.

Czytamy bardzo mało, korzystamy nietyle, jakbyśmy mogli i powinni, z teatru.

Rodzice wychowują dzieci w pojęciu, że zbytkiem jest wydatek na książkę beletrystyczną — a książka sama — niepotrzebną, może nawet szkodliwą zabawką. —A skutek jest ten, że rozwijamy w dzieciach jednostronnie zdolności spekulacyjnomyślowe, — a zaniedbujemy kształcenie uczucia i serca.

Często czynią nam z tego zarzut; w pismach warszawskich i galicyjskich analizują naszą literacką i artystyczną działalność i przychodzą do rezultatów ujemnych. — To cośmy zdziałali w dziedzinie rozwoju ekonomicznego i politycznej pracy tłomaczy nas; a nawet trudno, aby społeczeństwo tak małe, nowocześnie i w nawskroś przeciwnym kierunku pracowało świetnie. Jednakże poczucie artystyczne pielęgnować powinniśmy i kształcić.

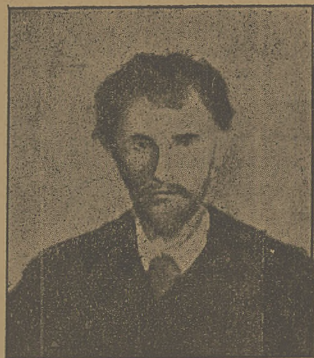
Pisma nasze poświęcają literaturze i sztuce bardzo mało miejsca. W zamożnych domach spotykamy „Tygodnik illustrowany,“ „Bibliotekę Warszawską“ lub „Życie.“ Niekażdy jednakże z pism tych korzystać może, niekażdy korzysta.

Stosując się przedewszystkiem do potrzeb społeczeństwa, uznaliśmy więc dział niniejszy za konieczny.

Wydawnictwa w stosunkach naszych walczyć muszą z tylu trudnościami. Zwolna rozwijają się i doskonalą. — Znaleźliśmy poklask i poparcie u społeczeństwa, — z rozrostem naszym zewnętrznym niechaj idzie i podniesienie wewnętrznej wartości pisma w parze! — Tak razem ze społeczeństwem około zadania naszego pracując, — mamy nadzieję, że osięgniemy w końcu cel nasz: stworzymy pismo w równej mierze dla wszystkich warstw pożyteczne i konieczne. *Redakcya.*

Stanisław Przybyszewski.

Daleką miał drogę i zmudną, nim u nas go przyjęto. Polak, wpierw u obcych szukał sławy, wpierw zdobył ją między nimi, nim naszym językiem do nas przemówić się odważył. Dopiero zdobywszy uznanie, poniekąd nawet entuzyastyczne — przybył do nas: zatęsknił za językiem naszym, za nami wśród obcych. Daleka to droga, — niejeden nie wraca z niej wcale. A jednak dobrze uczynił, że nie u nas rozpoczął karyerę artystyczną,— kto wie, czyby u nas przyjęto tak odrazu, bez zastrzeżeń, program jego artystyczny. — Może napróżnoby czekał na uznanie. — Teraz zmusił nas do przyjęcia zasad swych. — A i tak daleko mu



Stanisław Przybyszewski.

jeszcze do tej sławy między nami, którą ma w Niemczech.

Przybyszewskiego siła leży w subtelnej psychologii. Powieść nasza staje się coraz bardziej psychologiczną: takiem jest dążenie czasu. Przybyszewski w rozwoju tym powieści doszedł do pewnych krańcy, — na drodze, którą kroczą wszyscy, nikt go nie wyprzedził.

Powieść nasza stała się psychologiczną.— Tematy i fabuły, opiewające osobliwe losy ludzi i rodzin: sielankowe opisy uroczych ustroni, wzruszających scen, dramatycznych porywów, — budzą obecnie we wrażliwszych umysłach odrazę i odstręczają nikłością swoją: brak im duszy.

Są ludzie, którym nie wystarcza opis sukni i twarzy człowieka, opis mebli w salonie, a potoczne tylko wzmiankowanie o usposobieniu bohatyra, — którzy wniknąć pragną zupełnie w duszę człowieka, w jej chwilowy nastrój i poznać najdrobniejszy szczegół, najdrobniejsze — wrażenie. — Taki jest obecny stan rozwoju literatury.

Ibsen skreślił z dramatu długie fabuły, wszystko co się działo, działo się u niego poczęści przed rozpoczęciem akcyi, właściwej dramatu; i na tak przygotowanem tle rozwija subtelny obraz wewnętrznych przejawów bohatyrów. Skreślił wskutek tego i długi szereg osób, — w dramacie jego występują kilka tylko jednostek: trudnoby wniknąć w duszę każdego wśród wielu działających.

Dostojewski, Tołstoj zajmują to samo stanowisko w literaturze powieściowej. Zapominają o zewnętrznych obrazach i sytuacyach, nie zajmują ich one szczególnie, — ale z niezrównaną umiejętnością wnikają w głąb duszy, śledzą każde drgnienie mysli, — każde, leżące może poza samowiedzą, wrażenie.

Przybyszewskiego pod tę kategoryą pisarzy zaliczyć wypada. — Jest on tylko jeszcze bardziej krańcowym. Dostojewski przekłada punkt ciężkości powieści do duszy bohatyra, nie abstrahuje jeszcze zupełnie od zewnętrznego tła, od obrazów, podpadających pod zmysły, — Przybyszewski idzie o krok dalej. Nowela jego to szereg wrażeń, przeprowadzony z dokładnością, która może jest ostatnim wyrazem techniki psychologiczno-artystycznej. Żadnych opowiadań o zewnętrznych sytuacyach, o szczegółach postaci, stroju,—żadnych obrazów natury, opisanych objektywnie, nie przez prysmat wrażeń bohatyra.

Przybyszewskiego technika i forma jest ciaśniejszą od formy takiego Zoli lub Sienkiewicza. Pozbawia się on możliwości charakteryzowania postaci zewnętrzną ich stroną. Sienkiewicz n. p. oddaje usposobienie i wszelkie wewnętrzne przejawy bohatyrów poczęści opisem ich wyglądu. Rozpacz Vinicyusza n. p. maluje, odtwarzając bladą, poczerniałą twarz jego i błyszczące, zapadłe oczy. Taksamo czyni i Zola. — Przybyszewski, który abstrahuje zupełnie od zewnętrznego wyglądu — ma tylko jeszcze dwa środki charakterystyki: opowiadanie myśli i wrażeń i mowę. To, co kto myśli, co mówi i jak mówi: oto jego środki artystyczne.

Maulhner, znany i ceniony krytyk berliński, twierdzi, że obecnie wypiera teatr, a więc forma dramatyczna coraz bardziej inne formy literackie; forma poezyi dramatycznej, twierdzi on, stanie się niedługo, jako dla publiczności najwydodniejsza, jedyną.

Nie wiem ile w tem racyi. Ale te same myśli nasuwają mi się wobec dzieł Przybyszewskiego. Opisy i obrazy to główna strona poezyi epicznej, — z chwilą zaniechania ich staje się powieść podobniejszą do dramatu. Skreślmy tylko jeszcze opisy wrażeń bohatyra, zredukujmy więc środki charakterystyki do środków dialogu: do tego, co kto mówi, i jak mówi, — a mamy dramat gotowy z powieści.

Przechodząc do oceny techniki Przybyszewskiego, twierdzić przedewszystkiem musimy, że im mniej środków artystycznych ktoś używa, tem trudniejsze jego zadanie, — sztuka doskonalszą. Przybyszewski posiada jakiś nadzwyczajny dar wnikania w duszę ludzką. — Ma on wprawdzie wybrane swoje typy, które rozumie, — ale te zna i rozumie z nadzwyczajną subtelnością. Przejawy duchowe i te nieświadome drgnienia myśli, wrażenia nierozwikłane, których ktoś w chwili sam nie rozumie i opowiedzieć by nie umiał, — on rozprowadza misternie. Są miejsca w dziełach jego, które nieprześcignione są i będą zawsze.

Drugą stroną talentu jego i charakterystycznym przymiotem jest dążenie do wiernego naśladownictwa życia: takiem jest jego teoretyczne dążenie. Ponieważ w życiu niema widomych początków i końcy akcyi, przeto i dzieła jego mają być wyrwane z całości życia fragmenty. Napisał kiedyś dramat po niemiecku, drukowany w »Gesellschaft« przed dwoma czy trzema laty; dramat ten zbudowany jest przeciwko wszelkim regułom o budowie sztuki. Co do ostatniego punktu można się długo sprzeczać, — a nie mogę zupełnie przyklasnąć Przybyszewskiemu. O tem — potem.

Tyle co do zewnętrznej techniki Przybyszewskiego. Poglądy jego na świat i ludzi, dalszą zawartość dzieł jego zachowujemy sobie jako przedmiot dla osobnego artykułu.

Jarogniew.

Dla Pań.

Suknie balowe.

Złudzeni pogodnemi i słonecznemi dniami późnej jesieni, stoimy teraz nagle wobec surowej, ponurej zimy. Silny wiatr wschodni dmie z całą potęgą, wkrótce zaś pokryje biały całun zwiędłe liście i zmarzniętą ziemię. Raz po raz wyjrzy tylko blady promień słońca z za ciemnych chmur, jak gdyby chciał zobaczyć, co się na świecie dzieje. Nie dziw zatem, że i wszechwładna pani „moda“ zakrywa się coraz to więcej przed oczami ciekawych, i schodząc z ulic i promenad, udaje się do salonów, w których wytworny świat bawi się wesoło. Odwiedza też skromniejsze wieczorki, koncerta, herbatki tańcujące, bazary itd. Podążmy za nią i słuchajmy jej przepisów na tegoroczny sezon zimowy, a raczej na karnawał.

Zwrómy uwagę najpierw na toalety balowe. Dla panien przepisuje „moda“ jak zwykle suknie z lekkich, powiewnych materyi, jak gazy, tiule, krepy, muśliny, gładkie i w desenie. A jakie tam różnorodne kolory! Począwszy od białych aż

do ciemno-różowych, czerwonych, zielonych itd., jeden zaś piękniejszy niż drugi. Młode mężatki noszą lekkie jedwabie, bengaliny, jedwabne muśliny i krepy w deseń; starsze zaś ciężkie jedwabie, z których najmodniejsze są czarne z wrabianemi albo haftowanemi różnokolorowemi kwiatkami, co bardzo wygląda efektownie. Zupełnie coś nowego wymyśliła „moda", otóż jasne, cienkie sukienki, które mniej podpadają najrozmaitszem garnirowaniem, niż kosztownością materyału i prześlicznemi kolorami. Lekkie suknie bywają suto garnirowane, mianowicie staniki, pufki, wolanty, koronki, rozety i kokardy rococo z ciemnego aksamitu — wszystko to jest obecnie modnem, chociaż staniki gładkie także jeszcze nie należą do przestarzałych. Przybieranie lekkich balowych sukien aksamitem i wstążkami o różnych kolorach, bardzo bywa w tym roku używanem, i wywołuje wielki efekt. Szarfy i kokardy mają długie końce. — Dla starszych pań poleca „moda" czarny tiul, haftowany kolorowemi jedwabiami i perłami, co świetnie wygląda na błyszczącym, kolorowym jedwabiu. Na spódnicach widzimy kosztowne aplikacye, obszywane w kształcie dawnych tunik, na dole zaś szerokie wolanty z nagłówkami. Powłoki zaczynają też znowu panowanie, ale tylko starsze panie noszą je — dla młodych jest to czemś wprost niestosownem i śmiesznem.



Uczesanie głowy dla młodej panienki.

Forma staników balowych jest bardzo rozmaitą, głównie jednak bywa używaną forma bluzkowa, t. j. dla młodych panienek. Z licznych toalet, jakie widzieliśmy w jednym z najpierwszych Atelier, pozwolimy sobie opisać dwie, które ogólną na siebie zwróciły uwagę wytwornością i szykiem. Pierwsza, jasno rózowa, z jedwabnej krepy, miała stanik okrągło wycięty, w formie bluzki. Wokoło wycięcia była potrójna, suta riusza z krepy cokolwiek ciemniejszej, riusza ta, ujęta na lewem ramieniu czarną aksamitną kokardą i bukietem kwiatów (dzikie róże) spuszczała się wzdłuż stanika i kończyła na prawej stronie przy pasku, także czarnym aksamitnym, a dosyć szerokim. Pół długie rękawki, układane w fałdki, oszyte były również taką samą riuszą. Spódniczka krótka, szeroka na dole, okrągło skrojona miała dwa razy takąż riuszę, oszytą w kształcie tiuniki i dwie wązkie falbanki z nagłówkami. Druga suknia, z żółtej bengaliny w deseń, była także bardzo piękną. Stanik w formie bluzki był tak skrojony, że przednie części, oszyte koronkami i marszczonym jedwabiem równego koloru po 4 razy, zakładały się jak szal z prawej na lewą stronę. Zupełnie krótkie, gładkie rękawki miały jedwabne epolety



Uczesanie głowy dla młodej mężatki.

podwójne, składające się z tak samo marszczonego jedwabiu i koronkowych wstawek. Rękawki te były bardzo ładne — w każdym razie wygląda stanik z rękawkami o wiele szykowniej, niż bez nich. Spódniczka była szeroka, ale gładka, na dole tylko szeroka falbana, oszyta koronką; pasek wązki, z jedwabnej wstążki, na boku kokarda i bardzo długie, szerokie końce.

Balowe toalety dla starszych pań mają często formę „princesse", co bardzo dobrze wygląda, mianowicie jeżeli figura jest wysoką i szczupłą, i jeżeli suknia jest z materyi ciężkiej, z aksamitu, adamaszku, sukna i t. p. Na garnirowanie można użyć tylko aplikacye i tiul, naszywany perłami.

Bądź co badź, pani „moda" dosyć jest wyrozumiałą. Lubi ona, gdy panie stosują się do jej przepisów, ale nie gniewa się, gdy kto postępuje podług własnego zdania; żąda tylko koniecznie, aby okazano dobry gust i nie pominięto zupełnie jej wymagań. Tak jak we wszystkiem, tak i tu, jest zachowanie złotej średnicy najodpowiedniejszą drogą. Wszelkie ostateczności nigdy do celu nie doprowadzą, bo przedewszystkiem chodzi o to, w czem komu do twarzy. Niektóre kobiety, zbyt gorliwe zwolenniczki ostatniej mody, stawają się nieraz śmiesznemi, ale i te, które wcale się do niej zastosować nie chcą, nie lepiej na tem wychodzą. Trzeba zawsze pamiętać, że „głupi wynajdują mody", a mądrzy naśladują ich po części."



Wychowanie dzieci.

Zabawki dla dzieci. Przy zakupowaniu zabawek dla dzieci trzeba uważać na to, aby zabawki służyły nietylko do zabawy, ale aby nadto rozwijały umysł dziecka, i przygotowywały je zwolna do późniejszych, poważnych zajęć. Zwracamy na to uwagę rodziców teraz mianowicie, gdy robią zakupna na Gwiazdkę. Dla dzieci małych nadarzają się bardzo dobrze rozmaite gry freblowskie, i dzieci zwykle chętnie się niemi bawią. Dla starszych radzimy wybierać machiny parowe, koleje, motory itd. Są to wprawdzie drogie rzeczy, ale dzieci nabierają zawczasu zamiłowania do zajęć poważnych.

Choroby dziecięce, powstałe ze zaziębienia w zimie, pochodzą głównie z nieodpowiedniego ubrania. Grube wełniane chustki na szyji, niedostateczne okrycie dolne i ciasne trzewiki, oto źródło złego. Tak jak dorośli, tak i dzieci powinny mieć nogi ciepłe, a głowę chłodną.

Pielęgnowanie zdrowia.

Wpływ słońca na ciało. Sławny badacz natury Moleschott odkrył w r. 1855, że żaby w słońcu więcej wydzielają kwasu węglowego, niż w ciemności. Jest też dowiedzionem, że każda roślina potrzebuje światła słonecznego, bez niego bowiem nie mają liście zieleni, kwiaty woni, a owoce smaku. O wiele zaś ważniejszem jest światło słońca dla ciała ludzkiego, wytwarza czerwoność krwi i ciała muszkułów i zwiększa odmianę soków. Jak wiadomo, wydziela się węglik z naszego ciała w stanie gazu jako kwas węglowy przez skórę i płuca, a ilość wydzielonego kwasu węglowego wzmaga się z siłą wpływu światła słonecznego. Z drugiej strony jest to ważnem, że kolor skóry stoi także pod wpływem słońca, jak to widzimy u ludzi, pracujących dużo na powietrzu. Żołnierze, wieśniacy, mularze, ogrodnicy i t. d. mają czoło białe, bo przykryte czapką, reszta zaś twarzy, wystawiona na promienie słońca jest opalona i ciemna. Najnowszy sposób leczenia rozmaitych chorób skóry polega teraz na zastósowaniu promienia słońca, znamy to pod nazwiskiem „kąpieli słonecznych," a kąpiele owe mają ten cel, aby wszystką krew z ciała, wystawionego na działanie słońca sprowadzić zwolna pod powierzchnią skóry, tak, aby się tutaj zupełnie przekształciła. Wskutek tego zmienia się barwa skóry niezmiernie, mianowicie na twarzy — skóra staje się czerwoną i brunatną, co wielką sprawia ulgę organom wewnętrznym. Oprócz tego skóra poci się, a z potem wydzielają się wszelkie zarodki chorobliwe z wewnętrznych organów. Im więcej i prędzej zmienia skóra barwę, tem prędszem bywa uzdrowienie.

Środek przeciwko odmrożeniu. Natrzeć odmrożone członki kilka razy dziennie sokiem cytrynowym.

Popękane, czerwone ręce, co zimą mianowicie często się zdarza, myć codziennie wieczorem rozczynem gliceryny i tanniny.

Gospodarstwo domowe.

Ładną szafkę do biżuteryi można urządzić z dwóch pudełek od cygar, sklejonych długiemi stronami, tak, aby drzwiczki otwierały się od środka, jak u wielkich szaf. Pudełka zaopatrzyć wewnątrz w 6 listewek, na których umieścić 3 deseczki, do drzwiczek zaś przybić maleńkie zameczki i zawiaski, jakich w składach można wszędzie dostać. Potem polakierować pudełka wewnątrz i zewnątrz czarnym lakiem. Cztery drewniane klocki służą za nogi. W końcu ozdobić ściany, drzwi i wierzch kolorowemi bronzami, naśladującemi japońskie towary, i ładna szafka jest gotową.

Przezroczysty papier. Wziąść zwyczajny papier, zwilżyć go z jednej strony lekko benzyną i ususzyć. Powtarzać to tak często, dopóki po uschnięciu nie będzie papier zupełnie przezroczystym.

Zygmunt S. Słupski.

POLITYKIER.

Powieść

z życia Polaków w Ameryce
odznaczona pierwszą nagrodą i złotym medalem
na konkursie literackim im. M. Kopernika.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ II.

Przybłęda.

Żyd kuty, dobrze wiedział, co robi. Przywtarzał, śmiał się, albo i sam koszałki opałki płótł, a tymczasem wśród onych drwin, rzecz najważniejsza całkiem z głowy im wyszła. Dopiero kiedy już na lądzie jeden coś o zapłacie napomknął, dalejże zaraz wszyscy do żyda, ale żyda już ani poświć. Zakręcił się i przepadł, ani wiadomo jak i kiedy.

Rozbiegli się po krzakach, ale go już chyba i sam dyabeł nie dogna, nigdzie ani śladu, rozstąp się ziemio, jakby kamień w wodę. I żeby to choć w wodę, jużby im może nie tak było markotno; ale pomyślić, że żyd się teraz z nich jeszcze naśmieje.

Zauważył któryś, że może mu jeszcze kupiec nie dał pieniędzy na wypłatę, ale go zakrzyczeli, bo to głupiemu gadać. A dlaczegożby umykał? Gdyby nie miał, toby mu przecie nikt duszy nie wydarł, boć tylko pisarz. Ale miał psinaród, jako żywo, miał, bo się co i raz po kieszeni macał.

Biedni więc oryle, ni to grosza przy duszy, ni się u kogo o swoje upomnieć, bo gdzie tam już teraz kupca po Gdańsku szukać.

I Franek zrazu piorunami los poczęstował, ale tylko raz czy dwa i dał pokój, nie wyrzeka ani pomstuje bezustanku jak tamci, bo na co się tu lament zda. A może też ta strata mniej go niż skrzypki obeszła; albo tylko nie chce słów po próżnicy na wiatr rzucać. I ma racyą, bo skoro żyda z garści wypuścili, to już nie ma co, niechże teraz samych siebie klną. Ale że na nim psy wieszają, to też nie żaden dziw. Zawsze to jakoś człowiekowi na sercu lżej, gdy choć wygada co boli. A chybaby kamień milczał, gdyby mu tyle krwawicy przepadło. Bo czy to mało im potu wyciekło? małoż to człek musiał gnatów naprzeciągać, zanim sobie tę parę groszy zarobił, a tu masz zarobek! I żeby to choć za nie użył, ale ni to zjadł ni wypił a dyabli i tak wzięli. I jakżeż tu nie pomstować?

A już najbardziej, to właściciel koszuli ujada i nawet Frankowi przytyka. Już mało ztąd brakło, a byliby się i za łby wzięli; bo widać milczeniem jego rozdrażniony i ośmielony, nietylko żydowskim lizusem, ale nawet filozofem i politykiem go nazwał. Drudzy też myśląc, że on chyba za żydem musi trzyma, skoro nań razem z nimi nie wymyśla, śmiechem tym przytykom potakiwali.

Franek wszystkoby ścierpiał ale tego już niesposób. Chociaż więc, jak każdy siłacz, do pięści nieskory, jednak się zerwał i za ożydle go ima — widzisz ty polityka — rzecze, pięść mu do nosa podtykając — Powąchaj! — dodał jeszcze, ale trochę nim tylko trząchnął, jakby brytan małym psiakiem i puszcza.

Chociaż ich tam aż trzech na jednego, jednak jakoś nie mają ochoty z Frankiem zaczynać. Zaraz też dwaj inni między nich wpadli i rozdzielili. Ale im bardziej onego zucha przytrzymują, tem bardziej on zucha udaje i do Franka rwie się. A chyba ani krzty węchu nie ma i wcale jeszcze Frankowego polityka nie poczuł, albo mu zamało i chciałby więcej oberwać. Mizerne to przecie i niepokaźne, Franek by go jednym palcem zgniótł; więc pewny siebie, z lekceważącym uśmiechem na przeciwnika patrzy i spokojnie na stronie czeka.

I tak to, niedość że pokrzywdzeni, jeszczeby się gotowi wnet sami ze sobą poczubić—a wszystko wedle jednego żyda. Szczęściem, na wygrożbach się skończyło; przynajmniej z pozoru, bo o szczerej zgodzie ani mowy. Toć możeby znów wróciła, gdyby ją choć półkwaterkiem oblać, ale zkąd tu teraz półkwaterka, kiedy i na chleb nie ma; i żeby nie rybak, jużby głodem handlowali. A taka zgoda bez oblania, to na nic. Jakoś też zuch nie może swego na sucho podarować. Niby to już ze sobą dobrze, a zamanowszy tak nań okiem z podełba rzuci, jakby go chciał zjeść.

Franek to widać poczuł i częścią dla tego, nie chce razem z nimi do dom o żebranym kiju wracać. Woli sobie u kogo na kolej zarobić, bo i bez wstydu i prędzej niż oni tam zajedzie.

Rozłączyli się tedy — tamci w lewo, on zaś w prawo po nadbrzeżu do najbliższej wioski poszedł za robotą.

A idąc tak, od czasu do czasu przystawa, to skrzypki obejrzy, opuka je, obmaca, to znów rękę do czoła przyłoży i czegoś na wodzie pilnie upatruje, ale ni kupca, ni tratwy już ani śladu teraz. I smutny dalej rusza a wzdycha a głową kiwa, rękoma rozkłada, jakby sam ze sobą rozprawiał. Snać bardzo mu na sercu ciężko.

— Żeby jeno robotę gdzie naleźć — myśli — toby jeszcze wszystko nic. Najgorzej tylko z temi skrzypkami. Już chyba takich nigdy mieć nie będzie. A zkądby. Takie ogniste, takie były żałośliwe, że za nicby ich nie był mieniał — a tu masz teraz, chudziaku, skrzypki...

Słonko już dobrze w górę wypłynęło, kiedy nareszcie znalazł się w opłotkach. Zaraz na wstępie psy go opadły, ale on na to wcale nie zważa; a choć zgołą ręką, jednak żaden z kundlów nie śmie go bodajby tylko za nagą łydkę uskubnąć. Ot, tak, ujadają aby tylko ujadać — zwyczajnie psy. A skoro na nie cmoknął i zawołał: Kruczek! Burek!... zaraz najmłodszy przyjaźnie kuprem zaczyna kręcić, ogonem po bokach bije i jakby stary znajomy, do nogi mu przypada i nuż się łasić. Drugi jeszcze nie wie co zrobić, ale też umilkł i na stronie się trzyma, łeb przekręca i z niedowierzaniem a zazdrośnie patrzy. Radby pewno aby i jego też pogłaskać, poklepać, ale się jeszcze boi czy nie śmie. Trzeci tylko zawziętszy, wciąż ujada kuternoga, choć już nie tak ostro. Ale skoro nań z poza płota zawołano: Leżeć, Krasny! — zaraz i on uciął, a ogon spuściwszy, zawstydzony na stronę odchodzi, lecz z widoczną niechęcią, bo jeszcze wrogo zpodełba na przybysza spoziera a pomrukuje i od czasu do czasu choć ciszej nań zaszczeknie.

Franek się zaraz obejrzał i oczami szuka: zkąd ten głos. A tu w sadku po za krzewiną, dziewucha niby łania stoi a oczy weń ciekawie wlepia. Szkoda tylko, że jeno jej głowę widać; ale ta głowa, to prawdziwa różyczka wśród zieleni. A te oczy, to istne dwie krople rosy na jej listkach rumianych, albo dwa świętojańskie robaczki, albo i dwie gwiazdki na niebie. A tak mu ta różyczka już zdaleka zapachniała, tak mu te gwiazdki świecą, tak błyszczą, że aż się człowiekowi jaśniej w duszy robi, jak gdyby mu tam kto całe słońce zapalił. A tak jakoś ciekawie, tak po ludzku nań patrzą; tyle w nich dobroci, tyle zmiłowania; że nawzajem, chciałoby się w takie gwiazdki, choćby dzień i noc bezustanku patrzeć i patrzeć, i możnaby o wszystkiem, nawet o skrzypkach zapomnieć.

To też Franek ledwo oczu nie wypatrzy, tak je wlepił, jakby jeszcze żadnej dziewuchy nie widział. Niby widział i nie jedną, ale takiej to jeszcze, coprawda, nigdy. A toć to malowanie nie dziewucha!

I tak ono malowanie od razu się duszy czepiło, że chłopak jakby już nie ten sam. Dawniej, choć też na oko niemrawa, ale do dziewuch zawsze okrutny polityk i urwis zapamiętały. Bywało, niech mu się lada spódnik nawinie, to omal że ze skóry nie wyskoczy, taki gorączka. A choć o żadnej hultaj na prawdę nie myślał, żadnej jednak nie darował ale do każdej zaraz obces i już. A same mu w oczy lezą i nadstawiają się, takiego ma w sobie wabia czy coś. Ale jeszcze się nigdy nie przytrafiło żeby tak na którą jak na tę patrzał. A toć on teraz jakby w ziemię wrósł i całkiem osłupiał. Ani zagada. Nawet i pochwalonego nie powiedział.

Od takiego patrzenia Franka, dziewucha aż pokraśniała jak burak. Niewiadomo co teraz kraśniejsze: czy jej własne jagody czy też ta zrośnięta parka wisien, którą za ogonek w zębach trzyma. Ale niby to zawstydzona, za krzewinę się kryje, a zamiast zielsko dalej rwać, to ona, jakby o niem zapomniała, jeszcze przez gałązki na chłopca ciekawie spogląda a myśli:

— Jakiś musi człek dobry, skoro się psów nie boi; a psy mu się też łaszą, choć obcy.

I tak ona łaskawie myśląca różyczka, to się z po za krzaka wychyli, to znów za nim ukrywa, jakby nią wiatr na wabia czy też na psotę chłopakowi kołysał, albo się z nim drażnił, lub jeszcze bardziej chciał rozdmuchać płomienie w tych oczach, co już nieomal jak dwie żagwie świecą.

Nareszcie się z miejsca ruszył i bliżej do płota podchodzi. Może go chętka zdjęła choć o garść wisien poprosić, bo mu aż w gębie z wielkiego patrzenia zaschło; a wiśnie się tak ponętnie na drzewinie rumienią, jakby się same do gęby napraszały. A gdyby się tak jeszcze dziewucha użaliła a dała mu i tę bliźniaczą parkę, co jej na brodzie drżąca wisi, to by na pewno pragnienie ugasił. A kto wie, możeby i dała, ale już jakoś czasu na to nie stało, bo szczekaniem psów zwabiony, sam gospodarz wychodzi i pyta:

— A co to?

Drgnął Franek, drgnęła i dziewucha

— oboje aż na stronę uskoczyli, jakby na jakim złym uczynku przydybani.

Że Franek, choć nie taki bojący, a spłoszył się, to jeszcze niewielki dziw. Może znów niecnota chciał co zbroić, a że mu tak raptem przeszkodzono, więc się i stropił na razie. Ale dlaczegóż to i ona się tak zestrachała, jakby sarna. Co ją tam jakiś nieznany oryl obchodzić może? A jednak widać i ona już ma coś do ukrywania przed ludzkiem okiem; bo zaraz się jak oparzona zrywa i nuż swoje zielsko do fartucha skubać. Ale bogać jej tam teraz zielsko w głowie. To też niedługo było tego skubania—znów przystanęła i słucha.

A gospodarz tymczasem dopytuje:

— Czego to chcesz, człowieku?

Franek, choć jeszcze niecałkiem oprzytomniał, pokłonił się jednak i pytaniem odpowiada:

— A nie byłoby tu u was i dla mnie jakiej roboty?

Gospodarz, nie znając powodu zmięszania, myśli, że z przyrodzenia chłopak taki do ludzi nieśmiały i przed starszym pokorny, a to mu się podobało, więc tem chętniej w gawędkę z nim wchodzi.

— U mnie nie — rzecze. — I swoich rąk w chałupie aż nadto. Ale żeby tak o co jak teraz o robotę! Nie ma kłopotu. Ze dwora aż się proszą. Tylko tam idź a na pewno przyjmą. Nie mają kim siana sprządać, aż ja im swoich posyłam, nie tak dla zarobku, boć i swego dość, ile dla wygody dziedzica. Kaśka tylko dziś doma ostała, bo i przy chałupie też było trochę oprzątku — dodał, spostrzegłszy dziewuchę, która tak się zasłuchała, że sama nie wie jak i kiedy z za krzaka wyszła a ciekawie w chłopaka oczy wlepia. Ale i teraz wiatr temu winien, bo mu na piersi koszulę odchylił, a Kasia zaraz aż się wzdrygnęła.

— O rety! —.myśli. — A to ci dopiero kudłaty! Taki to i djabłu by łeb urwał...

Franek tymczasem niby gadania słucha, a co i raz to na krzak ukradkiem zerknie. Już się o robocie dowiedział, a wcale mu jakoś nie pilno odejść. Toć kiedy robota jest to jest; nie zając przecie, nie ucieknie. Zresztą jakże tu teraz choćby i za oną robotą odchodzić, kiedy gospodarz jakiś ludzki człek, bez końca dopytuje: a dawno? a zdaleka? a zkąd? a po co? itd.

On się też chyba o to nie gniewa, bo jakby z umysłu chciał opowiadanie przewlekać, każde najmniejsze słówko żyda powtarza.

A tak to wszystko snać dziewuchę zajmuje, że się aż znów bliżej wysunęła. Zwłaszcza też kiedy i połamane skrzypki pokazał, a na swą dolę srodze utyskiwać zaczął, to się już wtedy omal że nie rozbeczała: tak jej żal — nie wiem — chłopca czy tylko połamanych jego skrzypków.

— O jej! o jej! — za każdem niemal słowem biada nieboże, jakby to był rodzony abo co. Aż jej wiśnia, ani wie kiedy, z gęby wypadła.

I stary Solarz głową jakoś kręci. Tylko, że ten nad skrzypkami się nie rozczula; ale bardzo go za to obeszła historya o żydzie i pieniądzach.

— A to ci dopiero! — dziwi się. — No, no! to ci dopiero! to ci wej żydzisko!

Franek tak żałośliwym głosem opowiadał, że bodaj nawet i kuternogę Krasnego za serce chwyciło, bo jakoś inaczej zaczyna nań patrzyć. Nietylko przestał już pomrukiwać ale nawet odważył się podejść i ostrożnie go obwąchuje. A widać całkiem ztąd odmienił swe o nim zdanie, bo w końcu już zupełnie uspokojony, na ogonie przysiadł i w oczy mu przyjaźnie patrzy, jakby go chciał za swą omyłkę przeprosić. A słysząc jak się Solarz wciąż o żydzie rozwodzi, aż warknął, uszami strzyże a patrzy: gdzie żyd? Oj dałżeby mu. Niechnoby się tylko śmiał jaki we wsi pokazać! Byłaby choć dla psów uciecha.

— A co już teraz na to poradzi — kończy Solarz. — Żeby tak na mnie, tobym tylko czekał aż sam w ręce popadnie. Góra z górą się nie schodzi, ale człowiek na człowieka czasem się niespodzianie natknie, ani wie jak. Więc jeżeli się i on kiedy jeszcze pod rękę nawinie, to mu żebra policzyć i tyle będzie waszego.

Franek pięść zacisnął.

— Ja go jeszcze dostanę! — wygraża.

A Krasny mu zaraz do nogi przypadł i liże; pewno swą pomoc przyrzeka.

Tu Solarz raptem się do Kasi zwraca.

— A cóż ty tam, dziewucha, tak stoisz?

— O la Boga! — mimowoli się niebogiej wyrwało, aż się sama z siebie uśmiechnęła, że ją tak wuja wystraszyli.

A wuja dalej gdera.

— Pod bok się to ujmie i słucha, a tu jeno patrzyć rychło już krówska na południe wrócą. Dalej, duchem, próżniaku!

Dziewucha się zawstydziła i żywo chwast do płachty zgarnia, a ku samej ziemi się pochyla aby choć rumieńce ukryć. Niby sobie z gderania nie robiła, boć tego nałożna, ale jej o to najbardziej chodzi, że przy obcym. Jeszcze sobie pomyśli że i prawda. Ten wuja to zawsze...

Wuja się też widać spostrzegł i sam bo się zaraz poprawia.

— E, tak się to jeno gada, ale ona nie żaden próżniak. U żniwa przecie zawsze przodownicą. I do wszystkiego zgrabna; daleko takiej szukać. A sierota to, po siostrze — dodał — u mnie to prawie że z dzieciaka wyrosło. Od czasu jak i ojca straciła, to ja i jej gospodarkę muszę obrabiać. A naładujcie tam więcej jadła — woła za odchodzącą już Kasią.

Kasia jak to posłyszała, to aż jej, niewiadomo dla czego, serce zadygotało i zaraz prawie dyrdem pobiegła. Taka to widać posłuszna czy gościnna ta Kasia.

— Jak sobie klusek z maślanką podjesz galancie — znów się Solarz do Franka zwraca — to i robota pójdzie raźniej.

Co się to dziś temu Solarzowi stało? No, no. Nie taki on przecie do zaprosin skory i nie dla każdego taki szczery, choć gadają, że talary dusi. Tabaką to potraktuje ale z potrudna kiedy się trafi żeby kogo bodaj łyżką strawy potraktował. Widać mu Franek okrutnie do serca przypadł. Dziwne ma do ludzi szczęście, ten chłopak. Dziewuchy nie dziewuchy — wszyscy za nim, aż drugim zazdrość.

A to się wie że nie dał on sobie dwa razy tych zaprosin powtarzać. A opłaciły się, bo to pewno ona Kasia tak wszystkiego przed nim nastawiała, jakby dla pięciu, że się aż wuja dziwuje. Ale dobrzeć ona wie co robi. Toć ludzie gadają, że woda pono okrutnie z człeka wyciąga, a on przecie z wody, więc jakże takiemu pożałować, kiedy musi chudziak zgłodniały.

Bo i prawda, zgadła, Franek głodny jak pies, i sam temu gotów poradzić. To też kiedy wujenka wciąż jak młynek nad uchem mu o różnych różnościach trajkoce, on nic, tylko się do miski przypiął i słucha, na dziewuchę zerka a kluchy zawija, aż mu się uszy trzęsą.

A dziewucha niby się od tego zerkania wstyda ale uśmiecha i w duszy taka czegoś rada, jakby ją kto na sto koni wsadził.

Wujenka to widać spostrzegła, bo zagaduje:

— Co tobie, Kasia? Po izbie się to wierci a do jadła nie siada. Toć jedzże, bo perki wystygną.

Tego już było nadto. Dziewuchy omal krew nie zaleje, cała jak upiór, że aż uszy poczerwieniały, że aż nawet i krucze jej włosy też czerwonawym odblaskiem w słońcu się mienią. Nigdy tego nie bywało, dopiero dziś taka się jakaś nijaka zrobiła, że byle co i już jak burak.

Wujenka powtarza: Ady siadaj — ale ona by teraz za nic nie siadła. Nic nawet nie odpowiedziała i smyk z izby. Pewno jej na myśl przyszło, że wartoby jeszcze choć z garść wisien dla gościa urwać, bo zaraz na drzewinę się skrabie.

I tak rwie one wiśnie a wujenka tymczasem nuż mu o niej rozpowiadać: jak się to o sierotę chłopaki jeden przez drugiego dobijają, ale jej byle kto nie dostanie, a w końcu nawet dała mu do poznaki że już tak jakby zaswatana.

Ledwo to oryl posłyszał, zaraz jakby kto ręką odjął, już głodu nie czuje. Nosem w misce utknął, łyżką grzebie i grzebie a nie sporo mu i ledwo! ją do gęby doniesie, tak mu ręka, niby dziadowi, dygoce, a strawa, ani rusz, do gardła nie idzie. I tak je jakby wcale niejedzący.

A tu jeszcze Kasia wraca, z fartucha na stół wiśnie przed nim wysypuje, Chłopak jak na rozpalonym stołku siedzi, oczu już na nią podnieść nie śmie, i aż go cóś podrywa. Gdzie mu tam teraz do jedzenia, choćby i wiśni. To też zerwał się raptem i ledwo że brodę utarł, już do onego dworu zmiata, aż się za nim kurzy.

Kasia, skoro tylko miskę jeszcze prawie pełną spostrzegła, zaraz ją coś tchnęło; a teraz już ani chybi, jakiś kaduk w tem musi jest. Pewno mu wujenka co nabajała, A może. Toć u niej tego nie kupić. O, ona by tak wszystkich rada porozpędzała, byle tylko jej Antek był pierwszy. Ale kto wie jak to tam jeszcze z tem jego pierwszeństwem wypadnie. Bo i cóż że radaby, ale przecież nie poradzi gdy się dziewucha uprze. Toć jej chyba za żadnego nie przyniewoli.

I tak odgadując: co też mu ta wujenka mogła powiedzieć — jak mara się włóczy, sama nie wie co robi a gdzie nie spojrzy, z każdego kąta patrzą na nią te wielkie wyłupiaste, modre oczy, wszędzie widzi tylko pierś kudłatą i grube, żylaste ręce a w nich połamane skrzypki.

Czy urok na nią rzucił, czy co, bo rady sobie dać nie może, tak ją różne myśli opadły. Już nawet i o tem myślała: jakże on może grać, kiedy jego jeden palec omal taki duży jak całe skrzypki. Okrutnie też ciekawa usłyszeć czy zobaczyć owo granie i jak on temi palcami przebiera. A tak jej wciąż coś w sercu pika, że go jutro u dworskiego siana znów ujrzy; i nie

może się tego jutra doczekać, tak się jakoś czas powoli wlecze.

Solarzowa na cztery boki kuta baba, zaraz widać zmiarkowała jak, co i poczemu łokieć, bo mówi:

— Jutro, Kasiu, trzeba koniecznie przerwać tę rosadę, bo strasznie mizerna, i trzeba też ogórki przepleć, bo je zielsko do cna zagłuszy.

Kasia na razie ni tak ni tak nie rzekła, ale to z oczu widać, że teraz by jej i na łańcuchu przy rosadzie nie utrzymał. U niej siano dworskie pierwsze.

Ale mało brakowało, a byłaby się srodze na tem pierwszeństwie zawiodła, bo oryl już chciał gdzieindziej pracy szukać, jeno w tem sęk, że insza rzecz chcieć a insza znów módz. Już wprawdzie kawał za wieś uszedł, ale coraz bardziej kroku zwalnia i coraz się częściej po za siebie ogląda, aż wreszcie całkiem stanął i rozważa: co robić — iść nie iść? wrócić nie wrócić? Na przyrowku przysiadł i wzdycha. Odchodzić żal a wracać nie ma po co — ale wrócił.

A bez żadnego gadania do roboty go przyjęto.

Bardzo mu się tam spodobało. Chleba snać dostatek; lud rosły, dorodny, uczony — nie tak jak w tej jego Gacyi. Dziewuchy, każda jak ulana. Tylko że on teraz, jakby zgoła nie ten sam Franek, do żadnej ani się nawet przysunie, choć go same zaczepiają.

Ale może później będzie inaczej, boć i kot nie tak śmiało za myszką na cudzych śmieciach ugania. Jeno że co kot to nie Franek, więc inna też odmiany przyczyna. Co tu długo gadać — toć to i ślepy namaca, iż to ona Kasia tak mu do serca przypadła, że już dla innych miejsca tam nie ma.

Ale co tu sobie Kasiami głowę zaprzątać i tylko po próżnicy smakę sobie robić. Gdzie tu jemu do Kasi. Nie dla psa kiełbasa, nie dla kota takie sadło Wolno mu się tylko oblizać i tyle. Ona przecie bogaczka, z książki się modli, a on co? Na książce ni be ni me; jakiś tam z końca świata przybłęda, topielec; we wsi nikt go nie zna; może i zbój — a kto go tam wie. I w dodatku ani nawet łachów od święta. Jedyna jedna ta na grzbiecie koszulina, to cały teraz jego majątek.

I sam dobrze to widzi, że nietędy dlań droga. Czasem jednak ogromna bierze go chętka postawić na swojem. A jak by się tak naprawdę uwziął, to, kto wie, może by i postawił, skoro mu tylko dziewucha nie przeciwna — ale cóż, kiedy go zaraz zwątpienie ogarnia i już cała chętka za nic; boć człowiek nawet przez płot nie przelezie, gdy mu się ubrda że nie może.

Ale bo jakże nie ma tu zwątpienie ogarniać, kiedy jak cień za nim leci i wciąż mu w uszach brzmi ono złowrogie wujenki gadanie. Gdzie się tylko obróci, wszystko bodaj przedrzeźnia: A za się tobie przybłędo od naszej różyczki! A wara!

I tak wrony mu kraczą: wara! drzewiny szumią: wara! nawet żaby skrzeczą, muchy brzęczą i kamienie szepcą mu wciąż to przeklęte wara i wara — słowem wszystko i wszędzie echem powtarza tylko i krzyczy jak na psa: Wara! a nie rusz! a pudziesz! I jakże tu iść całemu światu na przekór?

A tu tymczasem już coraz głośniej po wsi zaczynają przebąkiwać, że Kasia za orylem a oryl za Kasią przepada, bo aż się iskry sypią, tak jedno na drugie oczami strzela. Ale też na tem strzelaniu koniec, bo on taki jakiś niemrawa, jakby czekał aż mu dziewucha sama na nos wlezie czy co?

E, dobrze to gadać, a drugiego to by już może szlak od takiego „wara“ trafił. Jego szlak jeszcze nie trafił, ale, co prawda, chłopak łazi jak mruk, pracuje za trzech a od ludzi stroni, ani gęby nie otworzy, chyba do jadła.

Za to z krasnym wielka teraz przyjaźń. Jak zrazu kuternoga nie był do znajomości skory, tak dziś za to cały doń przylgnął. Jeden bez drugiego ani rusz, ciągle tylko ze sobą kompanię trzymają. A no, kaleka do kaleki ciągnie. Frankowi co prawda niby to nic nie brakuje, a jednak bodaj że on teraz jeszcze większy kaleka; boć bez skrzypek, to chyba gorzej niż bez nogi albo ręki, — to jakby całkiem bez ducha. A cóż tam pies na takie kalectwo poradzi. Toć i to dobrze, że choć on spojrzy albo i poliże, aleć przez to jeszcze frasunek nie odleci.

Lizanie lizaniem, a gdyby tak choć skrzypki były, to by to jeszcze pół biedy, przynajmniej mógłby człowiek wyjęczyć, wypłakać co boli, a tak, bez tej deszczułki, z gołą ręką, to aż się coś robi.

Przy robocie to jeszcze jakoś zleci; ale gdy ta święta przyjdzie niedziela, wtedy już ani wytrzymać; bo nawet i do kościoła nie idź i między ludźmi się nie pokaż. Toć pokazałby się, ale jakże tak bez łachów...

A spać też przecie cały dzień nie sposób. A no spałby gdyby jeno mógł, spałby choć i rok, ale gdzież mu tam teraz do spania. Czasem to nawet i noc przekarwęczy, przewzdycha, choć po pracy znużony, a cóż dopiero w dzień, jakże tu spać. A jeżeli się gdzieś pod kupką układzie, to się jeno z boku na bok przewraca i tyla.

Strasznie mu się ta Kasia od razu jak kleszcz w serce wpiła tak, że bez tego kleszcza już nawet żyć nieopłata. Nigdy mu jeszcze ani w myśli żeniaczka nie postała, a z tą, to choćby zaraz gotów na zapowiedzie dać.

A pewno go właśnie dlatego tak raptem przypiliło, że mówią mu: wara! Bez tego „wara“ może by tylko znów pobaraszkował i rzucił jak długie. Ale że mówią: Nie rusz! — a on tego nienałożny— więc tembardziej chciałoby się ruszyć.

A może też naprawdę dopiero teraz na swoją trafił; ale cóż mu z tego trafienia, kiedy — wara! I to tylko wedle głupiego przyodziewku. Bo niechnoby kapotę i bóty miał jak należy, to już on by sobie poradził, nawet z Antkiem; ale boso, w koszuli tylko, to nie śmie.

Już się nawet inne chłopaki z niego naśmiewają, a on się ani odetnie, i jakże mu po dziewuchę sięgać. A tocby się jeszcze bardziej śmiali, może nawet i ona.

A już mu tego śmiechu dosyć. Nieraz wolałby się w ziemię zapaść, albo gdzie za dziesiątą granicę uciec — ale jakże tu uciekać, kiedy już drugiej takiej Kasi nigdzie nie najdzie.

Gdyby nie to, to on by ich tu zaraz moresu nauczył. Bo że go kudłatym albo głupim orylem nazywają, no, to już niechby tam, boć co prawda to prawda, przecie kudłaty a na książkach nie uczony jak oni; ale dlaczegoż nim jak psem poniewierać. A czy to on żyd albo Niemiec, albo czy im co złego uczynił? albo czy choć marne słowo komu powiedział?

On głupi już na to. Zawsze takie miał do ludzi szczęście, a tu raptem jakby ręką odjął, wszystko się odmieniło — nikt go tu za burą sukę nie ma. Sami już nie wiedzą, czego chcą. Wszystko im zawadzi, nawet i koszula; śmiali się, że ją na wierzchu nosi, a przecie już nie nosi, bo schował — choć mu jakoś nijako z takiemi widłami — a oni się jednak śmieją, jakby miał rogi na łbie albo co.

Aż go wstyd, że taki dryblas, a nawet i dzieciakom nie potrafi się opędzić. Ale on by im wszystkim pokazał, czy Salomon, czy filozof, czy choćby polityk, jeno mu o to najbardziej chodzi, że jak kogo trąci, to ekomun gotów go od roboty odegnać. A już i tak wciąż przed nim nastają. Co kto źle zrobi, nikt tylko głupi oryl.

Pewno to Antek z Bartkiem wszystkich tak podbechtali, bo oni najbardziej zaraz od pierwszego dnia byli mu przeciwni. A chciał z nimi jak ze swoimi, jak z braćmi, ale oni jeszcze bardziej huzia na niego.

Chyba żeby tak było za co a wziąść obu do karczmy, albo żeby tak było na czem a zagrać im po swojemu, toby może zaraz byli inni. Ale na czem tu grać?

Nigdy mu jeszcze ubóstwo nie było tak ciężkiem, ale w sercu krzywdy dusi, a po sobie nie daje poznać, jakby go wcale żadne śmiechy nie obchodziły, a to ich pewno jeszcze bardziej złości, ale i jego też bardziej boli. Gdyby się tak było przed kim użalić, to by mu zaraz ulżyło — ale przed kim? Chyba przed tym kuternogą krasnym; a co on na to poradzi. Kasia, to nie mówię, o, ona by zaraz poradziła. Dość przecie jak na człowieka spojrzy, a już się zaraz w duszy rozjaśnia i otuchy nabiera. I coś mu wtedy jakby mówiło: Pracuj a zarobisz i wszystko będzie dobrze...

Juści że zarobi, ale kiedy, kiedy, kiedy?

Rachuje i rachuje, a nijak się dorachować nie może jakby chciał. Zawsze mu strasznie długo wypada na kapotę czekać, a gdzież tu czas na czekanie. Dziewucha pewnoby rada choć zaraz; a że bogaczka, to co jej za niewola czekać. Nie Antek, to inny mu ją z przed nosa porwie.

Toć prawda, że niby jakoś łaskawie spogląda, ale co tam z samego spoglądania przyjdzie. Ot, zwyczajnie dziewucha, dziś na tego a jutro znów na innego będzie.

Ale na to nie poradzi, i nie mając wyboru, musi czekać aż zapracuje. A że mu pilno, więc już nawet i kopna skrzypek na razie poniechał, byle tylko prędzej do kapoty się dochrapać. Prawda, że bez skrzypek, to jak bez życia, ale i bez łachów trudno, więc najpierw kapotę sobie sprawi, potem skrzypki. A tymczasem sprobuje, może się jeszcze i te połamane dadzą jako narządzić. A jak skrzypki i kapota będzie, to już z resztą sobie poradzi. Wtedy i śmiać się nie będą i może nawet dziewuchę dostanie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

(Przedruk wzbroniony.)

ŻONA DOKTORA.

POWIEŚĆ AMERYKAŃSKA.

TOM I.

Ślub w domu państwa Gretor.

(Ciąg dalszy.)

„Szkoda,“ rzekła Ewa swobodnie, „że nie możemy dłużej zostać — bylibyśmy to naturalnie chętnie uczynili. Ale ten krzyk przerażający tak mnie zdenerwował, że jeszcze dotąd nie mogę się uspokoić. Lepiej więc, że odjedziemy, dopóki jestem jeszcze dosyć silną. Nie gniewaj się mamo — wrócimy przecież wkrótce do domu!“

Pani Gretor poprawiała w milczeniu ubranie córki.

„Nigdy nie miałaś tak ładnej sukni, jak ta,“ rzekła po chwili zadowolona, nie zważając na zmarszczone czoło Ewy. „Twoja nowa krawcowa jest rzeczywiście bardzo zręczną, wszystko, co uszyła leży dobrze i wygląda bardzo ładnie. Nawet pani Miller nie potrafiłaby lepiej. Masz teraz wiele piękniejszą figurę, niż dawniej, wydajesz się być wyższą i pełniejszą. Jednem słowem — wybornie!“

Ewa zarumieniła się, jak gdyby taka próżność macierzyńska nie była stósowną w chwili pożegnania. Milczała jednak. Pożegnanie z matką było dosyć chłodne i sztywne.

„Do widzenia, mamo,“ szepnęła. „Pozdrów ojca! Ja.... ale gdzie Piotr? On musi znieść mój kufer!“

„Piotr przyjdzie zaraz. Do widzenia mój zięciu. Przywieź mi córkę zdrową i wesołą! No dalej, idźcie!“

Pani Gretor poruszyła ręką na znak, że młoda para ma najpierw zejść ze schodów, ale Ewa udawała, że tego nie widzi, i nie ruszała się z miejsca.

„Zaczekam tu,“ oświadczyła, „dopóki Piotr nie przyjdzie po kufer.

Daremnie nakłaniał ją mąż, aby zeszła — teraz właśnie nie było nikogo w sieni na dole, mogli więc niepostrzeżenie wsiąść do powozu. I nareszcie, gdy się Piotr ukazał, poszła z nim do swego pokoju i patrzała na kufer, który już zamknięty, stał przy drzwiach.

„Gdzie się też podziały wszystkie służące,“ rzekła pani Gretor niezadowolona. „Muszę sama zamknąć twój pokój!“

„O nie, nie, zamknij go dopiero po naszym odejściu,“ zawołała Ewa żywo. Idźmy teraz!“

I ująwszy ramię męża, zeszła z nim i z matką na dół.

„Wyjdźmy tak z domu,“ szepnęła, „aby nas nikt nie widział!“

Ale goście już się o wszystkiem dowiedzieli i wszyscy zgromadzili się w sieni, aby pożegnać młodą parę. Wesołe żarty i śmiechy rozlegały się w około — Ewa odpowiadała na nie swobodnie, dowcipnie, ale doktorowi zdawało się, że oczy jej wpatrują się uważnie w matkę i śledzą każde jej poruszenie.

Nareszcie kareta zajechała i Kameron wyprowadził żonę na schody.

„Dzięki Bogu,“ rzekł, „wydobyliśmy się szczęśliwie z tych nieskończonych pożegnań i uścisków.“

„Muszę tylko jeszcze powiedzieć coś Piotrowi,“ szepnęła Ewa; — wróciła szybko do sieni, i wręczyła staremu słudze dosyć znaczną sumę pieniężną, jako pożegnalny podarunek.

Potem wzdychając ciężko, wsiadła z mężem do powozu i konie ruszyły.

Ale zaledwie ujechali kilka kroków, uczuł Kameron, że głowa żony oparła się ciężko na jego ramieniu, a gdy zdumiony spojrzał na nią, poznał, że zemdlała.

ROZDZIAŁ SZOSTY.

Jeszcze jedna narzeczona.

Po wyjściu z domu państwa Gretor, i po ostatniej rozmowie z Kameronem, uczuł się pan Gryce niezmiernie smutnym i przygnębionym. Omyłka, jaką popełnił, dręczyła go niewypowiedzianie, bo nietylko że sprawił człowiekowi, któremu chciał się przysłużyć, zupełnie niepotrzebne przykrości, ale sam stał się śmiesznym, czego dotychczas nigdy jeszcze nie bywało. Ostrożność, z jaką zawsze postępował, przebiegłość oraz bystrość umysłu, z jaką się do dzieła zabierał — wszystko to zawiodło go tym razem. Niesłychana rzecz!

„Tak, tak, człowiek starzeje się!“ westchnął biedny z gorzkim uśmiechem, torując sobie drogę pomiędzy wytwornymi gośćmi, przechadzającymi się w ogromnym i wspaniale udekorowanym przedsionku. Nagle jednak przyszła mu dziwna myśl do głowy. Zamiast iść dalej, ukrył się w jednej z głębokich framug, pełnych drzew i kwiatów, zkąd, nie będąc widzianym, mógł dokładnie obserwować wszystko, co się w koło niego działo.

„Jeżeli tu już raz jestem,“ rzekł sobie w duszy, „to zobaczę przynajmniej narzeczoną. Muszę się przekonać, czy jeszcze więcej jest ona podobną do fotografii niż owa dziewczyna w Hotelu Europejskim. Jeżeli nie, to winien wszystkiemu fotografista, i ja nie potrzebuję się uważać za niedołężnego!“

Nie trwało długo, a dźwięki marsza weselnego dały się słyszeć, goście utworzyli szpaler, i rodzice panny młodej wyszli z głównego salonu, aby się udać do mniejszej sali, zamienionej dziś na kaplicę. Zaraz za niemi postępowali narzeczeni, przechodząc tak blisko framugi, w której stał Gryce, że welon panny młodej dotknął nieomal jego ramienia. Skoro wszyscy udali się do kaplicy, wyszedł Gryce niepostrzeżenie z swego ukrycia i opuścił dom państwa Gretor.

Jedno spojrzenie przekonało go, że owa piękna, blada narzeczona jest rzeczywiście oryginałem fotografii — pod tym względem nie mogła zachodzić żadna omyłka. A więc on sam zawinił! Wolno, z smutnie spuszczoną głową, wychodził z pałacu, i właśnie chciał zamknąć boczne drzwi za sobą, gdy usłyszał ów zagadkowy krzyk, który Ewę i gości tak okropnie przeraził. Zdawało mu się, że krzyk ten pochodził z drugiego piętra, ale pomimo, że patrzał uważnie na wszystkie okna, nie mógł odkryć nic podejrzanego. Nie będąc w usposobieniu badania przyczyny tego dziwnego wypadku, nie przywięzywał do niego zbyt wielkiej wagi — przeraźliwy krzyk ów był niejako echem jego własnych ponurych myśli. I tak szedł dalej prostą drogą do środka miasta. Potem jechał koleją konną, a ponieważ nie miał ochoty wracania do domu, przeto, nie namyślając się długo, udał się do Hotelu Europejskiego.

„Już po ślubie?“ zapytał krótko jednego z urzędników w biurze.

Zapytany rozśmiał się.

„Ach nie,“ odrzekł. Ślubu wcale nie było, bo narzeczona uciekła!“

„Co?“ krzyknął Gryce ostro.

„Uciekła, nie czekając na przybycie pastora! Nie można jej tego jednak brać za złe. Pan Molwort wcale nie jest pięknym — przeciwnie — musi to być nieprzyjemny, zgryźliwy człowiek!“

„Co pan mówisz! Dziwna rzecz! O którym czasie stało się to? Zaraz po mojem odejściu?“

„Tak, kilka minut później! Zaledwie upłynęło pół godziny, przyszedł niecierpliwy narzeczony w towarzystwie pastora. Ale nikogo już nie zastali — panna młoda znikła!“

„Widział ją kto odchodzącą?“

„Tak, jeden z kelnerów!“

„I nie zostawiła żadnego listu?“

„Owszem. Na stole leżał list. Pan Molwort zabrał go!“

„Dziwne rzeczy dzieją się dzisiaj! Co mówił pan Molwort na to?“

„Alboż ja wiem? Poprzednio już nie wydawał się być zanadto szczęśliwym, a jeżeli potem był złym — no, nie można się dziwić! Ja gniewałbym się także, gdyby mnie coś podobnego spotkało! Wszystko do ślubu przygotowane, pastor na miejscu, a narzeczonej nie ma! Żal mi było Molworta, służąca miała nawet łzy w oczach! Cieszyła się na hojny podarunek, a tymczasem nie dostała ani grosza!“

„Byłeś pan także w tym pokoju?“

„Nie! Ja w ogóle nic o tem nie wiedziałem, dopiero gdy pan Molwort przyszedł, aby zapłacić za pokój, usłyszałem o tem co się stało. Mówił on, że ślub nie odbędzie się dzisiaj, ponieważ narzeczona chce, aby rodzina jej była obecną tej uroczystości. Dobra wymówka, nieprawda? Ale założyłbym się o niewiem co, że ona dała mu w ostatniej chwili kosza. Pan Molwort był pozornie zupełnie spokojny — tylko oczy jego błyszczały groźnie!“

„Wierzę!“ szepnął Gryce.

„Smutnym i zrozpaczonym jednak nie nie musiał być wcale. Przeczytał list, spalił go, i...“

„Spalił go?“

„Tak, aż do ostatniego kawałeczka papieru. Potem odszedł.“

„Dziwne! dziwne,“ powtarzał Gryce zamyślony.

Wyszedłszy z biura udał się do najbliższej kawiarni i zażądał księgi adresowej.

„Nie mógłbym i tak usnąć,“ mówił sobie, „więc rozerwę się przynajmniej trochę. Takie zawikłane zagadki nie zdarzają się codziennie, a każdy agent policyjny musi z nich korzystać!“

Po upływie pół godziny wchodził do nowego pięknego domu, i pukał do drzwi doktora Molworta.

Z sieni wyszła porządnie ubrana kobieta.

„Czy pan doktor w domu?“

„Nie,“ odrzekła, wskazując na tablicę, zawieszoną przy drzwiach, „dziś nie można się z nim widzieć! On wróci dopiero jutro rano!“

„Ale ja jestem bardzo chory, i przychodzę z daleka,“ skarżył pan Gryce z smu-

tną twarzą. „Jeżeli mnie znowu kurcze napadną... ach! Mnie tylko opium pomaga, w aptece zaś nie dostanę tego lekarstwa bez podpisu doktora! Myślałem, że o tej późnej godzinie zastanę go na pewno. Wiem, że wkrótce ma się odbyć jego ślub, ale teraz przecież nie może być u swej narzeczonej!“

„Żenić się? doktor Molwort? To musi być omyłka! zawołała kobieta zdumiona.

„O nie! Słyszałem o tem od jego znajomych!“

Ciekawość kobiety wzrastała z każdą chwilą, a że oprócz tego czuła litość dla biednego chorego, przeto rzekła uprzejmie:

„Wejdź pan do pokoju i odpocznij sobie trochę. Ja też jeszcze muszę czekać na moich dwóch lokatorów. Klucza od mieszkania nie powierzam nikomu, oprócz panu doktorowi, bo kto wynajmuje panom pokoje tak, jak ja, ten musi dbać o porządek w domu.“

Gdy ciężko chory Gryce usiadł przy kominku, na którym jasny palił się ogień, zapytała go uprzejma gospodyni czy nie wie, z kim się doktor Molwort ma żenić.

„Zapomniałem nazwiska“ — odrzekł, „jestem za stary, aby się zajmować cudzemi sprawami sercowemi — w moich oczach są wszystkie młode dziewczyny do siebie podobne, oprócz j e d n e j“ — dodał z uśmiechem zadowolenia, i wyjąwszy z kieszeni fotografią, spojrzał na nią czule.

„Zapewne córka pana!“

„Nie, wnuczka!“ odrzekł z dumnie podniesionem czołem.

Gospodyni pochyliła się, aby obejrzeć fotografią.

„Ach Boże!“ zawołała, „wszakże to Helena Farle!“

„Helena Farle?“ powtórzył zdumiony Gryce. „Ależ gdzie tam! To Joanna Meller, moja wnuczka!“

„Pokaż pan jeszcze raz“, prosiła gospodyni, wyciągając rękę po obrazek.

Gryce podał jej natychmiast fotografią Ewy Gretor, ucieszony, że podstęp jego udał się tak znakomicie. Więc owa poczciwa kobieta znała Helenę Farle, która tak dziwnie była podobną do Ewy Gretor. Teraz nie było już wątpliwości; Helena musiała być ową dziewczyną, którą on także uważał za oryginał tej fotografii. I aby się dowiedzieć bliższych o jej losie szczegółów, przyszedł tutaj, o późnej godzinie, w nadziei otrzymania jej adresu!

Kobieta patrzała, nie dowierzając własnym oczom, na obrazek.

„Jak też to“, rzekła, „mogą takie fotografie człowieka łudzić. Byłaby przysięgła, że to jest twarz Heleny Farle, teraz jednak widzę, że wnuczka pana ma inaczej zaczesane włosy i że ma o wiele ładniejszą suknią! Ale zresztą, zupełnie ta sama twarz! Chciałabym pannę.. pannę...“

„Meller“.... przypomniał Gryce.

„Chciałabym ją zobaczyć razem z Heleną!“

I znów oglądała ją uważnie, jak gdyby się nie mogła dosyć napatrzeć tej pięknej twarzy.

„Ach“, szepnęła po chwili, „pozwoliłbyś pan, abym ją Helenie pokazała?“

Było to najgorętszem życzeniem policjanta.

„Czemu nie?“ odrzekł uprzejmie, „jeżeli nie mieszka daleko? Ale w takim razie dziś jeszcze, bo....“

„Helena mieszka tu, w tym domu, na czwartem piętrze, i jest krawcową. Biedna dziewczyna przepędza niejednę noc przy pracy. Gdyby była w domu, zastałabym ją z pewnością jeszcze szyjącą, ale ona wyjechała na kilka dni, aby trochę wypocząć. Miała wrócić dziś po obiedzie, ale nie widziałam jej dotychczas. Miałam zawsze nadzieję, że doktor Molwort ożeni się z nią — on bowiem jest bardzo dzielny człowiek, a ona śliczna i dobra dziewczyna!“

„Może to też z nią chce się doktor żenić.“

„Broń Boże, byliby mi przecież o tem powiedzieli. Wszakże namawiałam go często do tego, i oni oboje wiedzą, jak bardzo życzę sobie ich połączenia. Ale ja też nie wierzę, aby Molwort miał się żenić. No, Kitty, cóż się tam stało?“

W tej chwili weszła do pokoju służąca, na widok jednak nieznajomego sobie gościa, cofnęła się żywo do sieni. Gospodyni pospieszyła za nią i zaraz potem wróciła znowu, z jakimś papierem w ręku.

„Czy kto słyszał coś podobnego!“ zawołała. „Otóż doktor Molwort zostawił dla mnie list, a służąca zapomniała mi go oddać. Czego on chce?“

Ale zaledwie rzuciła okiem na ów list, gdy krzyknęła uradowana:

„Jakie szczęście! Więc to jednak Helena, a nie inna. Doktor donosi mi, że ślub jego z Heleną Farle odbędzie się dzisiaj, i że jutro przywiezie tu swoją żonę. Oj nicponie! Ani słowa nie mówili o tem do mnie, a wiedzą oboje, jak bardzo ich lubię. Muszę ich za to porządnie wyłajać!“

Zajęta swoją radością, nie zważała kobieta wcale na chorego, który po chwili wstał i zabierał się do odejścia. Równocześnie dał się słyszeć na ulicy turkot powozu.

„Ach, to może oni!“ zawołała gospodyni. Ale gdy spojrzała przez okno, odskoczyła z okrzykiem przerażenia, i jak szalona wybiegła do sieni.

Gryce, nie zapominając ani na chwilę o swej roli chorego, został w pokoju, pomimo, że drżał z niecierpliwości dowiedzenia się, co wywołał takie przerażenie na gospodyni. Wkrótce jednak usłyszał liczne głosy w sieni, i o mało nie stracił przytomności, gdy zaraz potem ujrzał wchodzących dwóch mężczyzn, którzy nieśli jakiś ciężar... to jest martwe ciało jakiejś młodej dziewczyny. Jednym z niosących był bezwątpienia doktor Molwort, tak przynajmniej sądził Gryce podług opisu jego powierzchowności. Za nimi szła gospodyni, załamując ręce i płacząc głośno:

„Heleno, Heleno, biedne dziecko! wyrzekała, „cóż się z tobą stało?“

Mężczyźni złożyli tymczasem ciało dziewczęcia na kanapie; gospodyni zerwała szybko chustkę, zakrywającą twarz, i na nowo płakać zaczęła.

„Na Boga! Panie doktorze!“ zawołała, „jaka ona blada! Czy zemdlała tylko, czy też.....“

„Umarła,“ szepnął głęboko wzruszony Gryce zauważył, że Molwort wpatrywał się przenikliwie w twarz gospodyni.

„Ale jak się to stało? Kto zabił tę biedną dziewczynę? I to właśnie w dniu, w którym miała zostać żoną pana?

Doktor stał ze założonemi rękami obok pytającej, i patrzał w milczeniu na nieruchomą twarz zmarłej. Gryce poznał natychmiast ową mniemaną Ewę Gretor, którą przed kilku godzinami widział w Hotelu Europejskim, oraz granatową suknią, jaką wówczas także miała na sobie.

„Chcesz pani wiedzieć?“ rzekł w końcu Molwort, rzucając znowu badawcze spojrzenie na gospodynią, „ja ci to zaraz powiem: Helena wolała umrzeć, aniżeli zostać moją żoną!“

Potem zwrócił się do swego pomocnika:

„Nie jesteś mi już potrzebnym“, szepnął, resztę ja sam załatwię. Urzędnik, który skonstatuje jej śmierć, musi wkrótce przybyć i..... ale kto p a n jesteś?“ zawołał do jakiegoś młodego człowieka, wchodzącego w tej chwili, w której pomocnik opuszczał pokój.

„Ja jestem urzędnikiem policyjnym“, odrzekł nowoprzybyły.

Zanim jednak zdołał wymówić dalsze słowa, spostrzegł pana Gryce, a poznawszy natychmiast swego przełożonego, umilkł zmieszany.

Gryce nie zważał wcale na swego młodego kolegę. Cała jego uwaga skupiała się wyłącznie na doktorze Molworcie, który na słowo „urzędnik policyjny“ zadrżał widocznie. I twarz jego przybrała taki wyraz przerażenia, że Gryce powinszował sobie w duszy swej ciekawości, jaka go w tej stanowczej godzinie sprowadziła do domu doktora.

Ale Molwort prędko odzyskał przytomność, i gdy się teraz obrócił do policyanta, był już znowu spokojny i pewny siebie.

„Co tu policya ma do czynienia?“ zawołał szorstko. „Panna Farle otruła się i umarła. Doniosłem już o tem komu należało, i myślę, że.....“

„Wybacz pan, ja właśnie od tego urzędnika przychodzę. On sam każe powiedzieć, że nie może przyjść wcześniej, jak jutro rano, ale chcąc panu oszczędzić wszelkich możliwych nieprzyjemności, przysłał mnie tu, abym czuwał przy trupie, i uważał, aby nikt nie powołany mieszał się do tej sprawy. Dzieje się to bardzo często, i sprawia niepotrzebny ambaras. Wyręczałem już też nieraz pana Blaka i czuwałem przy....“

„Nikt przy niej czuwać nie będzie, jak ja!“ przerwała gospodyni stanowczo. „I postaram się już o to, aby tu nikt nie wchodził. Chociaż Helena nie jest moją krewną, to jednak kochałam ją tak, jak gdyby była moją córką, a pan, dodała, zwracając się do Molworta, „jeżeli chcesz uczcić jej pamięć, to każ odejść temu człowiekowi!“

Z trudnością zdołał doktor przekonać płaczącą kobietę, że przy takich wypadkach śmierci musi być ktoś z policyi obecnym, i że nikt nie ma prawa opierania się istniejącym przepisom.

„Ja też tu zostanę,“ mówił łagodnie, „bo i mnie chodzi o to, aby oddano zmarłej należytą cześć. Wszakże chciałem się z nią ożenić!“

Gospodyni wcale zadowoloną nie była, ale widząc, że wszelki opór daremny, milczała. Molwort wskazał policyantowi krzesło, i teraz dopiero zauważył obecność pana Gryce. I już otwierał usta, aby zapytać, czego on tu chce, gdy w sieni znowu dał się słyszeć szmer otwieranych drzwi, i do pokoju nowy wszedł gość.

„Po co u licha, przychodzisz pan tutaj!“ zawołał doktor rozgniewany, biegnąc ku drzwiom, aby je zamknąć na klucz.

Nowoprzybyły, młody, wytwornie ubrany mężczyzna, wyjął z kieszeni notes i ołówek. Molwort domyślił się natychmiast zamiarów jego, i strasznym wybuchnął oburzeniem.

„Jak pan śmiesz wdzierać się do mego mieszkania!“ krzyknął. „Nikt cię tu nie wołał, to jest dom prywatny! Szukaj twoich wiadomości, gdzie chcesz, odemnie nie dowiesz się niczego!“

Ale młodzieniec uśmiechnął się złośliwie.

„Więc chcesz pan,“ rzekł, „abym ułożył cały artykuł tak, jak mi się podoba? Pewna młoda dziewczyna z naszego miasta umarła, jadąc powozem. Publiczność ma prawo dowiedzenia się prawdy. Mam zatem napisać, że użyto noża, albo sztyletu, albo...“

„Ależ to niegodziwość!“ krzyknął Molwort. „Powinien bym pana ukarać za to! W każdym razie zmuszę cię do napisania prawdy, czego pewnie nigdy w życiu jeszcze nie uczyniłeś!“

I zwracając się do policyanta, dodał:

„Uważaj pan dokładnie, co ja temu reporterowi powiem, jeżeli zmieni jedno jedyne słowo, albo jeżeli doda coś nadto, co tu widzi i słyszy, to postaram się o to, że straci swoje miejsce, ręczę za to słowem honoru! Wiem, do jakiej gazety on pisze i znam jego redaktora! Więc słuchaj pan: „Panna Helena Farle, którą tu widzisz, miała dziś wziąść ślub ze mną, i to, ponieważ nie czuła się zupełnie zdrową, w hotelu, bez żadnych uroczystości. Jest ona sierotą i nie posiada żadnych przyjaciół — przepraszam,“ rzekł, patrząc na gospodynią, „chciałem powiedzieć: żadnych bliższych krewnych.“ Wszystko było już do ślubu przygotowane — narzeczona moja czuła się jednak więcej chorą, niż myślałem. Gorączka, którą miała po obiedzie, wzmogła się niezmiernie po mem odejściu, a gdy przybyłem znowu do hotelu jeszcze przed oznaczoną godziną, już jej tam nie zastałem. Uciekła, zostawiając dla mnie krótki i niezrozumiały list. Zaniepokojony, wskoczyłem do mojej dorożki, i jeździłem po ulicach, aby jej szukać, ale naturalnie, nie znalazłem jej! Nagle przypomniało mi się, że przyrzekłem jednemu z moich pacyentów posłać receptę na lekarstwo, którego potrzebował. Posłałem więc z tem dorożkarza, i zamierzałem jechać sam do domu, gdy na ulicy T. ujrzałem siedzącą na schodach jakiegoś domu, skuloną postać kobiecą. Z początku nie dowierzałem własnym oczom, ale to była w istocie Helena! Biedna miała ogromną gorączkę i nie poznała mnie wcale.

„Jestem tak zmęczoną!“ powtarzała nieustannie, gdym ją podnosił.

Równocześnie usłyszałem brzęk szkła, jak gdyby flaszeczka jaka upadła na kamienie, i ostra woń kwasu pruskiego rozeszła się w około. Przerażony, zaniosłem nieprzytomną do powozu, i zaciąwszy konia, popędziłem do domu. Ale wzmagająca się słabość i bladość chorej przekonały mnie, że śmierć zbliża się szybko. Zatrzymałem się więc przed apteką i prosiłem aptekarza, aby mi pomógł przenieść umierającą do sklepu, a gdy wróciłem z nim do powozu, spostrzegliśmy obydwaj, że już za późno. W czasie mej rozmowy z aptekarzem Helena umarła!“

„Okropność!“ zawołała gospodyni, a nawet nieczuły reporter, zmieszany, spuścił oczy.

„Trzeba mi się jeszcze dowiedzieć,“ mówił doktor dalej, „zkąd wzięła truciznę. Bez przepisu lekarza nie mogła jej dostać, a ja nie dałem jej żadnej!“

„I to już wszystko, co mi pan chcesz powiedzieć?“ zapytał reporter.

„Tak, aż nadto dla pańskiego artykułu,“ odrzekł Molwort krótko. „Reszta znajdzie się później!“

Reporter podziękował i odszedł.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, zwrócił się doktor do pana Gryce.

„A kto pan jesteś?“ zapytał.

Chory drżał z osłabienia.

„Miałem takie boleści...“ szepnął. „Ale teraz lepiej mi trochę, więc pójdę do domu. Może kto będzie łaskaw sprowadzić mnie ze schodów?“

„Boleści?“ powtórzył Molwort z współczuciem. „Co panu dolega?“

„Cierpię na kurcze żołądkowe. Chciałem pana prosić o zapisanie mi opium, nie mogę jednak dłużej czekać, bo w domu niepokoją się o mnie! Zresztą lepiej mi teraz!“

Gryce mówił to tak naturalnie, że Molwort nie powziął żadnego podejrzenia i podał mu uprzejmie ramię. Ale młody policyant uprzedził go.

„Pozwól pan, ja to załatwię,“ prosił dobrodusznie. „Nie mam tu chwilowo żadnego zajęcia, a umiem się obchodzić z starymi ludźmi!“

I ująwszy rękę swego przełożonego, wyprowadził go ostrożnie z pokoju. Skoro jednak stanęli obydwaj w sieni, gdzie ich nikt już nie mógł słyszeć, rzekł prędko:

„Masz pan jakie rozkazy dla mnie? Czy tu nie wszystko jest w porządku?“

„Miej oczy otwarte i obserwuj najdrobniejsze nawet szczegóły,“ odparł Gryce poważnie. „Może przyślę tu kogo innego, ponieważ teraz wiedzą już, że jesteś policyantem!“

Potem otworzył Gryce drzwi kamienicy i odszedł wolno, pogrążony w głębokich myślach. Czuł się przytem rzeczywiście okropnie zmęczonym, i teraz już udał się prosto do domu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dla panów.

(Odpowiedź).

Gdybym była żonkosiem, poświęcałabym długie wieczory wspólnej pogadance z małżonką, czytaniu, rysunkom, muzyce, lub innym rozrywkom ulubionym, a wywołany na jej ustach uśmiech zadowolenia poczytałabym sobie za najmilszy tryumf.

Gdybym była żonkosiem, wynagradzałabym żonie chwile koniecznej samotności, dzieląc się z nią zasłyszanemi pomysłami rozweselającemi, błyskami dowcipu, któremi tak obficie rzucają panowie w towarzystwie męzkiem.

Gdybym była żonkosiem, odejmowałabym sobie wiele osobistych przyjemności, oszczędzałabym się we wydatkach na papierosy, wino, cukiernie, a starania o zdrowie żony i wykształcenie dzieci dałyby mi ciche zadowolenie ze spełnionego dobrze obowiązku.

Gdybym była żonkosiem, nie broniłabym młodej żonie ubrać się ładnie, rozumiejąc prawa młodości. Pretensye z wiekiem nikną, a jakie one zabawne, gdy spóźniając się, towarzyszą siwym włosom.

Gdybym była żonkosiem, byłabym zawsze dla żony delikatną, wobec drugich milszą, jak znajdując się z nią sam na sam. Byłabym względną dla rozlicznych jej słabości. Wszak wielki Szekspir powiedział: „Słabości, imię twoje kobieta!“

Gdybym była żonkosiem, starałabym się dla żony o rozrywki, stanowiące wypoczynek i zachętę do obowiązków drobnostkowych, jak i do cierpliwości w przeciwnościach monotonnego jej życia.

Gdybym była żonkosiem, rozpoczęłabym walkę ze sybarytyzmem, który dziś powszechnie płeć męzką opanował, a zwycięztwa odniesione nad sobą, poczytałabym sobie za najszczytniejsze chwilę życia.

Aldona.



PIERWSZA GWIAZDA!

Szarzeje niebo grudniowe, a pod nogami gruda. Wiatr w oczy szronem bije i zawierucha świszczy. Z zacisznego dworku wychodzi siwowłosy, lecz krzepki, gospodarz. Staje na ganku i czeka w poważnej zadumie. Wzrok wytężony ku niebu dostrzega nareszcie upragnioną i oczekiwaną.

Z chmur topieli wysuwa się jasna, czysta, promienna Gwiazda.

Więc zabłysnęła znowu!

Jak przed rokiem, przed dwoma, jak przed dziesięciu, stu i tysiącem lat, ukazuje się ta sama.

A nie jest to zwodniczy blask błędnego ognika. To światło powstałe z wielkich poświęceń Zbawiciela, z prawd niewzruszonych Jego nauki.

Wzeszłaś więc znowu nad nami Gwiazdko miłosierdzia!..

Wpatrzeni w Twój odblask, stajemy w tej uroczystej chwili złączeni dłoń w dłoni, nierozdzielni w pochodzie do celu, który nam, jak niegdyś Trzem Królom, wskazujesz...

Ave Stella!...

I „PRACA“ ogarnia myślą w tej chwili wszystkich swych przyjaciół i czytelników. Weźcie w dłonie Wasze opłatek, który Wam dziś załączamy i przełammy się symbolem Chleba Żywota, wpatrzeni w Betleemską Gwiazdę Pocieszycielkę.

Idziemy ku Wam z opłatkiem w dłoni w imię Wiary i Miłości...

Redakcya.



Zaproszenie do przedpłaty!

Czas największy zapisywać „PRACĘ“ na nowy kwartał.

Kto więc dotąd jeszcze „Pracy“ nie zapisał a pragnie mieć noworoczny numer, który będzie również pięknie ilustrowany i w doborową treść obfity—niech wpłaci na poczcie bezzwłocznie

tylko 1 markę,

a dostawać będzie „Pracę,“ przez cały kwartał w każdą niedzielę.

Wdzięczni za poparcie, jakiego wciąż od Czytelników naszych doznajemy, postanowiliśmy ofiarować

cenne premium

a więc **bezpłatnie** i to:

A. 1) **piękną pamiątkę jubileuszu Mickiewicza**, książkę obejmującą przeszło 100 stron druku pod tyt.: **„Ewunia,“** skreśloną przez naszą znakomitą poetkę Sewerynę Duchińską, oraz

2) **Kalendarz Handlowo-Przemysłowy na rok 1899**, obejmujący około 150 stron druku.

Obie te książki, które w całej prasie zyskały pochlebne przyjęcie, nabyliśmy **nie szczędząc znacznych kosztów**; cena bowiem zwykła obu książek wynosi **trzy** marki.

Każdemu abonentowi naszemu wyślemy **na życzenie** powyższe premium natychmiast; tak samo otrzyma każdy Czytelnik **również bezpłatnie**:

B. 1) Powieść „Bez wyjścia“.

2) Początek powieści „Żona Doktora“ oraz

3) Obfity gwiazdkowy zeszyt „Pracy“ bogato ilustrowany.

Kto z Czytelników pragnie A i B winien **wraz z kwitem pocztowym** nadesłać **40 fen.** na porto; kto zaś z Czytelników pragnie tylko A lub B zechce nadesłać tylko **30 fen.** na porto; **wysyłka nastąpi natychmiast.**

Natomiast początek samej powieści „Żona doktora“ doręczamy za nadesłaniem tylko 5 fen. na porto.

Nadto otrzyma **bezpłatnie** każdy nowo przybyły Czytelnik początek w druku będącej o r y g i n a l n e j powieści na tle życia Polaków w Ameryce napisanej, p. t.:

„POLITYKIER.“

Powieść „Politykier“ żywo interesuje a formalnie *przykuwa każdego czytelnika do czytania.*

To też zapoznawszy się bliżej z treścią powyższej powieści, ponieśliśmy nawet znaczną ofiarę materyalną — nieodstraszając się wydatkiem blisko

tysiąca marek,

aby powieść tę dla naszych Czytelników pozyskać.

Powieść „Politykier“ jest z takim talentem skreśloną, że stanowi cenny nabytek dla polskiej literatury. Jest to bowiem obraz żywcem z życia naszego wykrojony; a tyle w nim prawdy i patryotyzmu, tyle uczucia, dowcipu i poezyi, że czytelnika zajmuje, chwyta za serce, śmiech wzbudza, albo łzę wyciska. Po przeczytaniu tej książki na długo w pamięci zostaje wspomnienie takiego Franka i jego Kasi, takiej Mary, hrabiego i innych, bo takie postacie codziennie spotykamy.

Obok humorystycznego, do śmiechu pobudzającego toku tej nader zajmującej powieści, są tam wzniosłe uczucia względem rodziny, Ojczyzny i wiary, tak wybitnie cechujące ten nasz biedny osierocony naród.

Już samo premium z dodatkami więcej wynosi. niż prenumerata.

Rok 1899 jest dopiero *3-im rokiem* istnienia naszego pisma, które i nadal pragnie być przyjacielem każdego domu szczerze polskiego.

W tak krótkim czasie istnienia pismo nasze nie mogło się jeszcze rozwinąć należycie, lecz dzięki gorącemu poparciu społeczeństwa i to wszystkich stanów bez wyjątku, „Praca“ zacząwszy od skromnych początków rozwija się coraz bardziej.

Liczne procesy prasowe, koszta i wielokrotne, a za każdym razem kilkomiesięczne więzienia naszych redaktorów — *z których jeszcze dwóch na 4 i 7 miesięcy za kratami więziennemi*—utrudniały nieraz staranniejsze opracowanie naszego tygodnika; nie zniechęciło to wszakże naszych Czytelników, lecz przeciwnie, tym energiczniejsze poparcie pisma było z ich strony odpowiedzią, a dla nas otuchą.

Z wdzięcznością w sercu więc i z niezłomną wiarą w lepszą przyszłość — „w Imię Boże“ zapraszamy do przedpłaty na kwartał nowy.

Starania swoje podwoimy, aby iść ciągle naprzód, albowiem pismu — które doznało tyle przychylności pośród wszystkich warstw społeczeństwa — stać na miejscu *nie wolno*; pomyśleliśmy więc począwszy od Nowego Roku o dalszych ulepszeniach w treści i formie; nie obiecujemy złotych gór, lecz dołożymy wszelkich sił, by zadowolić *każdego Czytelnika*!

Mianowicie w dziale ilustracyjnym spodziewamy się szczególniejsze zajęcie Czytelników obudzić znacznie ulepszoną reprodukcyą

różnokolorową

rozgłośnych dzieł polsko-narodowych i rysunków ulotnych, a nadto urozmaicić go aktualnością chwili bieżącej.

Nie rozpisujemy się dalej, bo któżby wreszcie nie znał, nie czytywał „Pracy“? Niemal w każdym domu polskim ją napotkać można, czy pod biedną strzechą kmiecia, czy przy warsztacie, w domu zamożnego kupca, czy też w komnacie.

„Praca“ łączy w sobie pożyteczne z przyjemnem, poucza i rozwesela, porusza wszelkie kwestye, a nie drażni, budzi ducha, a równocześnie łączy wszystkie stany w jeden nierozerwalny łańcuch bratni.

Już sam fakt, że w przeciągu zaledwie dwuletniego istnienia „Praca“ zyskała — jak na nasze stosunki niebywałą liczbę prenumeratorów, bo przeszło

5000 abonentów,

dowodzi najlepiej, że pismo nasze jest na czasie i dla wszystkich.

Prosimy uprzejmie o łaskawe dalsze poparcie.

Już sam noworoczny numer „Pracy“ pięknie ilustrowany i bardzo obfity w doborową treść, przenosi wartość abonamentu, jeżeli zaś doliczy się jeszcze dla Czytelników przeznaczone premium, natenczas każdy abonent otrzymuje pismo nasze prawie darmo!

By wartkim trybem w ulepszeniu „Pracy“ módz raźno iść dalej, prosimy Szanownych Czytelników — którzy nasze pismo już abonują — w ich własnym interesie o łaskawe przyczynienie się do rozpowszechniania naszego tygodnika przez podanie dołączonej kartki Godnym krewnym, przyjaciołom i znajomym z gorącą zachętą do przedpłaty; w miarę bowiem wzrostu Czytelników „Praca“ w coraz więcej obfitszą i doborową treść udoskonaloną będzie!

REDAKCYA.

Premia dla Czytelników!

Piękną drogą illustracyą „WOJSKO POLSKIE“ otrzyma każdy z Czytelników, który zjedna nowego abonenta na „Pracę“ i nadeśle do Administracyi odnośny kwit pocztowy wraz z własnym kwitem; kto zjedna k i l k u abonentów, otrzyma „Wojsko Polskie“ i piękną, obszerną książkę w dodatku.

Wiadomości.

Wesołych Świąt życzymy Szanownym Współpracownikom, Czytelnikom, Zwolennikom i Przyjaciołom naszego tygodnika, oraz wszystkim Rodakom i najbliższym i najdalszym i tu nad Wartą i tam nad Wisłą i nad Niemnem i za zarobkiem wygnańcom-tułaczom bez dachu i bez domu na obczyźnie. Przyjmijcie wszyscy od nas bratni uścisk — pozdrowienie i staropolskie życzenie: **Dosiego roku!**

Redakcya.

Ze Szanownymi Czytelnikami dzielimy się dzisiaj ważną dla naszego wydawnictwa nowością, a mianowicie, iż dnia 15 stycznia r. 1899 rozpoczniemy druk „Pracy“ w nowej, własnej drukarni, nad której urządzeniem już od kilku tygodni dniem i nocą pracują raźnie.

Drukarnią naszą, którą pędzić będzie siła elektryczna, urządzamy odpowiednio do wymagań nowoczesnych i podług najlepszej konstrukcyi.

Będzie to pierwszy tego rodzaju zakład polski w dzielnicy naszej o ruchu elektrycznym; wszelkie inne drukarnie bowiem pracują albo z pomocą siły ręcznej, albo też motorów gazowych.

Udoskonalone urządzenie polegać będzie pomiędzy innemi na tem także, iż druk, składanie, zeszywanie i obcinanie zeszytów dokonywać się będzie jednocześnie przy pomocy maszyn elektrycznych, pospiesznych, dostarczonych przez pierwszorzędne firmy

tejże specyalności. Dział elektryczno-instalacyjny powierzyliśmy renomowanej firmie p. F. Biskupskiego w Poznaniu, a urządzenie lokali dla drukarni, młodemu, dzielnemu budowniczemu panu Mieczysławowi Kliszczyńskiemu z Poznania, który się ze swego dość trudnego zadania wywiązał ku naszemu zupełnemu zadowoleniu.

Znaczne to rozprzestrzenienie naszego przedsiębiorstwa oddziała korzystnie nie tylko na stronę redakcyjną, lecz także niepomiernie na administracyjną wydawnictwa. I tak nie małej wagi dla czytelników „Pracy" będzie taka zmiana w trybie druku naszego tygodnika, iż każdy abonent, choćby w dalszych obcych stronach państwa zamieszkały, otrzymywać będzie bieżące numery w niedzielę rano najpóźniej, co dotąd z powodu trudności technicznej natury częstokroć było niemożliwem.

Ten wzgląd też głównie skłonił nas do założenia własnej drukarni. Dział redakcyjny zyska przytem niewątpliwie w staranniejszem wykończeniu, osobliwie zaś w korekcie dotąd niestety często niedostatecznej, i w ilustracyach piękniejszych i wyraźniejszych, do których maszyny specyalnie będą urządzone.

Nakoniec nie od rzeczy będzie nadmienić, iż Ekspedycya „Pracy" dokonywać się będzie wprost do pociągów kolejowych, co naturalnie dostarczanie bieżących numerów w znacznym stopniu przyspieszy.

WYDAWNICTWO „PRACY."

Wynik prac konkursowych, *których druk rozpoczęliśmy w dzisiejszym numerze a których dalszy ciąg nastąpi — ogłosimy dla braku miejsca w następnym numerze noworocznym.*

☞ **Szanownym Czytelnikom, dopominającym się jeszcze o nr. 49 donosimy, że nr. 49 już wyczerpany. Natomiast powtórzymy druk powieści „Żona doktora" i każdy z Czytelników odbierze na życzenie całą powieść „Żona doktora" od początku, i to zaraz w pierwszych dniach Stycznia.** ☜

Odpowiedzi od Redakcyi i t. d. również w następnym numerze.

Skorowidz czyli spis rzeczy zamieszczonych w „Pracy" w ciągu roku 1898 — dołączymy dla Szanownych Czytelników do jednego z pierwszych numerów styczniowych.

W odpowiedzi na listy dotyczące premii oznajmiamy w miejsce poszczególnych uwiadomień, iż ekspedycya tychże premii dokonywa się bezustannie, że jednakowoż z powodu niezmiernej liczby zgłaszających się niepodobno wysyłkę od razu załatwić. Prosimy więc o cierpliwość.

Dla Czytelników miasta Gniezna. Abonenci miasta Gniezna niechaj zechcą się zgłosić po premie do p. Majerowicza tamże, do którego rąk odpowiednią liczbę egzemplarzy ryczałtem wysłaliśmy. Na pokrycie kosztów przesyłki etc. dopłacić należy p. Majerowiczowi 10 fen.

Abonenci miasta i przedmieść Poznania zgłosić się mogą po premie wprost do Ekspedycyi tygodnika naszego przy ul. Rycerskiej 38. Opłata wynosi również 10 fen.

Od Komitetu wyborczego powiatu pleszewskiego otrzymujemy poniższy urzędowy komunikat:

»Komunikat Komitetu wyborczego na powiat pleszewski, rozesłany do wszystkich pism polskich we W. Ks. Poznańskiem.

W listach otwartych, a mianowicie pierwszym, podpisanym przez dwóch członków Komitetu wyborczego powiatu wrzesińskiego pp. ks. prałata Kuleszę i Z. Grochowskiego i danej nań odpowiedzi przez adwokata p. dr. Z. Dziembowskiego, umieszczonych w dniu 12 grudnia r. b. w »Dzienniku« i »Kuryerze Poznańskim,« załatwiają ci panowie, upoważniając p. dr. Z. Dziembowskiego do dalszego piastowania mandatu poselskiego sprawy dzielące powiaty pleszewski i jarociński z p. dr. Z. Dziembowskim, wkraczając tem samem w prawa wyborców tych powiatów.

Stwierdzamy przeto, żeśmy rzeczonych panów do tego nie upoważnili i protestujemy jak najenergiczniej przeciwko zamachowi jednogłośnej mniejszości wrzesińskiej na prawa wyborców naszego powiatu.

Przeciwko p. dr. Z. Dziembowskiemu występujemy dla tego, że do niego żadnego zaufania nie mamy, jego polityki nie aprobujemy i za swego posła go nie uważamy.

Wreszcie podajemy do wiadomości p. dr. Dziembowskiego, że na odbytem 8 listopada rb. w Jarocinie zebraniu okręgowem odrzuciły Komitety pleszewski i jarociński a limine wszelką dyskusyą nad dalszem pozostawieniem go na krześle poselskiem i dla tego wzywamy go do złożenia nieszlachetnie zdobytego mandatu!

Pleszew, dn. 17 grudnia 1898.

Komitet wyborczy powiatu pleszewskiego: Jul. Pleciński. M. Szuman. Samulski. Józef Pleciński. K. Kowalski. A. Balcerek.«

Co jest Chleb św. Antoniego? Dokładny opis, jako i 1 zeszyt Chleba rozsyła Księgarnia Katolicka w Poznaniu, Stary Rynek 53, za darmo każdemu, kto poda swój adres.

Lipsk, w grudniu 1898. Dowiedziałam się, że w »Gazecie Robotniczej« umieszczone jest sprawozdanie z Lipska o obchodzie 100-letniej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza, który podług owego artykułu urządzony został przez »robotników«, zaś w liczbie biorących udział czynny wymieniono także i moje nazwisko. Fakt ten zmusza mnie do następującego oświadczenia:

Nie za staraniem »robotników«, brałam udział w rzeczonym obchodzie, lecz za staraniem prezesa Tow. Akademickiego, ponieważ nie »robotnicy« tylko, lecz wszyscy Polacy pamięć Wieszcza i w Lipsku uczcić postanowili. Dla czego stało się to złe, że w ostatniej chwili uroczystość odbyła się pod firmą »Robotników« o tem rozpisywać się, nie do mnie należy — jednakże tyle nadmienić muszę, że już zabraną do opuszczenia sali, nie »robotnicy«, lecz panowie ci, którzy świętość sprawy stawili szlachetnie po nad wszystko, co ich rażąco dotknąć musiało, skłonili mnie do współudziału; inaczej, — mimo że czczę pamięć Mickiewicza, jak ją każda prawa Polka czcić powinna i musi — byłabym się usunęła. Nie dla tego, abym uważała za uwłaczające mi, łączyć się z robotnikami, lecz dla tego jedynie, że nie chcę mieć żadnej wspólności ze socyalizmem, jaki zakradł się (niestety!) w koło tutejszych robotników polskich.

Z wysokim szacunkiem

Walerya Jasińska.

Wiadomości kościelne.

Archidyecezya gnieźnieńsko-poznańska. Ojciec św. mianował ks. proboszcza dr. Lewickiego swoim prałatem domowym. Ks. Knast, komendarz w Gryżynie, otrzymał kanoniczną instytucyą na tamtejsze beneficyum. Administracyą probostwa w Starych Długich powierzono ks. plebanowi Frieskemu w Gołanicach. Na administratora do Tarnowa powołano ks. Zimmermanna, wikaryusza z Przementu.

Mogilno. Uroczysta introdukcya JWks. Prałata Wawrzyniaka na probostwo tutejsze odbędzie się w trzecie święto Bożego narodzenia, dnia 27 b. m.

Jutrosin, dn. 14 grudnia. W niedzielę dn. 11 b. m. odprawił tu prymicye nowo wyświęcony ks. Jan Kammer, syn zasłużonego tutejszego nauczyciela głównego.

JUBILEUSZE.

70-letni jubileusz kapłaństwa obchodzić będzie dnia 28go bm. ks. Gieburowski, proboszcz w Brodach.

Ksiądz Arcybiskup warszawski Wincenty Chościak Popiel obchodził dnia 6go grudnia rb. 35 letni jubileusz biskupi. Ks. Arcybiskup rodził się w Krakowskiem w r. 1825. Dostojny jubilat odznaczał się zawsze energią w sprawowaniu rządów i nieograniczonem poświęceniem dla dobra Kościoła św. Miłosierdziem i świątobliwością zyskał sobie najwyższe przywiązanie dyecezyan, którzy Arcypasterzowi w dniu jubileuszu składali życzenia najszczersze i wyrazy czci oraz hołdu.

Nakło. Piekarz pan Julian Kryszkiewicz obchodził 25letnią rocznicę zawodu. Cech piekarski składał mu życzenia i ofiarował srebrny puhar.

ZMARLI.

S. p. Franciszek książę Sułkowski z Rydzyny w Gardonne w połudn. Francyi, dnia 12go bm. w 24 roku życia.

Sp. Eustachy Rogaliński w Królikowie dnia 19go bm. Zmarły przez długie lata zajmował wybitne stanowisko w społeczeństwie naszem.

Sp. Maksymilian Czarliński dnia 12go bm. w Poznaniu, brat p. Emila z Brąchnówka, i posła Leona ze Zakrzewka.

Sp. ks. Andrzej Popiółkowski, emeryt. proboszcz w Świeciu, dnia 10go bm. w 49 r. życia a 25 kapłaństwa.

Sp. ks. prob. Maksymil. Szczygłowski z Domachowa umarł we Wronkach w 60 roku życia.

Sp. Józef Jeżewski w Nidborku, żołnierz z r. 1830 w wieku lat 90. Nieboszczyk urodził się w Brześciu Litewskim, służył w wojsku jako huzar pod księciem Konstantym we Warszawie. W powstaniu listopadowem biorąc udział we walce pod Grochowem i innych potyczkach, otrzymał dwie rany. Pod jenerałem Giełgudem przeszedł granicę pruską, a po długoletniem tułactwie, dostał się do Nidborka. Od założenia parafii, a więc od lat blisko 40, sprawował przy kościele w Nidborku obowiązki kopacza. Był to rzadki wzór w spełnianiu obowiązku.

Sp. Tekla z Parczewskich Romanowa Zmorska we Warszawie, wdowa po literacie i poecie a matka utalentowanej, lecz przedwcześnie zgasłej powieściopisarki Zbigniewy; zajmowała się również literaturą, głównie jako tłomaczka z języków obcych.

Niechaj spoczywają w spokoju!



Humorystyka.

Praktyczne podarunki „na gwiazdkę".

1) Dobry i wzorowy mąż i ojciec. Doskonała imitacya człowieka, który za naciśnieniem sprężyny mechanicznej wyjmuje pugilares, napełniony banknotami, daje pieniądze żonie i córkom i mówi: Kupcie sobie, moje najdroższe, co wam potrzeba. Przepyszny podarek dla żon i córek.

2) Złota żona. Automat, przedstawiający żonę, który za każdorazowem wrzuceniem weń 10ciu fenigów, wyrzuca złotą dwudziestomarkówkę, i mówi: „Pohulaj sobie, kochany mężu. Stosowny podarek dla wszystkich mężów."

3) Pigułki złote, owinięte w banknoty. Bardzo praktyczny podarek dla firm, chwiejących się na wzmocnienie.

4) Moskiewska nahajka. Niezbędny i skuteczny środek na odpędzenie karciarzy od zielonych stolików. Każda energiczna żona niech się w niego zaopatrzy!

5) Słowniczek grzecznych wyrazów do użytku codziennego. Stosowny i niezbędny podręcznik we wielu domach.

6) Nauka harmonii i taktu. Praktyczny podręcznik dla kół śpiewackich i muzycznych.

7) Projekt nowej, sześciomilionowej pożyczki. Bardzo kosztowny podarek, ofiarowany Radzie miejskiej poznańskiej.

8) Żółw, osiodłany do szybszego ruchu. Podarek, ofiarowany miastu Poznaniowi, w sprawie ogroblenia Warty.

9) Czego się od rządu i hakatystów spodziewać możemy? Łamigłówki na czasie w kilkunastu obrazkach.

10) Miliard beczek wrzącej smoły. Praktyczny i skuteczny podarek dla wszystkich hakatystów na zagaszenie piekącego ich pragnienia pożarcia wszystkich Polaków, Czechów i wogóle Słowian.

Humorysta „Pracy."

Czy wojna czy pokój?

Czy wojna czy pokój
Każdy debatuje,
Ten wojnę a drugi
Pokój znów dyktuje.

A pan Michał tylko
To się pojąć sili:
„Co mi z tego przyjdzie
Gdy się będą bili?"

Ja dać muszę pieniądz,
Dać muszę rekruta,
A korzyści z tego
Tabaki pół łuta!.,."

Złote słowa.

Rzekł do Węgrów Koszuth stary:
Europa — to koszary.

JESZCZE JEDEN.

Jak posąg Niobe biała, bez łez, zrozpaczona
Usiadła przy pianinie i pieśń demoniczna
Zmąciła ciszę głuchą, — potem znów ta śliczna
Roześmiała się nerwowo, jak gdyby szalona.

I potem znów sznur pereł z szyi swej zerwała
I gryzła je ząbkami od pereł bielszemi,
I wreszcie na swój klęcznik padła i z rzewnemi
Łzami w oczy niebiańskie Madonny patrzała.

I zgadnijcie co było owej nieszczęśliwej?
Czy przeklinała swoje ziewające życie?
Czy pragnęła miłości? — czy śniła w zachwycie?..
Nie, tylko zobaczyła rzecz straszną: włos siwy...

Co ja lubię?

(Piosnka)

Co ja lubię? wiedzieć chcecie —
Powiem bez ogródek
Lubię strój w mej toalecie
By podziwiał ludek.
Z zabaw lubię coraz nowe
Bal czy maskaradę
I to lando atłasowe,
W którem na bal jadę,
Lubię śliczne fajerwerki
Na bogatym ślubie
I ciasteczka i cukierki
Ach pasyami lubię!
Lecz choć znam ja dobrych rzeczy
Niebotyczny kopiec,
Najmilszy mi — nikt nie przeczy —
Mąż mój, ładny chłopiec.

„Straszne" rzeczy.

Liczne towarzystwo zwiedza ruiny starożytnego zamczyska. Stróż miejscowy, filut nielada, oprowadzając gości, wskazuje im, między innemi, lochy, w których trzymano niegdyś więźniów w łańcuchach na gołej ziemi o chlebie i wodzie. Dreszcz zgrozy przejmuje obecnych.

— No — wzdycha jedna z dam czulszego serca — teraz już, dzięki Bogu, nie dzieją się tu straszne rzeczy.

— Owszem, proszę pani — protestuje oprowadzający — zdarzają się jeszcze niekiedy: oto np. w zeszłym tygodniu ośmiu panów zwiedzało ze mną lochy i... żaden nie dał mi na piwo...

PANIENKA.

Jeśli kwiatek, to stokrotka —
Jak dziewczyna, to pieszczotka —
Przez matusię wychuchana,
Wyniańczona, wycackana,
Wychowana w uczuć złocie,
Wyćwiczona w wierze, w cnocie;
Cicha, chociaż gospodarna,
Skromna, choć jak król ofiarna,
A pobożna, bogobojna,
Niby prosta a dostojna,
Niby anioł dobra, słodka...
No i wdzięczna jak — stokrotka.

Ile kosztuje pół życia?

Mąż: (wkładając rękawiczki). Duszko, wychodzę.

Żona: (zarzucając mu ręce na szyję). A gdybym cię tak serdecznie poprosiła, żebyś został.

Mąż: Duszko, jak cię kocham nie mogę... Wiesz, *pół życia* dałbym, aby pozostać z tobą, ale wyobraź sobie, ten idyota Iks zaproponował, abyśmy za spóźnienie do kasyna płacili za każdym razem —20 marek... Jak cię kocham, nie mogę!...

Ojciec i syn.

— Więc już do tego przyszło, że skradasz się do mojej portmonetki po nocach?

— Tatuńciu — dalibóg — to niechcący, bo ja jestem lunatykiem.

*

Lolo u cioci.

Lolo odwiedza ciepłą ciocię, która świeżo musiała znów pokryć parę jego długów honorowych. Ciocia przyjmuje siostrzeńca z miną marsową, Lolo więc biegnie ucałować rączki ciotuni i odzywa się, jak można najsłodziej:

— Ach, ciotuniu, wybacz!.... Już ostatni raz nadużywałem twej dobroci. Słowo honoru, rozpoczynam obecnie nowe życie!

Ciocia z niedowierzaniem trzęsie głową i mówi:

Szczęśliwyś! Ja już stoję na schyłku *jednego życia*, a ty, szczęśliwcze, wedle mego skrupulatnego obrachunku, rozpoczynasz po raz *dwudziesty* nowe życie...

Pieśń dla młodzieży rzemieślniczej.

(Śpiewa się na nutę: Hej bracia opryszki.)

Hej bracia od szydła, młota i topora,
Choć pracą stwardniała wam dłoń,
Wy także sokoły, bo myśl skrzydłopióra
Kochanką i waszą zwie skroń.

Wam geniusz jest ojcem, wy jego wcieleniem,
Myśl nagą zdobicie wy w strój.
Badawczy duch biegnie waszem posileniem,
On wasza krynica i zdrój.

Więc bracia sokoły od pracy z warsztata,
Do góry ku niebu wznieść wzrok,
Was praca uzacnia, bo nią świat ulata,
Z was postęp skrzydła ma i tok.

Wy brzemię narody weźmijcie na barki,
Narodu pokutę i łzy
Ujmijcie w dłoń twardą i na wasze karki,
Z nią ścigać wam innych! — To wy!

I. Danielewski.

Szarada.

Pierwsza, to przyimek, który w naszej mowie
Umieszcza się zwykle tuż przed rzeczownikiem;
Druga równa pierwszej w nazwie, choć nie w słowie.
A gdy drugą z trzecią złączymy językiem,
Popularna nazwa wyniknie przestrzeni,
Od której nasz naród wziął nazwisko swoje.
Trzecia z czwartą sławne nam imię wymieni
Mędrca, który duchem stacza wielkie boje.
Całość zaś nam inne znowu imię wskaże,
Którego właściciel niósł postrach na ziemi,
A w którego czynach nadziei ołtarze
Budowała Polska czasy minionemi.

Rozwiązanie Łamigłówki z nr. 49go „Pracy“:

GOPLANA.

Trafne rozwiązanie nadesłały następujące osoby:

Z Poznania:

Pp. M. Dekubanowska, S. W. Guliński.

Z prowincyi:

Z Gniezna: pp. J. Kabyciński, W. Radomski.
Z Wielichowa: IMKs. Prob. Jasiński.
Z Szubina: p. dyrektorowa Szalińska.
Z Krobi: pani S. Sliwińska.
Z Krotoszyna: p. J. Zachert.
Z Borku: p. J. Cuske.
Z Jeżyc: p. A. B. Henke.
Z Lubostronia: p. A. Bessert.
Z Przysieki niem.: p. S. Markowiak.
Z Białożewina: p. Sosiński.
Z Niestronna: p. Fr. Garczyński.

Z Prus Zachodnich:

Z Torunia: pani M. Malinowska.

Ze Śląska:

Z Starego Bierunia: p. Kłobukowski.

Z Galicyi:

Z Lwowa: p. W. Paciorkiewicz.
Z Sierosławia: p. Floryan Masoń.

Z obczyzny:

Z Charlottenburga: p. H. Tarnowska.
Z Berlina: pp. S. Dąbkowski i K. Orcholski.
Z Paryża: p. S. Napieralski.
Z Wiednia: pp. K. Marcinkowski i S. Putyatycki.
Z Londynu: p. K. Pacanowski.
Z Carogrodu: p. W. Sobiechowicz.

Nagrodę otrzymali: pp. 1) M. Dekubanowska, i 2) S. W. Guliński z Poznania, 3) J. Kabyciński z Gniezna, 4) Sliwińska z Krobi, 5) J. Zachert z Krotoszyna, 6) J. Cuske z Borku, 7) S. Markowiak z Przysieki niemiec., 8) Sosiński z Białożewia, 9) Fr. Garczyński z Niestronna, 10) M. Malinowska z Torunia, 11) W. Paciorkiewicz ze Lwowa, 12) F. Masoń ze Sierosławia, 13) H. Tarnowska z Charlottenburga, 14) S. Dąbkowski i 15) K. Orcholski z Berlina, 16) Napieralski z Paryża, 17) K. Marcinkowski i 18) S. Putyatycki z Wiednia, 19) K. Pacanowski z Londynu, i 20) W. Sobiechowicz z Carogrodu.

☞ Odtąd przeznaczamy każdorazowo 20 nagród; — i to 15 nagród dla tych Czytelników, którzy należeć będą do najpierwszych, a 5 nagród dla później nadeszłych trafnych rozwiązań; ostatnim przyznaje się nagrodę za pomocą wylosowania.

Rozwiązania szarad winny nadejść każdą razą już najpóźniej w środę rano, inaczej nie możemy takowych uwzględnić, gdyż już w środę po południu idzie wszystko w druk, wskutek czego rozwiązania dopiero potem nadeszłe nie wchodzą w rachubę.

Tak samo prosimy szarady podać łask. zawsze *na osobnym kawałku papieru z nagłówkiem „Szarada“* — leży to bowiem w interesie Czytelnika i naszym. ☜

Popierajmy przemysł własny!!

[illegible] Marcin Biedermann w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Stanisław Chilomer w Poznaniu. Druk P. Krzyżankiewicza w Poznaniu.



Bóg się rodzi, gwiazda wschodzi,
Trzej Królowie od wschodu,
Tu z darami, ofiarami,
Każdy swego narodu,
Do Betlejem, gdzie złożony
Z Panny Chrystus narodzony
Jadą z licznymi dwory,

Murzynowie, Arabowie,
Z Tarsu to są Królowie:
Nauczeni, oświeceni,
Ci święci trzej Magowie
Przez proroka Balaama,
Co potwierdza gwiazda sama,
Prowadząca do szopy.

Nie leniwi, lecz skwapliwi,
Swoje kraje rzucają,
A w te strony swe korony
W szopie Panu składają.

Jeruzalem nawiedzają
I Heroda się pytają.
Gdzie Król Chrystus narodzon?

(Drukarnia „Pracy".)